

Stanisław
Grzesiuk

Na marginesie
życia

STANISLAW GRZESIUK

Na marginesie zycia

SCAN-dal

Nie jestem lekarzem, lecz od piętnastu lat chorym na gruźlicę. Byłem dziesięć razy w sanatorium i przeszedłem dwie operacje. Dlatego opisac chcę życie gruźlików obserwowane z pozycji jednego z nich, z pozycji chorego. W opowiadaniach swych będę chciał pokazać codzienne życie chorych – tych słabych psychicznie i tych silnych.

1 JAK SIE ZACZELO?

Umierać na rozkaz nie miałem chęci.

W obozie reguła było usmiercanie więźniów chorych na gruźlicę. Częsty i silny kaszel nasuwał mi myśl, że dostałem może choroby płuc. Toteż gdy w 1944 roku w Mauthausen-Gusen przeprowadzono masowe przeswietlenie więźniów – poszedł za mnie do rentgena inny więzień – zdrowy – któremu oddałem za to dzienną porcję chleba.

Po wyjściu na wolność zaczęła się zabawa. Ciesząc się powrotem do życia wiele ludzi zatraciło hamulce. Dewiza było: Bawić się i używać życia.

Mimo że podejrzewałem u siebie chorobę, zastosowałem strusia politykę. Proba zdrowia polegała na tym, że pedziłem biegiem na czwarte piętro. Zmęczony jestem? Nie. No to jestem zdrowy, bo przecież człowiek chory tego nie dokona.

Pierwszy raz musiałem się obowiązkowo przeswietlić jesienią 1947 roku.

–Silne zaciemnienie lewego szczytu i pod lewym obojczykiem – brzmiało orzeczenie lekarskie.

–Czy to coś poważnego? – zapytałem.

–To da się jeszcze zaleczyć – odpowiedział lekarz takim tonem, jakby chodziło o katar lub lupież. – Powinien pan jeździć każdego roku na dwa-trzy miesiące do sanatorium, przestać pic, nie palić, prowadzić uregulowany tryb życia...

Nie pic, nie palić i z „tych rzeczy” też może nie- to po co żyć? Czekać na zgon? Jak mnie Niemcy nie wykonczyli, to gruźlica też nie da rady – dodaje sobie ducha.

–Panie doktorze – brawuruje – miałem brata: nie pił, nie palił, nie latał za dziewczynkami i... cztery lata miał, jak umarł. A ja żyję dwadzieścia dziewięć lat nie odmawiając sobie tego i owego. I nie mam zamiaru umierać.

–Te rzeczy szkodzi – zapewnial doktor, nie powiedzial jednak ani slowa, zeby zapisac sie do poradni przeciwgruzliczej, nie wspomnial tez nic o wystawieniu wniosku sanatoryjnego – a wiec nie jest jeszcze ze mna tak zle! Jakis tam naciek? Glupstwo. Bede zyl z naciekiem. Nie pierwszy, nie ostatni.

I nadal jedynym sprawdzianem zdrowia byl bieg po dwa stopnie na trzecie czy czwarte pietro.

Niczego sobie nie zalowalem z tych rzeczy, ktore szkodzily zdrowiu.

Az przyszla wiosna 1951 roku. Nasz osmiomiesieczny syn zachorowal na zapalenie pluc. Zapalenie wyleczone, ale chlopak wciaz kaszle.

Co mu jest? – zastanawialem sie. – Moze koklusz?

Koklusz sie nie zwieksza, ale i sie nie konczy. – Musimy malego przebadac – powiadam do zony, Po badaniach orzeczenie brzmi: naciek gruzliczy prawego pluca. Stan powazny. Nalezy wyslac dziecko do sanatorium. Rodzina i najblizsze otoczenie ma sie przeswietlic, ktos musi miec otwarta gruzlice.

Tego samego dnia kilkakrotnie przeprowadzalem swoje „schodowe” badanie. Jak zwykle nie wykazalo odchylen od stanu normalnego, a wiec jestem zdrowy. Kto wobec tego zarazil mi dziecko? Moze babcia? Bywa tak, ze stara babcia ma przewlekla gruzlice, bawi wnuki, wnuki kolejno umieraja na pluca, a babcia wciaz „zdrowa”.

Posylam babcie na przeswietlenie. Nie jej nie brakuje. Zona? Tak samo.

Musze pognac na przeswietlenie kilku kolegow, ktorzy czesto odwiedzali mnie w domu. Okazuje sie, ze wszyscy zdrowi.

Ktoz wiec, u licha, zarazil?

–Pana jeszcze nie przeswietlalismy – przypomina doktor.

–Mnie? Po co? Przeciez jestem zdrow.

–Chodz pan, chodz pan. Nie bedziemy sie targowac. Tylko dla formalnosci, zebysmy byli pewni.

Przeswietlil. Powiedzial, ze cos jest. Zrobil zdjecie. Rzeczywiscie jest. Dziury wielkosci wisni w obydwu plucach.

A wiec „schodowe” badanie mnie zwiodlo. Bylem oszukany przez silna kondycje fizyczna, ktora utrzymywalem mimo przepitej nieraz lub czesciej przepracowanej

nocy. Oszukany wskutek tego, że nie miałem stanów zmeczenia, nie pocilem się, nie plulem krwią. A tu nagle: dziury w obydwu płucach.

Jedynym objawem był kaszel, ale miałem go już w latach 1943-1945 w obozie i miałem go bez przerwy na wolności. – To od papierosów – wmawiałem sobie i wszyscy mi przytakiwali.

"No to, syneczku – pomyślałem – zaczynamy wspólny start w leczeniu. Tylko że ja już dużo przeżyłem, a ciębie trafiło to na samym progu życia. Jeśli będziesz cierpieć z tego powodu w przyszłości, to przez nierozsadek i nieswiadomość ojca. Także wskutek powierzchownego potraktowania przez lekarza, który w 1947 roku po wykryciu nacieku nie zatroszczył się o pacjenta, nie pouczył, nie pokierował, nie nastraszył. Tym razem inny lekarz podszedł do przypadku z całą powagą i odpowiedzialnością".

Po tygodniu synek był już w sanatorium w Otwocku, a w tydzień po nim ja w sanatorium w Prabutach.

Tak się zaczęło.

2 WEJSCIE W ŻYCIE

Z Warszawy wyjechałem nocnym pociągiem. Mimo że na dworzec przyszedłem na godzinę przed odejściem, wagon był już podstawiony i wszystkie siedzące miejsca zajęte. Czerwiec, okres wyjazdów na urlop nad morze. Zająłem siedzące miejsce w korytarzu, niewiele jednak z niego skorzystałem, bo scisk i obok stoja dwie stare zakonnice oraz jakiś starszy facet; wybaluszył na mnie oczy, dając mi znać w ten sposób, że nie wypada aby młody facet siedział, a zakonnice stały. Ustąpiłem miejsca, ale powiedziałem, że jak mnie nogi zabolą, to zamienimy się. Zakonnice jechały do Gdanska, miały przed sobą dłuższą podróż, doszedłem więc do wniosku, że trzeba dać im posiedzieć. Nie znałem tej trasy, więc zapytałem o Prabuty i prosiłem, żeby mi ktoś obeznany z tą linią powiedział wcześniej, gdzie mam wysiąść.

–Pan do Prabut na urlop? – zapytała jedna z zakonnicek.

–Nie. Do sanatorium gruźliczego – odpowiedziałem, Nie zniżałem głosu do szeptu, stojący w pobliżu mogli mnie słyszeć.

–O, to przykre. Pan dawno choruje?

–Dowiedziałem się o chorobie dopiero przed paru tygodniami.

–To coś poważnego?

–Nie bardzo. Jesli sie gorzej nie rozchoruje, bedzie mi ciezko w tym stanie umrzec.

–Niech pan nie zartuje. Czy pan pratkuje?

–Chyba tak, zarazilem swojego malego.

–Z boza pomocą wyleczy sie pan, i dziecko...

–Szkopul w tym, prosze siostry, ze ja w boza pomoc nie wierze... Gdybym wierzył, nie jechalbym do sanatorium, lecz zalatwilbym sprawe z proboszczem swojej parafii.

–Oj niech pan nie bluzni! – upomniała mnie zakonnica.

Od kilku chwil zaobserwowalem ruch obok siebie. Pomalenu, nieznacznie zaczelo sie robic luzniej. Zrozumialem. Ludzie odsuwali sie z obawy, aby stojac przy mnie, nie zarazic sie... Trudno. Przynajmniej stoje swobodnie a nawet mam moznosc usiasc na walizce. Wtedy to zjawila sie mysl, ze choroba stanie sie dla mnie przyczyna niejednej przykrosci; ze tak jak obcy ludzie w pociagu, odsuna sie tez i ci, ktorzy uwazam za przyjaciol... Beda odsuwac sie nieznacznie i powoli, jak ci tutaj, a niektorzy moze uczynia to nawet szybko. Ale ja jestem twardy zawodnik. Znajomosci przesieja sie przez sito. Bojacy odpadna, a zostana wierni przyjaciele. Postanowilem wtedy nigdy i przed nikim nie ukrywac swojej choroby.

Nareszcie Prabuty. Jest dopiero godzina piata rano. Nie spieszac sie wszedlem do budynku stacji. Z miejsca przywital mnie duzy napis na przeciwleglych drzwiach: „Poczekalnia dla chorych z sanatorium w Prabutach”. Bytem juz uczulony „Izolacja” – zaklalem w myśli. Zajrzalem do „poczekalni”. Siedza dwie osoby.

–Panstwo tez do sanatorium?

–Tak.

–Podobno do sanatorium jest trzy kilometry. Ciekaw jestem, jak sie tam dostaniemy? Wszedlem poinformowac sie w kasie kolejowej.

–Prosze zadzwonic do sanatorium, to przysla bryczke. Czekajac, skracalismy sobie czas rozmowa na wspolny, interesujacy nas wszystkich temat: TBC.

Moimi rozmowcami byli: mezczyzna lat okolo trzydziestu pieciu i kobieta, ktorej na oko mozna bylo dac trzydziestke. Facet mizerny i widac, ze schorowany. Babka – przy kosci, dobrze wygladajaca.

–Dawno pan choruje? – zwrocila sie do mnie.

–Dawno, ale sie nie leczylem.

–Pierwszy raz do sanatorium?

–Pierwszy.

–Pewno beda chcieli zalozyc panu odme. Ja juz lecze sie szesc lat i nie dalem sobie zalozyc odmy.

–Dlaczego? – spytalem. – Jesli lekarze w ten sposob chca leczyc, to przeciez wiedza, co robia?

–Gdzie tam. Jak tylko zobacza dziurke, zaraz odma – tłumaczyła mi fachowo. – Co dwa tygodnie trzeba chodzic dopelniac, i to przez trzy lata. Zeby isc na dopelnienie, musi sie pan na ten dzien zwalniac z pracy, a gdy w pracy dowiedza sie, ze pan jest chory na gruźlice, moze pan miec trudnosci ze strony kierownictwa i wspolpracownikow.

Widzi pan, smieszne to, ale prawdziwe: jak kto idzie raz na dwa lata do sanatorium, to mniejsza na niego zwracaja uwage, chocby ten czlowiek nawet pratkowal. Ale jesli zwalnia sie raz na dwa tygodnie, bo musi isc do lekarza na dopelnienie, uwazaja, ze jest bardzo chory, i od takiego sie odsuwaja. Mimo ze chory z odma nie pratkuje, bo ma unieruchomione pluco i proces jest zatrzymany.

–To znaczy jednak, ze odma pomaga?

–Jesli sie uda. Czesto okazuje sie, ze byla nieskuteczna i dziura wylazi z powrotem. Ale najgorsza jest przepalanka.

–Musi mi pani zrobic wyklad, co to jest, bo ja ze slowem „przepalanka” kojarze tylko gatunek wodka – bagatelizowalem mimo przykrych perspektyw na najblizsza przyszosc...

–Wkluwaja sie do klatki piersiowej i przepalaja zrosty, miejsca, w ktorych pluco przyrosniete jest do oplucnej.

–Teraz juz jestem madry, ale czy ja musze miec zrosty?

–Kazdy czlowiek dorosly ma zrosty. A komplikacje? Po odmie albo po przepalance robi sie plyn. Plyn po pewnym czasie zamieni sie w ropa, a jak juz jest ropa, robi sie przetoka, to jest dziura w oskrzelach. Przetoka sie nie zlikwiduje, bo w komorze jest ropa, a ropy sie nie zlikwiduje, bo przez przetoke nastepuje w komorze infekcja.

Jeszcze nie dojechalem do sanatorium, a juz wiem, co mnie czeka! Nie dam zrobic odmy – klops. Dam zrobic – to woda, ropa, przetoka i... klops Wiec w zasadzie

wszystko jedno. Zobaczymy, co bedzie dalej.

W tym punkcie instruktazu przyszedl furman od bryczki. Kazal nam sie zaladowac i klip, klap, klip, klap – truchcikiem, pomalenu, szosa przez lisciaste lasy, gdzieniegdzie przetykane sosnami... Wreszcie bryczka zatrzymala sie przed budynkiem administracji.

Przydzielono mnie do pokoju, w ktorym juz bylo dwoch pacjentow. Jeden byl szewcem z Bydgoszczy, drugi studentem z Wloclawka. Po trzech dniach mowilismy juz sobie z Wladkiem i Henkiem po imieniu.

Ordynator zapowiedzial, ze do czasu ukonczenia badan zaleca mi scisle lozko. To znaczy zakaz wychodzenia na korytarz, do stolowki, swietlicy i parku w godzinach wolnych od lezakowania...

Trudno. Piekielnie nie lubie lezec, lecz postanowilem scisle stosowac sie do zalecen lekarzy. To wbrew wlasnej naturze, ktora buntuje sie przeciw wszelkim rygorom krepujacym moja swobode.

Po trzech dniach lekarz oswiadcza:

–Dziury po obydwu stronach. Na strone prawa proponuje odme boczna oplucnowa, o stronie lewej pomowimy pozniej.

–Dobrze, niech pan doktor robi odme – odpowiedzialem zdecydowanie.

Wyszedl i po kilku minutach wrocil z pielegniarka, ktora pchala przed soba wozek lekarski z aparatem do zakladania odmy.

–Doktorze, a czy to boli? – zapytalem.,

–Tak jak kazdy zastrzyk, tyle tylko, ze igla jest troche grubsza.

–A co bedzie z lewym plucem?

–Tam sa duze zrosty, ktorych nie da sie przepalic, wiec bedzie pan musial isc do innego sanatorium, gdzie maja chirurgie, i zrobic odme chirurgiczna, tak zwana „extre”.

–To moze mi pan wyjasni, co to jest „extra”?

–Wycina sie na plecach kawalek zeber. W ten sposob robi sie okienko, przez ktore doktor dostaje sie do srodka i odrywa oplucna od zeber...

–Dziekuje. Znam lepsze rozkosze od wycinania zeber i odrywania oplucnych. Zaczekam. Dziura wielkosci wisni. Zdaze to zrobic, jak bedzie wieksza.

–A jak pan nie zdazy?

–No to wysiadka... Ale myśle, że pochodzę jeszcze po tym głupim świecie.

–Mozemy zrobić odme boczna i próbować przepalic zrosty.

–A ile procent szansy, że się da przepalic?

–Nie daje żadnej szansy.

–No to się nie zgodzę. Piecdziesiąt procent dla pana i pięcdziesiąt procent dla mnie, to jeszcze mogłbym ryzykować.

Tymczasem pielęgniarka przygotowała aparat, igłę, wacik, doktor ułożył mnie na boku, pomacał, ponaciskał i...

–Wkluwam się – powiedział.

Po chwili już igła przeszła przez ciało do środka.

–Doktorze, nic nie boli – powiedziałem zadowolony i trochę zdziwiony.

–Później może trochę boleć, będa ciągnęły zrosty, bo płuco scisnięte, a zrosty trzymają.

–Czy mam dalej ściśle łóżko? – zapytałem.

–Nie. Ale niech pan jeszcze poleży trzy, cztery dni, żeby się odma dobrze ułożyła.

–Lekarz opuścił pokój, a w chwili po nim wyszła pielęgniarka z wozkiem.

–No, to odme już mam. Teraz czekam na ból zrostów, wodę, ropę, przetokę i koniec.

Pierwszy ma być ból zrostów. Leżę i czekam, kiedy się zaczną, a bólu nie ma. Odme zrobiono o godzinie dziesiątej, a tu już południe, popołudniowe leżakowanie, a bólu wciąż nie ma. Gdy do końca leżakowania nic nie zabolalo, doszedłem do wniosku, że wszyscy mnie oszukują i postanowiłem wyjść do parku na spacer.

Ubrałem się i spacerkiem, powoli chodziłem alejkami zwiedzając teren. Oto weranda.

–No, no – zdziwiłem się głośno. – Ja bym to nazwał stajnią. Tylko porobic przegrody, żeby się konie nie pokopały.

–To prowizoryczne – powiedział chory, przy którym się zatrzymałem. – Maja

budowac nowe, ale przedtem musza wykonczyc pawilony. Lezec mozna i w pokoju. Chorych jest znacznie wiecej niz miejsc w sanatoriach. Ja pol roku czekalem na miejsce... A pan?

–Dwa tygodnie.

–To chyba po znajomosci.

Zrobilo mi sie troche glupio. Odpowiedzialem jednak zgodnie z prawda ze jestem pracownikiem szpitala, w ktorym leczono gruźlice, ze ordynator zajal sie moja sprawa i po kilku dniach zawiadomiono mnie o miejscu w sanatorium... Ale czy to bylo po znajomosci, czy nie, nad tym sie nie zastanawialem.

–Co to? – spytalem. – Ktos gra na akordeonie?

–A tak. Jest tu jeden mlody chlopak, ktory przywiozl ze soba akordeon.

–Chodźmy tam, posłuchamy.

W drugiej lezalni, na polowych lozkach zastepujacych lezaki, siedziala grupa mlodziezy. Jeden z mlodych gral na akordeonie.

–Moze zagramy razem? – zapytalem po przesluchaniu kilku melodii.

–Jaki pan ma instrument?

–Bandzole – odpowiedzialem. – Jest w pawilonie, w pokoju.

Pobieglem do pokoju i po chwili wrocilem z bandzola. Gdy dostrajalem sie do akordeonu, wszyscy niecierpliwie czekali, jak to nam wyjdzie w duecie. Zaproponowalem kilka melodii, ale okazalo sie, ze moj kolega dopiero sie uczy grac i zna jeszcze malo piosenek.

–To graj pan, co sie panu podoba. Ja bede ciagnal za panem.

Zagrał. Pociagnalem za nim i wyszlo dobrze. Juz zebrala sie wokol nas duza grupa chorych, gdy odezwal sie dzwon wzywajacy na kolacje.

Zauwazyłem, ze prawie wszyscy mowia sobie po imieniu. Tego samego dnia i ja z kilkoma najbardziej sympatycznymi chlopakami bylem na „ty”, a po kilku dniach znalem juz prawie wszystkich.

Najwazniejsze znajomosci zawarte tego dnia to: Henio-akordeonista, Marian i Roman.

Marian jest pracownikiem sanatorium. Ma lat dwadziescia szesc – od szesciu lat

chory na gruźlicę. Dwie odmy boczne. Wygląda źle. Oddech szybki i krótki.

–Szykuje się powoli do wysiadki – powiedział pewnego dnia. – Dwie odmy i nowe dziury wyskakują. Gdyby jedno płuco tylko, to mogliby zrobić plastykę, ale jak oba dziurawe, to...

–Jaka plastyka? – zapytałem. – Bo słowo plastyka kojarzy mi się tylko ze sztuką.

–O, patrz! Ci dwaj to plastycy – rzekł pokazując idących przed nami mężczyzn. – Trzech ich przyjechało z Instytutu Gruźlicy w Gdańsku. Przypatrz się, że jedno ramie mają wyższe. Wycieli im po siedem żeber.

–Czy usypiają przy takich operacjach?

–Nie. Znieczulają tylko i robią na żywo. Jak siedem żeber, to na dwie raty, a jak więcej, to na trzy raty. – Tu wdał się w szczegóły.

–Trochę to dla mnie za mało – odpowiedziałem – ale niech i tak będzie. Mnie jeszcze plastyki nie proponują. Dopiero zaproponowali odme zewnętrzno-płucnowa.

–Pod względem operacji to taka sama cholera, jak plastyka, tyle tylko, że nie deformuje.

–Na to mam jeszcze czas – dodałem.

–Nie wiadomo – odpowiedział Marian, Ja też byłem taki mądry jak ty, a dzisiaj jest za późno., „Co oni tam wiedzą”, mówiłem. Lubie pływać, a lekarze zabraniają. Kapalem się raz i drugi w jeziorze i nic mi nie było. Poszedłem znów kąpać się i opaść na słońcu. Zazębienie, silna gorączka, przeswietlenie i już są dziury w drugim płucu. A teraz, jak widzisz zakończył.

Po kilku dniach wsadzono go na ściśle łóżko i do końca swego pobytu odwiedzałem go w pokoju.

Następnego dnia lekarz dopełnił mi odme, a wieczorem po kolacji znów wyszedłem na spacer.

–Przepustkę dostać ciężko – opowiadał Roman – i musi być ważny powód, a jak złapiesz bez przepustki, to nagana z ostrzeżeniem ogłoszona przez miejscowy radiowęzeł, a drugie złapanie to karne zwolnienie. Karne zwolnienie połączone jest z powiadomieniem instytucji, w której kuracjusz pracuje, oraz Centralnej Poradni, która przydzieliła miejsce, i wtedy taki facet dwa lata nie otrzymuje skierowania do sanatorium, chyba że dostanie krwotoku i potrzebna natychmiastowa pomoc.

–Racja – odpowiedziałem. – Sam lubię wypić. Ale jak człowiek idzie się leczyć, to

niech chociaż w tym czasie nie pije. Tyle ludzi czeka na miejsca w sanatoriach.

–Siedzis tu dopiero tydzien. Zaczekaj, zobaczymy, co bedziesz mowil, jak polezysz pol roku. Jak bedziesz chorowal kilka lat i nie bedziesz widzial zadnej poprawy, a przeciwnie, z kazdym rokiem stan bedzie sie pogarszal. Jak bedziesz zyl i nie bedziesz widzial przed soba mozliwosci wyleczenia i mozliwosci dalszego zycia. Mam rodzine i jestem sam – mowil Roman. – Rodzina sie odsunela. Gruzlica. W domu male dzieci. Odeslali mi ubranie i napisali, zebym sie u nich nie pokazywal wiecej. Leze juz pol roku. Z pracy zwolnili. Dostaje zasilek chorobowy. A co bedzie dalej? Gdzie pojde, jak mnie wypisza z sanatorium i skonczy sie zasilek? Kto mi da jesc? Kto przyjmie do pracy? Gdzie bede mieszkal? Czy czlowiek nie moze sie w takiej sytuacji zalamac i mimo choroby zaczac pic?

Po tygodniu, zaraz po rannym lezakupaniu, przyszedl do mnie Roman Byl bardzo przybity.

–Jutro wyjezdzam – powiedzial krotko. – Karnie.

–Za co? – zapytalem zdziwiony.

Jest nas trzech w pokoju, zsunelismy lozka i gralismy w karty, w tysiacu. Wpadl do nas dyrektor i zalatwil krotko: „O, karty? Pan, pan i pan – jutro karnie do domu”.

Moze chce was tylko nastraszyć?

Nie. Bylem juz u niego i prosilem, zeby mnie zostawil. Nie zgodzil sie. Wiecie, ze nie wolno grac w karty – powiedzial. – I za to bede wyrzucal. Pan nie moze byc wyjatkiem”.

–Czy naprawde nie wolno grac w karty? – zapytalem.

–Nie wolno grac hazardowo, na pieniadze. Taki jeden z drugim gra pokera, denerwuje sie, a to nie idzie na zdrowie. Bywa tak, ze potrafia w jeden wieczor przegrac miesieczne pobory przeslane im do sanatorium. Ale my z nudow gralismy w tysiacu, i to lezac w lozkach.

–Wiecej go prosic nie bede – dodal Roman wychodzac z pokoju.

–Przed kolacja poszedlem na lezalnie pawilonu pierwszego. W roznych miejscach na zsunietych polowych lozkach, zastepujacych lezaki, grupy grajacych. Wszedzie gry hazardowe – glownie poker. Zamiast pieniedzy – zapalki. Kazda zapalka przedstawia umowna wartosc pieniedzy. Zapalki to asekuracja na wypadek zlapania przez lekarzy. Wszedzie napiete, rozgoraczkowane z emocji twarze.

Rano przyszedl do pokoju Marian.

–Wiesz, co zrobil Roman? – zapytal. – Wczoraj wieczorem chlasnal sobie zyly na reku.

–I co z nim?

–Zyje. Tylko cala noc go pilnowali. Szybko zauwazyli, bo kilka chwil potem, jak pociagnal zyletka, jeden z jego kumpli wrocil do pokoju. Gdyby przyszedl troche pozniej, juz byloby po nim.

–I co temu balwanowi strzelilo do glowy? – mowilem glosno. – Mysli, ze jak musi wyjechac, to juz sie na tym zycie konczy? Mielismy rozmawiac dzisiaj z dyrektorem.

–Dyrektor jest uparty – odpowiedzial Marian. – Jak raz cos postanowi, to nie ustapi.

–Zobaczymy. Jak nie zechce ustapic, to bedziemy szukali innej drogi.

Po sniadaniu odwiedzilem Romana. Lezal blady, z zabandazowana reka, Przy lozku siedziala pielegniarka.

–Co narobiles, baranie glupi?

–Ano, jak widzisz. Sam nie wiem, co mi do lba strzelilo. Nie wiedzialem co robie.

–To widze, ze nie wiedziales, co robisz. Gdybys wiedzial, urzadzilbys sie madrzej. Kto to widzial, zeby robic takie rzeczy w pokoju? W lesie, w największych krzakach, to rozumiem. Za tydzien moze by ktos przypadkiem ciebie znalazl. A ty tak, zeby odratowali. Drugi raz jak bedziesz, lajzo chcial sobie odebrac zycie, to zrob tak: postaraj sie o pistolet, trucizne i mocny sznur. Wyszukaj drzewo rosnace nad gleboka woda. Usiadz na galezi, do ktorej przywiazesz sznur, a petle zaloz na szyje. Wtedy wypij trucizne i strzel sobie w leb. Jak spadniesz z galezi, to sie dodatkowo powieszisz. A gdy przypadkiem sznur sie zerwie, to jeszcze na dole jest gleboka woda. Jak by nie bylo, w takim ustawieniu nie masz prawie zadnej szansy na uratowanie. A ty co? W pokoju sobie zyly przecina. Oj, ty baranie, baranie...

–Pijany byles? – zapytalem cicho, gdy pielegniarka na chwile odeszla od lozka.

–Troche na cyku.

–Po obchodzie idziemy do dyrektora.

–Ma przyjechac karetka pogotowia i przewioza mnie do szpitala – powiedzial Roman, gdy juz wychodzil z pokoju. Po godzinie przyszedl kolega, z ktorym mialem isc do dyrektora.

–Wiecie, co z Romanem? – zapytal kolega.

–Byłem u niego po śniadaniu – powiedziałem. – Mówił, że mają go przesłać do szpitala.

–Tak. Już go zabrali. Do szpitala... wariatów – dodał po chwili.

–Fiuuu! – gwizdnąłem. – To takie buty? – Chodź, idziemy do telefonu i dzwoniemy do MO i partii. Żeby MO przeprowadziła dochodzenie, kto tu jest winien. Czy była przyczyna do natychmiastowego karnego wypisania z sanatorium, i to chorego w takim ciężkim stanie, i czy jest podstawa do przesłania Romana do domu wariatów. A partię zawiadomimy, żeby wiedzieli, co się tu dzieje, i żeby interweniowali o zatrzymanie tych dwóch sanatorium.

Po godzinie pielęgniarka zawiadomiła tych, którzy już „siedzieli na walizkach”, że wypis został wstrzymany.

Po pięciu dniach Roman wrócił – z tym, że przeniesiony zostanie do innego sanatorium.

–Wiecie, to jest tak – powiedziała do nas pani Zosia, koleżanka, którą poznałem w poczekalni dworcowej. – Gruzlik odbiera sobie życie w dwóch wypadkach: gdy dowie się pierwszy raz, że jest chory, i gdy się dowiaduje, że w jego stanie zdrowia nastąpiło raptowne pogorszenie. Jak przetrzyma wiadomość kilka dni, to chce odebrania sobie życia przechodzi. Człowiek godzi się z sytuacją i walczy o to, żeby to głupie życie gruzlika przedłużyć.

–O, patrzcie – powiedziała, pokazując rece. – Gdy dowiedziałam się, że mam dziury w płucach, przecielam brzytwą żyły obu rak. Uratowali. Szesć lat już minęło. Żyje i jak widac po mnie, chyba jeszcze kilka lat pożyje. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

–No, powiedzmy... A wiecie, co sobie pomyślałem? Że nasza choroba to choroba arystokratyczna.

–Dlaczego?

–Bo patrzcie, jakie ma wymagania: nie pracować, nie przemęczać się, dobrze się odżywiać, jak najwięcej siedzieć w gorach. Kto może sobie pozwolić na taki luksus? Tylko arystokrata. Jeśli po trzech miesiącach nie zgłosi się do pracy, to mnie zwolnia i wtedy nie tylko ja, ale i rodzina nie będzie miała co do ust włożyć. Jakis czas jeszcze będę dostawał zasilek chorobowy. Poł roku, ale co dalej? Kto przyjmie do pracy takiego z dziurami? Nawet się temu nie dziwie. Każdy człowiek odpowiedzialny za instytucję chce mieć u siebie ludzi zdrowych. Jak przyjmie chorego, może być pewien, że ten po kilku miesiącach pracy wyskoczy mu na długi czas do sanatorium. A zwolnić go nie może do czasu, aż przekroczy ustawowy okres prawa do chorowania, trzy miesiące. I nie wiadomo, co tu gorsze. Czy przedłużenie

czasu leczenia, żeby pacjent miał możliwość wrócić do zdrowia, czy ucieczka chorych nie wyleczonych przed upływem trzech miesięcy, żeby się stawić do pracy – z tym, że ludzie ci wkrótce muszą wrócić do sanatorium...

–Najlepiej byłoby gdybyśmy wcale nie chorowali – odpowiedziała Zosia. – Może wreszcie uczeni wynajdą jakiś lek, który radykalnie potrafi nas wyleczyć? Takich leków już wiele było i jeszcze wiele będzie. Ludzie rzucają się na nowy lek, wyprzedają się i płacą olbrzymie sumy, żeby go tylko zdobyć, a potem okazuje się, że lek, owszem, trochę pomaga, ale nie wyleczy kogoś, kto już stoi nad grobem, a właśnie tacy chwytają się nowych leków jak tonacy brzytwy.

Trzeciego dnia po założeniu odmy lekarz przeswietlił mnie i powiedział:

–Wysiek, woda w komorze odmowej.

–No i co? – zapytałem. – Bedziemy wypompowywać?

–Zaczekamy kilka dni. Jak się nie wessie, to spunktujemy.

–A jak nie zniknie, to co będzie? – zapytałem. – Ropa, przetoka i co? Koniec?

–Niech pan nie myśli od razu takimi kategoriami, u wielu osób powstaje płyn. Czy leżał pan po założeniu odmy? – zapytał doktor.

–Nie. Łazilem. Powiedział pan, żeby leżec, bo będzie boleło, a że nie boleło, to chodziłem po parku.

–Niepotrzebnie. Trzeba było leżec, żeby się odma ułożyła, żeby organizm przyzwyczaił się do nowej sytuacji.

–Trzeba było mi to wyraźnie zalecić – odpowiedziałem zdenerwowany – Pan mi to powiedział tak, jakby pan tylko radził.

Doktor wyszedł., „Powinien był ostrzec, czym grozi chodzenie w takiej sytuacji – myślałem. – Skąd i od kogo miałem o tym wiedzieć? Nikt mi nie zwrócił uwagi”.

Po kilku dniach, gdy miałem już płynu po pachy, doktor zdecydował się zrobić punkcje.

Wziął pod rentgen. Ołówkiem zaznaczył dolną linię płynu. Posadził na stolku. Przygotował strzykawkę o pojemności 50 cm³ oraz igłę o średnicy chyba 2 mm.

–Znieczulić? – zapytał.

–Nie warto – odpowiedziałem. Po co ma mnie boleć dwa razy? Raz przy znieczuleniu i drugi przy punkcji?

Z glupia mina popatrzyłem na igłę, bo pierwszy raz miałem dostać taką igłą między zebra, – ale nie taki ból już przechodziłem i wytrzymałem to i ten wytrzymam. Postanowiłem nie drgnąć i nie skrzywić się, gdy będzie wbijał igłę.

Doktor wymacał miejsce między zębami i już pcha igłę. Ta nie chce wchodzić, więc dociska mocniej. Opieram się o poręcz krzesła, żeby mnie nie zepchnął, i patrzę, jak igła wchodzi mi między zebra. Doktor zakłada strzykawkę, wciąga w nią płyn i wylewa do słoika. Znowu zakłada, wylewa i wreszcie koniec.

– Teraz niech pan leży ściśle przez dwa dni – powiedział. – Jeśli płyn nie znajdzie, to znaczy, że mamy szczęście. Jeszcze muszę dopełnić odme, bo w boku pusto.

Po dwóch dniach przesświetlenie wykazało, że płynu w boku jest jeszcze więcej.

– Nie udało się – powiedział doktor. – Bedziemy starali się osuszyć inaczej. Przepisze panu wapno, dożylnie.

– Panie doktorze – zapytałem – koledzy mówili mi, że podobno płyn schodzi, gdy się bok naciera szarym mydłem. Czy to prawda?

– Czasem pomaga, ale to nie jest pewny środek. Powiem pielęgniarce, żeby panu przyniosła szarego mydła, i niech pan naciera. Jeśli nie pomoże, to i nie zaszkodzi.

Od tego dnia leżałem codziennie aż do kolacji. Po kolacji wychodziłem do parku na spacer, lecz unikałem wysiłków i przemeczenia. Bez przerwy czytałem książki, żeby się czymś zająć. I tak wytrwałem prawie do końca pobytu w sanatorium. Przez cały czas nie przyjąłem żadnego zaproszenia na wódkę. Wieczorami zbieraliśmy się w świetlicy i uprawialiśmy się w zespołowym graniu.

Pielęgniarka oddziałowa powiadomiła wszystkich, że: „W dniu dzisiejszym o godzinie dziewiętnastej w świetlicy dyrektor wygłosi pogadankę dla chorych”. Poszedłem. Na sali zebrało się kilkadziesiąt osób. Dyrektor mówił o możliwościach zakażenia gruźlicą. Jak postępować w domu, żeby nie zarazić domowników. Co należy robić, żeby nie pogłębiać choroby, a przeciwnie, przyspieszyć wyleczenie. Wynikało z tego, że nic właściwie nie wolno robić z tych rzeczy, które normalnemu człowiekowi sprawiają przyjemność. Nie wolno opalać się, używać kąpielii rzecznych, stawowych, sadzawkowych itp. Jedyna dozwolona kąpiel to w wannie, lecz woda nie może być za chłodna, ale i nie za gorąca. Wreszcie wytacza „ciężką artylerię”:

– Nie wolno pić wódki. Nie wolno palić. Palenie nie jest zabronione, bo to byłaby wojna z wiatrakami, ale trzeba odzwyczajając się lub ograniczyć do minimum.

– A jak ta reszta? – zapytałem. – Wie pan, „względem tego, co i owszem”? Czy też nic z tych rzeczy? To już byłoby za przykre. Przecież już tylko dla tego samego warto żyć... I czego się śmiejecie? – zwróciłem się do zebranych. – Przecież mówię

całkiem poważnie. – I kończąc zdanie dodałem: – A podobno chorzy na gruźlicę są wybitnie pobudliwi.

–Moim zdaniem – mówił doktor – to mit, który powstał w wyniku

obserwacji życia sanatoryjnego. A dlaczego, to nie muszę nawet dłużej, mówić. Leczą się tu chorzy z małymi zmianami. Przebywają w sanatorium trzy, pięć, sześć miesięcy. Od godziny dziewiątej do dwunastej leżenie, o czternastej do szesnastej leżenie, od dwudziestej pierwszej trzydziestej do siódmej rano spanie, czyli wypoczynek, pięć razy dziennie treściwe posiłki. Do tego własne produkty, kupione lub przysłane z domu. Ot, i cała tajemnica. Jak ktoś naprawdę chory, z temperaturą, brakiem apetytu, takiemu nic się nie chce. Ludzie jeżdżą na wczasy tylko na dwa tygodnie kończył doktor – i nie wiem, dlaczego nie mówi się o wyjątkowej pobudliwości wczasowiczów.

Gdy doktor skończył, znowu zabrałem głos:

–A teraz mam drugie, nie mniej ważne pytanie: Jak to jest właściwie z tym pić wódkę? Każdy doktor mówi: "Nie wolno pić". Zgoda. Ale ja lubię wypić i chciałbym znać prawdę, bo obserwując chorych, widzę, że wielu pije, a niektórzy nawet piją dużo i nie widac, żeby im to szkodziło. Rozmawiałem z takimi, którzy twierdzą, że niektórym wódka pomogła wyleczeniu. W to nie wierzę, ale boję się, że mogę popijać wtedy, kiedy to będzie jak najbardziej niewskazane.

–Ustawiamy sprawę tak – odpowiedział doktor – że wódki pić nie wolno. Ale mówiąc szczerze, wypicie od czasu do czasu 100-150 gramów nie zaszkodzi. Nie wolno natomiast wypić nawet piwa, jeśli w płwocinie pokaza się najmniejsze chociażby żyłki krwi. Alkohol rozszerza naczynia krwionośne i wtedy może nastąpić krwotok.

–O, tak postawiona sprawa to mi się podoba-zawolałem z uznaniem. Teraz wiem, czego się trzymać.

Już przebywam w sanatorium dwa i pół miesiąca. Leżę, czytam, odżywiam się po kolacji spacer i lulu. Oto moje codzienne życie. Mimo takiego cnotliwego życia płyn w boku utrzymuje się. Koledzy doradzają streptomycynę, ale jest jej mało i nie każdy może otrzymać.

–Jak będa brali płwocinę do analizy – namawiał Marian – to przyjdź do mnie, napłuje, będziesz miał wtedy pratków do cholery i przydziela strepto. – A po co mi strepto, jak za dwa tygodnie koniec kuracji? Dłużej nie będę siedział, bo mogą zwolnić z pracy. Nie wiem tylko, co robić na ten płyn. Widzisz, jaki jestem grzeczny – i... nic.

–Znałem wypadek – mówi Marian – że facet, który miał już rok płyn w boku, musiał pojechać siedem kilometrów w czasie mrozu na rowerze.

Jechał, zmeczył się, spociał i poczuł, że go boli w boku. Następnego dnia poszedł na przeswietlenie, żeby sprawdzić, co mu jest. Okazało się, że komora sucha, a płuca trze po zebrach i dlatego boli. I zgadnij teraz, jak należy postępować.

Następnego dnia postanowiliśmy wypić w czterech buteleczkach wina. Po wypiciu kupiliśmy jeszcze cztery i pililiśmy w krzakach, każdy ze swojej butelki.

–Idziemy do knajpy – dał hasło jeden z nas.

Po wypiciu wina nikomu nie musiało się powtarzać tego dwa razy. Wyszliśmy przez dziurę w ogrodzeniu i unikając spotkań z pracownikami sanatorium znaleźliśmy się wreszcie w knajpie.

Okazało się, że personel jest wyszkolony i zna swoją klientelę. Gdy po wejściu na salę główną rozglądaliśmy się, czy nie ma kogo "tryfnego", podszedł kelner.

–Panowie z sanatorium? – zapytał po cichu. – To proszę za mną, tu jest taki mały pokój, nikt was nie będzie widział.

W pokoiku były dwa stoliki, a przy jednym siedziało pięciu gości z sanatorium, – których z widzenia znałem. Byli już dobrze na gazie. Posiedzieli jeszcze pół godziny, wyszli. i w pokoju została tylko nasza czwórka.

Na stole literki i zagrycha. Wypiliśmy. Zapłaciliśmy. Poprosiliśmy jeszcze cwiarteczkę. Stała już na stole, gdy wpadł kelner wołając:

–Dyrektor na sali. Sprawdza, kto jest z sanatorium. Skaczcicie przez okno.

Szybko wypiliśmy nalana już w kieliszki wódki i kolejno, przez okno, które wychodziło na tyły budynku, wydostaliśmy się na podwórze, a stąd chyłkiem w pole i ścieżkami wzdłuż szosy do sanatorium.

Odetchneliśmy z ulgą, gdy już znaleźliśmy się w parku.

–To nam popędził kota – powiedziałem. – Który jutro idzie do knajpy? Trzeba zapłacić za ostatnią cwiartkę i dać kelnerowi kilka złotych za ostrzeżenie.

Okazało się, że tych pięciu, którzy wyszli wcześniej, złapał dyrektor na drodze i następnego dnia przez miejscowy radiowęzeł ogłoszono ich nazwiska, że za samowolne opuszczenie sanatorium i picie wódki otrzymują nagane z ostrzeżeniem. Następną wpadką to wyjazd do domu. Nam się udało.

Miałem rozmowę z ordynatorem. Zapytałem, czy mogę się wypisać.

–Nie, stan pana zdrowia jest taki, że powinien pan jeszcze kilka miesięcy przebywać

w sanatorium.

–Jak długo?

–To sie nie da przewidziec. Powinien pan zgodzic sie na operacje.

–I co dalej? – zapytalem. – Koncza mi sie trzy miesiace leczenia Instytucja moze mnie zwolnic. Kto da jesc rodzinie? Dwoje dzieciakow stara matka, zona i ja... Popracuje troche i znow pojde do sanatorium. za jednym zamachem nie moze. Niech mnie pan wypisze – dodalem.

–Wypisze pana – odpowiedzial doktor – ale dalszego zwolnienia nie dam, bo to panu nic nie pomoze. Powinien pan tu lezec.

Kilka osob wypisanych tego dnia odwieziono wozem na stacje. Mialem. dwie godziny czasu do odjazdu pociagu, wiec walizke oddalem do przechowalni, a sam poszedlem do knajpy.

W Warszawie, zamiast do domu, poszedlem do knajpy, w ktorej grali koledzy w orkiestrze, i do domu trafilem juz dobrze pijany. Nastepnego dnia jezdzielam duzo po miescie. Gniotlem i trzaslem sie w tramwajach i trolejbusach i tylko sluchalem, jak mi plyn chlupie w boku. Wieczorem znow popilem. I tak przez cztery dni. Jak desperat, ktoremu juz wszystko jedno.

Piatego dnia zglosilem sie do poradni. Ciekawe, jak tez sobie dogodzilem...

Lekarz wezwal na przeswietlenie kilka osob rownoczesnie.

–Ma pan na dnie komory troszke plynu, tak z kieliszek – powiedzial do pacjenta stojacego pod rentgenem.

–To niewiele, doktorze – odezwalem sie. – Za chwile zobaczy pan jezioro...

–Nie ma pan ani kropli plynu – oswiadczył mi lekarz po przeswietleniu. – Dopelnimy, zeby pluco nie podrastalo.

Zamilklem z wrazenia. Wiec jak to jest? Lezałem trzy miesiace i zadna sila lekarska nie umiala zlikwidowac plynu w plucach: A teraz, po czterech dniach intensywnego zycia, po pijatykach – nie mam plynu?

Sekret tego procesu poznalem znacznie pozniej. Teraz jednak z owej niespodzianki wysnulem tego rodzaju wnioski, ze niewiele brakowalo, abym nieznajomosc zagadnienia przyplacil zyciem.

Podjalem wiec normalny tryb zycia. I oto jestem znow jak gdyby tamtym z pociagu,

w drodze do sanatorium. Nie ukrywam swojej choroby, a ludzie odsuwają się. Jedni nieznacznie, pomalutku, inni szybko i zdecydowanie. Robi się koło mnie luzno.

Oto dwie rodziny, z którymi żyłem w przyjaźni. Odwiedzaliśmy się często nawzajem. Po powrocie z sanatorium byłem u nich kilkakrotnie. I oni przyjmowali moje zaproszenia, lecz – nie przychodzili...: Zrozumiałem. Przestałem tam chodzić. Oni też nie dali więcej znaku życia.

Kiedys kolega poprosił, żeby zajść w odwiedziny. Gdy zbliżałem się, spostrzegłem w jego mieszkaniu kogos w otwartym oknie – znikł na mój widok. Dzwoniłem kilka razy, lecz drzwi nie otworzono.

Inny kolega zaprosił mnie do siebie na niedzielę z całą rodziną. Gdy przyszliśmy o umówionej porze, nie było nikogo.

To nie koledzy odsuwali się. Decydowały ich żony, w obawie, że obecność moja może spowodować zarażenie gruźlicą rodziny.

Gdy jadę tramwajem, a w pobliżu znajduje się ktoś z małym dzieckiem – przesuwam się, żeby być jak najdalej. Mam świadomość swojego stanu zdrowia i postępuję tak, by uniknąć zakażenia otoczenia. Świadomość, niestety, nie osłabia przykrego przeżywania takich sytuacji. Nieraz też przesadza się w ostrożności i izoluje chorych ujawniających się, którzy racjonalnie postępując nie narażają zdrowia otoczenia. Nie ulegają natomiast izolacji ci, którzy ukrywają swoją chorobę. To fakt powszechny, że w otoczeniu znajduje się wielu chorych, o których chorobie koledzy dowiadują się dopiero wtedy, gdy już sami idą do poradni; „G”.

Jednym słowem sytuacja gruźlików w społeczeństwie to nie byłoby jakiś problem. Ale ja jestem twardy zawodnik... Od powrotu z sanatorium wiele lat będę chodził do poradni dopełniać odmy. Nieraz jeszcze będę w sanatorium. Jeśli utracę te i owe znajomości, to wiem, że odpadli ludzie słabi charakterem. Przy mnie pozostali tylko wypróbowani przyjaciele. Wkrótce liczba ich się powiększy o nowych, poznanych w sanatoriach. Łącząc nas będzie wspólna dola. Wspólna droga.

Tak to jeszcze raz "wszedłem w życie". Nie jestem już nowicjuszem, fachowy gruźlik ze mnie.

3 FACHOWY GRUŻLIK

Pół roku byłem w domu. Pracowałem normalnie, bez zwolnień. Już się przyzwyczaiłem do swojej choroby, nie wyprowadza mnie z równowagi. Wiem, że picie szkodzi, ale w ascetyzm nie popadłem. Regularnie chodzę do poradni dopełniać odmy. Syn jeszcze w sanatorium, to już dziewięć miesięcy. Na mnie kolej do Zakopanego. Do wyjazdu zdopingowało mnie krwioplucie.

Kilku kolegów przyszło pożegnać mnie i życzyć zdrowia. Po koleżeńsku. z alkoholem...

Zakopane. Dwa dni w sanatorium przejściowym, tu rozdzielano przybyłych po innych sanatoriach. W dużej sali było nas dwunastu. Niektórzy już czekali na miejsce kilka dni. Ścisłe leżenie nie obowiązywało. Po kolacji zaczęła się rozmowa. Chorzy, jak zwykle, zajęli sobą.

Czytając gazetę, przysłuchuje się. – Co panu jest?

–Mały naciek w prawym szczycie – ale to nic wielkiego, to się szybko zlikwiduje.

–A pan bardzo chory?

–Nic mi właściwie nie jest, przysłali mnie tylko na przebadanie. Z drugiej strony sali dochodzi podobna rozmowa:

–Pan od dawna choruje?

–Szesc lat. Ale już wszystko w porządku. Przyjechałem tylko trochę wypocząć.

–A co u pana?

–Jamka wielkości pestki wiśni, ale już się likwiduje...

pomyślałem: "Gdyby was przeswietlić, okazałoby się, że to dziury, przez które przejdzie kot z podniesionym ogonem... Czego się wstydzicie, kogo się wstydzicie?" Widzę, że ukrywanie faktycznego stanu zdrowia tak im weszło w krew, że zaczynają sami wierzyć w to, co mówią innym.

Następnego dnia rano zadzwoniłem do swojego przyjaciela jeszcze z obozu, który był wicedyrektorem w Dyrekcji Zespołu Sanatoriów: – Jestem w sanatorium przejściowym. Zabierz mnie stąd, gdzie chcesz, ale już chciałbym się gdzieś na stałe ulokować. Jestem tu od wczoraj i mam dość.

–Złatwie ci skierowanie do „Akademickiego” – powiedział kolega. – Z młodzieżą będziesz się czuł dobrze.

–Niech będzie "Akademickie".

Sanitarka zabrała trzy osoby, wśród nas jedna młoda kobieta. Wysadzili nas na drodze, musieliśmy dralować z walizkami piechotą. Dojazd zawałił śnieg, nie można było jechać dalej, bo na drodze ugrzązł wóz ciężarowy, nie dałoby się go ominąć ani zawrócić.

Była jeszcze pora rannego leżakowania, gdy zbliżaliśmy się do budynku

sanatoryjnego. Ktos wyjrzał przez poręcz werandy, krzyknął i po chwili. przy balustradach na czterech pietrach ukazało się mnóstwo postaci machających kocami, poduszkami i gazetami. Wszyscy wolają coś, pozdrawiają i zapraszają do siebie. "Wesołe towarzystwo – pomyślałem. – Witają jak starych znajomych".

Po załatwieniu formalności otrzymałem miejsce na oddziale na czwartym pietrze. Pielęgniarka zaprowadziła mnie do pokoju i pokazała, na którym łóżku mam leżeć. Z czterech łóżek tylko jedno było zajęte. Jako „stary wyjadacz” przywitałem się z sąsiadem jak ze znajomym.

–Az trzy łóżka wolne?

–Nie, dwóch jest na werandzie. Dochodzi dwunasta, więc za kilka minut beda.

–Czy rygory są ostre? Wolno wychodzić na miasto?

–Wolno wychodzić, ale w stronę miasta tylko do mostku. Jak złapiesz w mieście, robisz awanturę, ale kto tam będzie łapał... Żeby tylko się nie spóźnić, to nikogo nie obchodzi, gdzie kto idzie w czasie wolnym od leżakowania.

Do pokoju weszło dwóch młodych chłopaków. Rozesmiani, z zaróżowionymi od mroźnego powietrza twarzami. Przywitalismy się, a po chwili, gdy kilku innych weszło obejrząc nowego, przedstawili mnie: "Nasz nowy kolega". "Mówili sobie "ty" i tytko ja jeden byłem "pan". Przypuszczając, że przyczyną tego może być różnica wieku, wieczorem zaproponowałem, kolegom z pokoju, żebyśmy sobie mówili po imieniu.

–O, nie! – zaprotestowali. – Nie można. Dopiero po chrzcie. Postaramy się szybko zrobić chrzest.

–Jaki chrzest?

–Sanatoryjny. Kto się nie pozwoli ochrzcić, z tym jesteśmy na "pan". Każdy z nas ma sanatoryjne imię.

Po południu przyszedł na oddział jeszcze jeden nowy. Pojutrze chrzciny. Przez ten czas musimy się z sobą bliżej poznać.

Trzeciego dnia po śniadaniu zapowiedziano chrzest.

Na oddziale brak było spiworów, więc dla mnie i drugiego nowego pożyczono od tych, którzy mieli podwyższoną temperaturę i doktor zabronił im wychodzić na werandę.

Nasze łóżki ustawiono na środku werandy, przodem do wszystkich werandujących.

–Kogo wybieramy na przewodniczącego? Na sekretarza?

Odkonny se glosowanie. Przewodniczący zaczął uroczystość przemówieniem:

–Każdy nowo przybyły na Czwarta Wysoka Weranda na własne życzenie może zostać ochrzczony i stać się członkiem rzeczywistym Werandy. Do chwili chrztu nowo przybyły jest "Struclem" lub inaczej "Noworodkiem". Członkowie Werandy nazywają nowego tym mianem, natomiast nowi pacjent obowiązany jest zwracać się per: "Wysoka Weranda". Obrzęd chrztu ma dwa zasadnicze cele: sprawdzić poziom intelektualny "Noworodka" oraz jego poczucie humoru. Dlatego chrzest składa się z dwóch części: poważnej i humorystycznej. Kto podda się ceremonii chrztu, ma prawo mówić "ty" wszystkim kolegom i koleżankom w sanatorium. Wolno usługiwać ciężko chorym kolegom: golic, podać basen, umyć itp.

Za chwilę zaczynamy. Sekretarz przygotowuje papier, ołówek i będzie zapisywał odpowiedzi. – Dodam jeszcze – mówi przewodniczący – że w razie złej oceny "Noworodek" obowiązany jest podciągnąć się w nauce w czasie pobytu w sanatorium. "Noworodku", proszę powiedzieć życiorys.

–Urodziłem się dnia...-zaczęłam, ale przewodniczący przerwał mi. – Przepraszam! Chwileczkę! – A czy "Noworodek" wie, po co się urodził?

–Urodziłem się po to, żeby doczekać tej chwili, kiedy przyjadę do Zakopanego i poznam Wysoką Werandę...

Z życiorysu kolegi dowiedziałem się, że jest studentem trzeciego roku politechniki i jest to jego pierwszy pobyt w sanatorium. Po omówieniu życiorysów zadawano pytania. Pytania były różne. Na przykład: Dlaczego śnieg jest biały? Co to jest triangulacja? Pytano z geografii, polityki, historii i co tylko kto potrafił wymyślić.

–Co to jest pindyrynda?

–Nie wiem – odpowiedział kolega.

–Ubliżające przezwisko! – rzuciłem, pewny, że zgadłem.

–Pindyrynda jest ziołem leczniczym. Jeden z kolegów otrzymał pseudonim "Pindyrynda", bo dotychczas tylko jemu udało się na to pytanie odpowiedzieć prawidłowo – wyjaśnił egzaminator.

Przewodniczący pytał jednego i drugiego kandydata, czym interesujemy się szczególnie: sportem, muzyką, geografiami czy może jakąś inną dziedziną życia?

Kolega odrzekł: Poezja. Ja – polityka. Teraz maglowali nas tylko z tych dziedzin. Potem przeszli do części humorystycznej.

Chrzest zbliżał się do końca.

–Proszę proponować imiona dla kandydatów!

–Przegłosowano dla mnie pseudonim "Piekutoszczak". Kolega dostał imię "Roleta" z powodu ładnej falującej czupryny.

–Czym chce być chrzczony "Piekutoszczak"? – zapytał przewodniczący. – Winem czy woda?

–Spirytusem – odpowiedziałem machinalnie.

–A "Roleta" czym chce być chrzczony? Winem czy woda? Woda – odpowiedział poeta.

–Jeśli winem – to po butelce wina funduje nam kandydat, a jeśli woda, to wiadro wady do łózka dla kandydata – rozstrzygnął po Salomonowemu przewodniczący.

Wybrano wino.

Teraz sekretarz przeprowadził kandydatów przez całą werandę i każdy przy podaniu ręki przedstawił się nadanym mu na "chrzcie" "imieniem", a więc: "Raczek", "Pindyrynda" itp. Gdy prezentacja została zakończona, była godzina dwunasta, koniec leżakowania, poszliśmy na oddział kobiecy i przedstawiono nas w kolejnych pokojach.

A więc jestem "ochrzczony" i przyjęty do społeczności sanatoryjnej.

Przeprowadzono mi już badania. Raz na dwa tygodnie dopełniam odmy po prawej stronie. Po lewej ordynator proponuje odme chirurgiczna.

–Mam jeszcze czas – odpowiadam jak zwykle. – Ma pan dzieci? – pyta doktor.

–Mam dwoje.

–Pan prątkuje, zakaza pan otoczenie. Ja nie obawiam się kontaktu z panem, ale nie zgodziłbym się na przykład, aby przebywał pan z moimi dziećmi. Czy pan myśli, że pana dzieci są inne niż moje? Nie zgodzi się pan, to trudno. Potrzymamy dwa miesiące, bo na taki okres ma pan skierowanie. i wróci pan z chorobą do rodziny i otoczenia. Później pan będzie żałował, że mnie nie posłuchał. Mam już dużo doświadczeń i wiem, jak się przeważnie takie sprawy kończą. Następują przerzuty na inne części płuca oraz na drugie płuco i wtedy już pacjent nie nadaje się do żadnego zabiegu.

Powtarzam z uporem: – Zaczekam jeszcze z operacją.

Przez dwa miesiące pobytu w sanatorium przechodziłem kurację tylko klimatyczną, bez żadnych leków. Werandowanie przed południem i po południu. Leżąc patrzyliśmy: krzyż na szczycie Giewontu, duża i mała skocznia, kolejka linowa widoczna w pogodne dni. Z tej odległości ludzie na skocznjach wyglądali jak robaczki: czarne punkciki na białym tle śniegu.

Oto jakiś facet powoli wspina się do góry. Już jest na gorze-zjazd. Widac punkt błyskawicznie sunący w dół.

–Prog! – wołają wszyscy na werandzie. – Przewrócił się – dodają po chwili. Widac, jak się podnosi, pnie do góry i znowu...

–Uparty gość! – mówimy. – Jak on się musi czuć po tylu upadkach, a jednak...

Zarządzeniem wewnętrznym zabroniono w sanatorium prowadzenia rozmów na tematy chorób i leczenia. Gdy tylko któryś coś powie na ten temat, podnosi się krzyk:

–Odsunmy się od niego, bo on chory na gruźlicę, może nas zarazić -i wszyscy uciekają ze śmiechem.

Wprowadziliśmy też zakaz przeklinania. Kto posłuży się "zagranicznym" słowem, płaci złotówkę kary. Recydywista, który już wpłacił dziesięć złotych, raz sobie może ulżyć gratis...

Pewnego dnia wpadł do naszego pokoju kolega mówiąc:

–Chłopaki, w naszym pokoju mamy "noworodka". Przyszedł dzisiaj. Pierwszy raz w sanatorium. Bedziemy badać? – zapytał, zwracając się do kolegi "Toto".

–Dowiedzieliście się już, co mu jest?

–Ma dziurę wielkości wiśni z prawej strony.

–Zapytaj "Pomidorka". Jeżeli pojedzie ze mną, to możemy badać.

"Toto" był-po studiach medycznych, lecz jeszcze bez dyplomu. "Pomidorek" to studentka medycyny.

–Kiedy badamy? – pyta kolega.

–Po kolacji.

–Muszę zobaczyć, jak będziesz badał – mówię. – Często tak badacie?

–Tylko nowych. Ciebie też mieliśmy ochotę badać, ale polapaliśmy się, że jesteś już

stary wyjadacz sanatoryjny i ze z toba ten numer nie przejdzie.

Po dziesięciu minutach do pokoju, bez pukania, weszli "lekarz" i "pielegniarka". Szybko zgasilem papierosa, a "Toto" poważnie powiedział:

–Proszę pana, ja już chyba trzeci raz widzę pana z papierosem w pokoju. Jeśli jeszcze raz złapie pana z papierosem, zamelduje dyrektorowi.

–Juz więcej nie bede, panie doktorze – odpowiedziałem z powagą. Obejrzał karty przy łózkach i popatrzył na obecnych.

–Pan się rozbierze, zbadam pana – powiedział, zwracając się do jednego ze starych mieszkańców pokoju.

Ten się szybko rozebrał, "Toto" go zbadal, osłuchal i polecił przyjść do gabinetu za pół godziny na dopełnienie odmy.

–Pan jest nowym pacjentem, prawda? – zwrócił się teraz do nowego, gdy poprzedni już się ubierał. – Proszę się rozebrać, pana też zbadam.

–Ma pan dziurę w prawym płucu, prawda? W szczycie.

–Tak, panie doktorze.

–To proszę teraz oddychać tylko prawym płucem.

–Jak to, panie doktorze?

–Zwyczajnie. Proszę zamknąć usta, zacisnąć palcem lewą dziurkę nosa i teraz głęboko oddychać.

Gość popatrzył zdziwiony, ale zatkał nos i męczył się oddychaniem tylko jedną stroną nosa, a "Toto" osłuchuje go z powagą.

–Panie doktorze, mnie coś boli w boku.

–Zaraz zbadamy. Proszę opuścić spodnie i położyć się na łóżku.

Pacjent opuścił spodnie poniżej pępka. – Nizej, proszę, nizej...

Teraz "lekarz" powiedział coś po łacinie do "pielegniarki". Ta znowu coś zapisała w notesie, wyszła i wróciła niosąc buteleczkę z lekarstwem i pudełeczko, w którym, jak się okazało, były czopki.

Lekarstwo to stary tran, który stał na werandzie w dużej butelce, a czopki koledzy zrobili z chleba i posypali proszkiem do czyszczenia zębów.

–Siostra zaraz natrze paru bok – mowi "doktor" – a czopki bedzie pan zakladal przez cala noc co dwie gadziny jeden! Po uzyciu czopka prosze lezec przez pol godziny na brzuchu, nie ruszac sie i nie kaslac... – Mowiac to pisal w bloku "pielegniarki" recepte, a ona w tym czasie smarowala tranem bok chorego:

Badanie skonczone, "doktor" i "pielegniarka" wyszli z pokoju. My omawiamy zalety naszego "doktora": jaki to dobry chlop, chociaz mlody, ale dobrze leczy, chorzy maja do niego zaufanie...

–Tak – wtracil sie do rozmowy ten nowy – od razu to zauwazylem. Badali mnie, leczyli i nic nie mogli znalezc, a ten tylko posluchal i zaraz sie poznal.

Koledzy z jego pokoju mowili, ze slyszeli, jak sie w nocy krecil, sapal, a rano czopkow nie bylo, pudelko bylo puste. W czasie rannego lezakowania wszedl na werande ordynator w asyscie oddzialowej pielegniarki, by przeprowadzic codzienny obchod. Rozmawiajac z chorymi zblizyl sie do nowego.

–Ten pan, jest nowy – informuje pielegniarka – wczoraj przyjechal.

–Po obiedzie przyjdzie pan do mnie do gabinetu na badanie – polecil ordynator.

–Juz wczoraj wieczorem bylem badany, panie doktorze!

Doktor popatrzy na nas, kazdego przewiercil wzrokiem i powiedzial: – Te lobuzy pana badali. Czy nie zrobili panu przykrosci?

–Nie, panie doktorze, zadnej przykrosci nie bylo.

–No, to dobrze. – Zwracajac sie do wszystkich, dodal: – Skonczcie te kawaly, bo ktos moze za to wyleciec z sanatorium.

"Badanie chorych" stalo sie raz przyczyna innego wesołego incydentu. Przyjechal nowy chory. Juz wiemy, ze pierwszy raz w sanatorium, wiemy, jakie ma zmiany, oraz znamy wszystkie inne potrzebne dane. Okazalo sie jednak, ze jest dawnym kolega naszej pielegniarki oddzialowej i ta ostrzegla go przed badaniem.

–Uwazaj, bo te lobuzy beda chcieli cie badac! – I pouczyła go, jak sie taka zabawa odbywa.

Musieli chlopaki z badania zrezygnowac. Nastepnego dnia na, obchod przyszedl doktor sam, bez pielegniarki, i to zmylilo nowego.

Doktor nie mial wiele czasu, wiec szybko poszedl w drugi koniec werandy i wracajac rozmawial krotko z pacjentami:

–Jak sie pan czuje? Dobrze, panie doktorze. – A pan?

–W porzadku.

–Przyjdzie pan do mnie po obchodzie, dopelnie panu odme. Wreszcie zatrzymal sie przy nowym.

–Pan jest nowy, prawda? Pan tez przyjdzie do mnie po obchodzie, zbadam pana.

A na to nowy odpowiedzial powaznie i ostro:

–Odczep sie, kolego, znam sie na takich kawalach.

Na calej werandzie buchnal smiech. Doktor patrzy na pacjenta, a ten gapi sie na doktora. Wreszcie nowy zrozumial, co sie stalo.

–Bardzo pana doktora przepaszam – wykrztusil – ale pielegniarka ostrzegala mnie... Myslam, ze robia mi kawal.

–Wy jednak jestescie dranie – powiedzial doktor z usmiechem. – Nie udalo sie badac, to macie radosc z innego powodu. Zawsze musicie cos urzadzic!

–A czy pan wolalby, zebysmy sie na smierc zamartwiali swoja choroba, doktorze?

Rozrywek kulturalnych mamy malo. Jedyna rozrywka organizowana przez dyrekcje sa filmy, przewaznie stare, wyswietlane raz na dwa tygodnie przez kino objazdowe.

Raz tylko przyjechal zespól artystyczny z Krakowa do sanatorium "Nauczycielskiego", polozonego w naszym najblizszym sasiedztwie, i dal Jeden występ dla obu sanatoriów.

Sami wiec organizowalismy rozrywki dla chorych. Postanowilismy organizowac wystepy swietlicowe.

Na pierwszym wieczorku byly "chinskie cienie". Za oswietlonym plociennym ekranem przeprowadzono "operacje" zoladka. Na cieniach widac bylo, jak przyniesiono pacjenta. Doktor rozcina mu brzuch olbrzymim nozem, pacjent podrywa sie, a wtedy stojacy przy glowie uderza go w czolo olbrzymim mlotem. "Narkoza" dziala, pacjent spi. Po rozcieciu brzucha duzymi szczypcami odciaga sie na boki skore i doktor wyciaga z zoladka, rozne przedmioty: lyzki, noze, szelki, po czym dlugo, dlugo ciagnie jakis pas. To bandaz, ktory inny kolega rozwija stopniowo w sposob niewidoczny z sali. Na koniec szydlem i grubym sznurem zszywa sie chorego i koniec operacji...

Po pierwszym wieczorku nabyalismy pewnego doswiadczenia i kazdy nastepny byl

lepiej zorganizowany: Ambicja kazdego pietra bylo dac jak najlepszy program.

Druga rozrywka dla wszystkich byly koncerty zyczen nadawane przez sanatoryjny radioweziel obslugiwany przez kuracjuszy. Tematow dostarczalo zycie sanatoryjne.

Przyjechal do sanatorium nowy pacjent. Mial bzika na punkcie zdrowia. Bladl, gdy ktos powiedzial, ze jest chory, a uciekal jak oparzony, gdy ktos w poblizu kaslal. Szybko wszyscy sie o tym dowiedzieli i kto tylko mijal go na klatce schodowej, lub korytarzu, dostawal raptownego kaszlu, a inni podpatrywali, jak ten klusem ucieka. Na chrzcie otrzymal imie "Paluszek". W pewnym koncercie zyczen odczytano dedykacje:

–Dla mojego podopiecznego "Paluszka" poszukuje skafandra lub maski gazowej, ktora ochroni go przed zarazeniem gruzlica – "Mruk". W nastepnym koncercie odpowiedzialem:

–"Mruku", skafandrow i masek gazowych dla twojego "Paluszka" na skladzie nie posiadamy, ale moze odstapic swoja siatke na wlosy, ktora nie jest mi juz potrzebna, a jemu pomoze tak samo jak skafander albo maska gazowa – "Piekutoszczak".

W koncu chlop zrozumial, ze nie moze zarazic sie gruzlica, gdy juz ma swoja wlasna...

Zbliza sie termin wyjazdu. Wypada to na trzeci dzien po swietach wielkanocnych. Glupio.

Kazdy chory chce byc na swieta w domu. Ci, ktorым lekarze nie chca daj przepustki, przerywaja kuracje, zeby tylko spedzic swieta wsrod rodziny Inni, gdy daja im wyjazd do sanatorium przed swietami – rezygnuja z miejsca, a po swietach znow zaczynaja starac sie o przydzial.

Skad ten ped? Kiedy rozmawialem na ten temat, slyszalem od kolegow "Jestem powaznie chory i zawsze mam uczucie, ze beda to moje ostatni swieta. Dlatego chce byc razem z rodzina". Chorzy zas przebywajacy

W domu urzadzaja swieta wystawne. I oni mysla: "Moze to moje ostatnie swieta"... Lekarze daja przepustki niechetnie. Długa podroz, wypadniecie Z regularnego trybu zycia marnuja wyniki leczenia. Sa wypadki, ze pacjent po powrocie z przepustki dostaje krwotoku. Albo tez przesyła z domu zaswiadczenie pogotowia, ze nie moze wrocic na czas, bo ma krwotok lub wysoka temperature.

Ja nie szykuje sie do wyjazdu na swieta. Szkoda kazdego dnia.

Chorzy urzadzali pozegnania kolegow odjezdzejacych. Jeden z pociagow odjezdziel z dworca w czasie lezakowania. Gdy juz wylonil sie z za zakretu, duzy odcinek drogi

jechał przez odkryty teren w odległości kilometra od naszego gmachu. Wtedy zaczynał się ruch. Wszyscy stawali na leżakach i machali tym, co mieli pod ręką: poduszkami, zasłonami, kocami, a z okien pociągu powiewały reczniki. To wyjeżdżający zegnali kolegów z sanatorium...

Gdy saniami jechałem w stronę dworca i przez krótki odcinek drogi widac było sanatorium od strony werand, widziałem, jak na wszystkich pietrach, na werandach i w oknach siali chory i zegnali mnie, machając poduszkami, przescieradłami i recznikami.

4 DROGA DO NIEBA I Z POWROTEM

Pazdziernik 1952. Minelo zaledwie pol roku i znow jestem w sanatorium. Tym razem jest to Otwock, z którym juz sie nie rozstaje.

Po powrocie z Zakopanego wpadłem w intensywny wir życia. Praca zawodowa od rana do wieczora, po dziesięć – dwanaście godzin dziennie. Praca społeczna w czasie wolnym od zajęć służbowych, a gdy zostawało dla siebie trochę czasu – knajpy i alkohol. Lekarz w poradni zalecił lykanie PAS-u.

I tak było wszystko razem: krwioplucie, leki i wódka. W prywatnym handlu pokazał się nowy lek zagraniczny: rimifon. Podobno cudowny lek, który umierających stawia na nogi. Zaproponowano mi kupno rimifonu od kogoś, komu ten lek przysłano z zagranicy. Domorosli "lekarze", inaczej mówiąc – prywatni handlarze i pośrednicy twierdzą, że kuracja to trzysta tabletek.

–Ile to ma kosztować? – zapytałem.

–Trzysta tabletek – cztery tysiące złotych.

Hieny. Na łobuzów i złodziei nie będę się wyprzedawał.

Zerują na ludziach chorych, licząc, że rodziny, chcąc ratować chorego, zrobią wszystko, żeby im nasypać forsy do kieszeni.

Syn już jest w domu od kwietnia. Leżał w sanatorium dziesięć i pół miesiąca. Pewnego dnia chłopak zachorował. Metne spojrzenie, na nic nie reaguje, leci przez rece, torsje. Następnego dnia, po badaniach przeprowadzonych w szpitalu, diagnoza brzmiała: – Zapalenie opon mózgowych na tle gruzliczym.

–Jaka jest szansa na uratowanie dziecka? – zapytałem ordynatora. – To dopiero początek choroby, więc szansa jest duża.

Po miesiącu dziecko przesłali do sanatorium w Otwocku i tym razem pobyt jego

trwal szesnascie miesiecy.

Wtedy postanowilem leczyc sie az do skutku.

Zgodze sie na kazdy zabieg i bede lezal tak dlugo, az mnie wypisza sami. Jest przeciez jeszcze drugie dziecko, zdrowe, wiec nie moge dopuscic do tego, zeby i ano nabawilo sie gruzlicy. Wyrobilem sobie wniosek sanatoryjny. W tym czasie zaczalem goraczkowac i w plwocinie pokazala sie krew. Wtedy zalatwilem przyspieszenie wyjazdu i po kilku dniach juz bylem w Otwocku – by po dziesieciu miesiacach kuracji znow wrocic do domu.

Przydzial dostalem do pokoju siedmioosobowego. Na korytarzu spotkalem pacjenta, ktorego lozko stalo obok mojego. Wyglada na rownego chlopaka.

–Drogi kolego i sasiedzie – zagadalem do niego – jestem nietutejszy, pierwszy raz w tym sanatorium, a wiec mam prosbe: – Badzcie mi laskawie przez kilka minut informatorem.

–Prosze bardzo! – odpowiedzial z typowym warszawskim akcentem. – Pan, widze, autochton z Warszawy?

–Mowa! Wiadomo! Jestem z Targowka. A tutaj juz leze piec miesiecy. Wiec co chcesz wiedziec? – zapytal przechodzac z miejsca na "ty". Przyjalem to jako rzecz naturalna i zaczalem zadawac pytania.

–Czy mozna urwac sie do Warszawy? Czy latwo dostaje sie przepustki? W ktorych miejscach znajduja sie dziury w plotach... Jak z alkoholem? I jakie sa rygory?

Rysiek – moj rozmowca – wysluchal, pomyslal i powiedzial:

–Widze, ze z ciebie stary sanatoryjny wyga. Chodz, to ci wszystko pokaze.

Szlismy przez olbrzymi park sanatoryjny.

–Obserwuj teraz dobrze – powiedzial Rysiek. – Idzie sie tedy i tu sie skreca, a tu, widzisz, w krzakach jest zamaskowana dziura w ogrodzeniu. Uwazaj tylko, zeby nie wladowac sie w poblize dyrektorowki... O, to ten dom – dodal, pokazujac murowany budynek stojacy wsrod drzew. – Mieszka tu dyrektor i kilku lekarzy. Staraj sie, zeby cie nie poznali, bo jak cie zobacza za ogrodzeniem, w drodze na stacje kolejowa czy tez w knajpie, bedzie bieda.

–A w tym pokoju leza rowne chlopaki?

–Nieciekawe towarzystwo – odpowiedzial, – Mozliwy jest ten, co lezy obok ciebie, ksiegowy z Warszawy, i ten mlody, po przeciwnej stronie przy drzwiach – chlopak

wsiowy, ale z humorem. Wczoraj miał krwotok, więc dzisiaj musi leżeć spokojnie, a normalnie to błaznuje i mamy z nim wesoło. Księgowy ma na imię Bogdan, a ten z prowincji – Ignac, w pokoju wszyscy mówią sobie po imieniu.

Jest na oddziale kilku równych chłopaków, ale w innych pokojach – dodał jeszcze Rysiek. – Jutro poznasz się z nimi.

Po trzech dniach znalazłem już tych równych z oddziału, a w naszym pokoju też ze wszystkimi byłem po imieniu.

Następnego dnia – analizy, badania i przeswietlenie.

–Kiedy wytworzono panu odmę? – spytał po przeswietleniu lekarz. – W czerwcu ubiegłego roku, rok i cztery miesiące.

–Ma tendencje do podrastania, a trzeba utrzymać ją przez trzy lata. Dzisiaj ją dopełnię. Postaram się utrzymać ją za wszelką cenę.

Niewiele brakowało, aby cena ta okazała się za wysoka...

To przecież nie było podrastanie odmy, lecz przylep powstały w wyniku raptownej likwidacji płynu po powrocie z Prabut, i od tego czasu odma utrzymywała się w tym samym wymiarze. Gdy próbowałem to wytłumaczyć, doktor wszedł na mnie:

–Co mi pan tu chce wmówić!

Tego jeszcze dnia dopełnił mi odmę i...było to ostatnie dopełnienie, bo następnego dnia już był w komorze odmowej płyn. Ropa... przetoka... i do końca brakowało niewiele.

Po dopełnieniu omawialiśmy sprawę lewego płuca, w którym dziura już w moim pojęciu – "dojrzała" do operacji. Była to już dziura wielkości jabłka choinkowego.

–To jak, operacja? – zapytałem prowokująco.

–Chyba zrobimy małą plastykę. Piec zeber wystarczy... Postanowiłem nie targować się i zgodzić na każdą propozycję..

–Ale na to mamy jeszcze czas – mówi doktor. – Na początek zrobimy odmę i będziemy próbować przepalic. Po co mamy pchać się na dużą chirurgię, nie próbując przedtem malej.

–To proszę, niech pan robi odmę.

–Jutro – odpowiedział doktor. – Dzisiaj nie można.

Następnego dnia została wytworzona odma po stronie lewej i dopełniano ją przez sześć tygodni.

–Niech się pan przygotuje psychicznie do przepalanki – powiedział doktor, gdy pewnego dnia, jeszcze przed śniadaniem, spotkaliśmy się na korytarzu. – Poprosimy pana na godzinę jedenasta.

Nie wiedziałem, co się robi, żeby się przygotować psychicznie, więc nie robiłem nic i wcale nie myślałem o czekającym mnie zabiegu.

Psychicznie byłem już przygotowany do dużej, nawet siedmiozębrowej plastyki, więc nie było powodu martwić się głupim i drobnym zabiegiem, za, jaki uważałem przepalankę w porównaniu z plastyką.

Przed godziną jedenasta pielęgniarka zrobiła mi zastrzyk z morfiny, a po, po godzinie zaprowadziła mnie na parter, na oddział chirurgiczny. Leżałem na stole i z ciekawością rozglądałem się po pomieszczeniu. "To tu beda mnie krajali, jeśli nie da się, przepalic zrostów..."

Oto mój doktor. Krótkie przygotowanie. Znieczulenie i już skalpelem, przecina mi ciało po lewej stronie w górnej części piersi. Czulem, ale nie bolało. Znowu przygotowanie. Staram się zobaczyć, co tam szykują, i widzę, jak doktor bierze metalową rurkę grubości chyba 8 mm i wkłada do niej pret metalowy zaostrowany na końcu w czworoboczny stożek. Niezły szpikulec...

–Niech pan nie podgląda – radził doktor – bo może się pan zdenerwować.

–Doktorze, nie ma obawy...

–Proszę już nie mówić, bo będę się wkluwał.

Poczułem napor, trzeszczenie i ból rozsuwanych szpikulcem żeber, a gdy doktor wciąż nie wydawał polecenia wypuszczenia oddechu, zapytałem: – Włazło już do środka? Można oddychać?

–Proszę nic nie mówić teraz! – krzyknął doktor.

Miałem ochotę gadać jeszcze, ale już zeszło się kilku lekarzy, zaglądali w ture, radzili i krecili rura tak, że miałem uczucie, jakby mi chcieli zebra wyrwać.

Trwało to kilkanaście minut. Wreszcie koniec.

Gdy odpoczywałem, leżąc na kozetce, doktor zwrócił się do mnie:

–Niestety, zrosty takie, że nawet nie zaczęliśmy. przepalac, więc musi pan

przygotować się do operacji. Teraz powinni zawieźć pana na oddział, ale winda popsuta, a noszowych w tej chwili nie ma...

–Nie szkodzi – odpowiedziałem. – Czuje się dobrze, mogę iść sam.

–O nie. Jeśli chce pan iść, to jednak z salową. Niech pan poleży jeszcze kilka minut.
– Rozmowie przysłuchiwała się doktor – naczelny chirurg. Po chwili zwróciła się do mnie:

–No i co, nie ucieknie pan przede mną. trafi pan jeszcze w moje rączki. – Podeszła i pokazała mi dłonie z szeroko rozłożonymi palcami.

–Pani doktor – odpowiedziałem – niczego tak nie pragnę. Umowa stoi: wpadam właśnie w pani ręce. Tylko żeby długo nie czekał, bo nie mam czasu!

Po kilku minutach przyszła salowa. Wstałem z kozetki i razem poszliśmy po schodach na górę. Była to starsza kobieta. Szła trzymając mnie pod rękę, żeby się nie przewrócił. Kreciło mi się w głowie jak po dobrym pijanstwie, ale to na pewno nie było osłabienie; lecz działanie morfin.

Na pierwszym piętrze salowa stanęła:

–Bardzo pana przepraszam, ale jestem chora na serce i muszę odpocząć.

–Proszę bardzo – odpowiedziałem. – A teraz będziemy szli inaczej oświadczyłem po chwili. – Ja będę panią prowadził – i trzymając ją pod pachę pomalutku zaprowadziłem ją na trzecie piętro.

Po chwili pielęgniarka przyniosła płocienną rurę napełnioną piaskiem i położyła mi ją na piersiach, w miejscu, gdzie plasterm zalepiony był otwór po wkluciu.

–A to po co?

–Żeby powietrze nie weszło pod skórę, bo to ból nie można lykac. Gardło wygląda potem jak balon.

Wkrótce miałem się przekonać, jakie to uczucie, gdy powietrze wejdzie pod skórę. Ucisk na krtani i skóra na szyi nadęta jak balon. Naciskałem zgrubienia palcami i czułem, jak z jakimś dziwnym trzeszczeniem powietrze przesuwają się w inne miejsce. Po kilku dniach byłem znowu na chodzie -tylko po stronie prawej był wciąż płyn powstały z powodu utrzymania odmy "za wszelką cenę".

W pokoju współzycie chorych układa się dobrze. Nie ma starc, chociaż każdy, jak to mówią, z innej wsi. Rysiek i ja trzymamy sztame razem. Księgowy, dobry chłop, ale do nas niepasuje, bo to starszy, spokojny człowiek. Z Ignacem mamy wesoło.

Opowiada nam różne historie, przeważnie o nieudanych załotach na wsi, z których zawsze wychodził przegrany. Albo go panna wykiwała, albo dostał od jej matki "pomiotłem" po głowie.

W pokoju jest jeszcze jeden interesujący facet. Nazywamy go "Wol". Mrukliwy i złośliwy. Narzeka na wszystko. Wszystko jest złe i nic mu się nie podoba. Radziłem mu, żeby złożył skargę do dyrekcji, że przed oknami brak widoków gór i że ostatnio niepotrzebnie pada deszcz. "Wol" najlepszy jest wtedy, kiedy wszyscy musimy się wazyć. Bo każdy oddział ma swoją wagę i wyznaczony dzień na wazenie.

Wazyłem się zawsze tylko w cienkiej piżamie bez kapci. Nasz "Wol" natomiast zakładał pantofle, serdak, jakiś sweter i na to wszystko gruby szlafrok sanatoryjny.

Metoda oszukiwania samego siebie.

Pewnego dnia po powrocie z filmu, który wyświetlano w dużej stolowce, stojąc w trzech pod drzwiami naszego pokoju, rozmawialiśmy z dyżurną pielęgniarką. Podszedł do nas "Wol", postać chwile, posłuchał i wszedł do pokoju. Po minucie usłyszeliśmy terkot dzwonka, którym ciężko chorzy w nagłych przypadkach wzywają kogoś z personelu.

Dzwonek terkotał bez przerwy. – Kto to tak alarmuje?

–To z naszego pokoju – poinformowałem kolegów – ale u nas nikt nie jest ciężko chory.

–Niech pani zaczeka, ja wejdę i zapytam – powiedziałem, widząc, że pielęgniarka chce wejść do pokoju.

Kto dzwonił? – zapytałem.

–Ja – odpowiedział zaczepnym tonem "Wol". – Co chciales?

–Proszek od bólu głowy.

–To nie mogłeś, taki owaki, poprosić o proszek przed chwilą, kiedy z nami stałeś? Nie wiedziałeś przed minutą, że cię głowa boli?

–A od czego jest pielęgniarka?

–Ach, ty lachmyto. Jedna pielęgniarka na czterdziestu chorych i myślisz, że będzie tylko przy tobie skakać?

"Wol" zbaraniał i nawet już nie odpowiadał – a ja po przesłaniu mu "wiązanki" wyszedłem na korytarz i powiedziałem kolegom, kto dzwonił, po co i co otrzymał.

Pielegniarka weszła do dyzurki i po chwili zanosła do pokoju proszek. – Nie dalbym bydlakowi – mowilem z zacietrzewieniem. – Gdyby lezał, nie chodził, gdyby był ciężko chory – to co innego.

–Wiecie – powiedziała pielegniarka. – Człowiek przez tyle lat pracy przyzwyczail się do różnych wybryków chorych. Przed tygodniem, na drugim piętrze, chciał doktor wypisać chora za niepotrzebne dzwonki. Chodziła na spacer do parku, chodziła po korytarzu, do kina, świetlicy, a później kładła się do łózka i co pięć minut dzwoniła: a to coś podać, a to poprawić łózko, a to przynieść kawy i takie tam różne wymagania. To już zależy od człowieka, szanuje drugiego czy nie szanuje.

–Pan ma wyjątkowe szczęście! – już od drzwi krzyknął ordynator. – Co takiego?

–Nie będziemy robili plastyki. Wystarczy odma chirurgiczna.

–O-o-o – powiedziałem zawiedziony – tak pan radośnie krzyknął o tym szczęściu! Pomyślałem, że wystarczy, jak poleże kilka miesięcy, polykam trochę różnych proszków i będę zdrow.

–Niech pan nie narzeka. Po odmie chirurgicznej można robić jeszcze inne zabiegi, a plastyka to już ostatni zabieg.

–Kiedy? – zapytałem krótko.

–W końcu stycznia. Dokładnie dwudziestego czwartego. W drugiej połowie grudnia dostanie pan przepustkę na trzy dni, żeby załatwić wszystkie sprawy osobiste...

–I pożegnać się z rodziną – dodałem.

–Tak źle nie jest. Śmiertelnych przypadków pooperacyjnych mamy mało. Chodzi o to, że długi czas będzie pan miał ściśle łózko: miesiąc przed operacją i sześć tygodni po operacji. To i tak dobrze, bo po plastyce trzeba leżeć ściśle dwanaście tygodni.

–A po co to ściśle łózko przed operacją? – zapytałem.

–W tym czasie robi się wszystkie badania przedoperacyjne – informował doktor. – Wzmacnia się organizm, rozluźniają się mięśnie i chory uczy się leżeć ściśle w łózku, co jest konieczne po zabiegu.

–To będziecie musieli mnie związać – odpowiedziałem – bo znam siebie i wiem że nie uleżę.

–Damy sobie z panem radę. Na początek wpuszczymy między opłucne glukozę z talkiem, żeby wywołać zapalenie opłucnej...

–A po co to potrzebne? – zapytałem.

–Zeby przylepic pluco do oplucnej zebrowej.

–Wobec tego czekam na zapalenie oplucnej – odpowiedzialem i w ten sposob zakonczyliśmy te ciekawa dla mnie rozmowe. Tak wiec termin operacji juz znam. Leze i mysle o tym, jak dlugo bedzie trwal moj pobyt w sanatorium. Zwolnia mnie z pracy, a jesli zwolnia, gdzie znajde inna prace i za ile... Wreszcie zgnowialo mnie to myslenie, wiec wylazlem z lozka i poszedlem do ustępu, w nadziei, ze tam kogos zastane i bede mogl porozmawiac i w ten sposob oderwac mysli od spraw operacyjnych. Nie pomylilem sie. Bylo tam dwoch kolegow, ktorzy przyszli wypalic papierosy. Po chwili wszedl jeszcze jeden, bylo wiec nas juz czterech. Rozmawiamy glosno, poslugujac sie czesto "brzydkim" slowem. W ferworze rozmowy zapomnielismy, ze to przeciez czas ciszy. Przypomniala nam o tym pielegniarka, ktora wsadzila glowe w otwarte drzwi i zapytala:

–Co to sie robi?

–Siusiu! – odpowiedzialem. Pielegniarka wyszla, a za chwile wpadl jak bomba doktor z zaczerwieniona ze zlosci twarza i syknal przez zeby:

–Siusiu robi sie nie tak glosno, bez takich wyrazow i nie o tej porze. – Zawinal sie na piecie, trzasnal drzwiami i znikl jak zjawa.

Dowiedzialem sie, ze wypisuje sie chory lezacy w dwuosobowym pokoiku. Pokoj ten znajdowal sie w bocznym korytarzu, w ktorym byly pomieszczenia: kuchnia, lazienka, magazyn oddzialowy i ustep. Poprosilem doktora o przeniesienie mnie do tego pokoju. Z dotychczasowym pokojem rozstawalem sie bez zalu, bo jedynie z Ryskiem zylem w przyjazni. Dobre wspomnienie, ktore wynioslem z tego pokoju, to fakt, ze przestalem palic. Smiali sie wszyscy, ze nie zdołam przerwac palenia, nie wytrzymam dlugo. Uparlem sie i wygralem.

Teraz jestem w nowym pokoju. Moj wspollokator to robotnik w Panstwowym Gospodarstwie Rolnym. Ma w plucu dziure wielkosci spodeczka, a mimo to kazdego tygodnia urywa sie do domu bez przepustki. "Musze jechac do zony – mowil – zeby sobie w tym czasie innego nie poszukala".

Wracajac, przywozil zawsze duzo jaj, maslo i wedliny. Pierwszego zaraz dnia zaproponowalem, zebyśmy mowili sobie po imieniu. Mial na imie Stasiek. Zwracalem sie do niego per "ty", a on do mnie... nijak.

–Zjemy na kolacje kilka jajek? – pytal raz wieczorem tuz przed spaniem.

–Mozemy – odpowiadam.

–To niech ugotuje.

–Ugotuje – mowie. – Ile zjemy? – Niech wezmie szesc.

Innego znow dnia; gdy widzi, ze wychodze z pokoju, prosi: – Czy moze idzie do dyzurki?

–Nie idzie, ale moze isc specjalnie. Co potrzebujesz? – pytam. – Proszek przeciw kaszlowi.

–Dobrze, przyniose.

Zblizaja sie Swieta Bozego Narodzenia 1952 roku. uwiadomiono chorych, ze na swieta przepustki sa wstrzymane. Moje przedoperacyjne scisle lozko zaczyna sie dwudziestego czwartego grudnia, wiec przed swietami dostaje przepustke i jade do Warszawy.

Pouczyli mnie inni chorzy, zeby sobie kupic mala lampke, bo przy scislym lozku, gdy nawet sie nie chce, to czlowiek w dzien spi i czesto w nocy nie moze usnac. Wtedy przy malej lampce mozna czytac i swiatlo nie razi w oczy innych chorych. Poprosilem ordynatora o pozwolenie przywiezienia malej lampki i uzyskalem zgode.

Swieta spedzilem w sanatorium. Odwiedza mnie tylko zona. Przyjezdza w kazda niedziele bez wzgledu na pogode. Deszcz, snieg czy plucha nie sa dla niej przeszkoda. Procz tego raz w miesiacu odwiedza syna. Ma z nami kupe zajecia, klopotu i zmartwienia.

Sa i inne zony: Na oddziale jest pewien pacjent, ktory juz lezy dziesiec miesiecy. Jest po dwoch operacjach. Wkrotce ma byc wypisany i juz czesto otrzymuje przepustki do domu. Tylko ze jego rodzina sie rozpadla. Zona odwiedzila go na dwa dni przed pierwsza operacja, by odebrac przyslane do sanatorium pobory i zegarek. Wiecej nie przyjechala i nie odpowiadala na listy.

Pewnego dnia otrzymal wiadomosc, ze zona ma przyjechac do niego na niedziele. Widzialem, jak to przezywal. Zdenerwowany chodzil po korytarzach, co pol godziny wychodzil do bramy, wygladal przez okno i bez przerwy palil papierosy. Nie przyjechala, a on nastepnego dnia mowil do mnie:

–Patrz, jakie sa baby. Nic jej nigdy nie brakowalo. Jedno dziecko, ona nie pracowala, w domu byla gosposia. Na rekach ja nosilem. Nie pozwolilem nic robic w domu, a teraz widzisz, jak mi za to zaplacila. Teraz jesli bede

chcial sie kiedy ozenic, to biore kobiety brzydka. Wtedy bede wiedzial, ze mam zone dla siebie.

Jestem z nim w dużej zazyłości, więc po każdym pobycie w domu opowiada, co zastał. Ma swoje klucze od mieszkania, lecz jeszcze nigdy nie zastał żony w domu. Za to są ślady libacji, a nie ma wielu rzeczy wspólnych i osobistych, które ona wyprzedaje.

Wkrótce, wyleczony fizycznie, lecz złamany psychicznie, wrócił na stałe do domu, który już właściwie nie był jego domem.

Kto winien? – zastanawiałem się po jego wyjeździe. – Żona, choroba czy długie rozstanie spowodowane kuracją?

Minał Nowy Rok 1953. Od świąt mam ściśle łóżko. Nie wolno wychodzić nawet na korytarz. Z dnia na dzień odwleka się termin "zrobienia" zapalenia płucnej. W budynku głównym popsuta się aparatura do sterylizacji, tzw. autoklawy. To stało się przyczyną awantury z pielęgniarką oddziałową. Ile razy spotykam się z lekarzem, powtarzam jak peknieta płyta: "Kiedy wreszcie będzie ten talk i zapalenie?" Wreszcie lekarz polecił pielęgniarce, żeby zaniósła talk do sterylizacji na inny pawilon.

– Czy zaniósła pani talk na pawilon A? – zapytałem pielęgniarkę następnego dnia przed południem.

– Zaniósę po południu, to jutro już będzie.

– Czy ma pani już ten talk? – pytam następnego dnia. – Nie miałam wczoraj czasu, ale dzisiaj zaniósę.

– Talk już jest? – pytam znowu nazajutrz.

– A pana co to obchodzi? – krzyknęła. – To już jest moja sprawa, a nie pana. Od kiedy to chorzy interesują się takimi sprawami?

– Zawsze – jeśli te sprawy ich dotyczą – odpowiedziałem ostro. – Nie mam zamiaru przez pani niedbalstwo czekać jeszcze dwa tygodnie na wlewke, a później okaże się, że w wyznaczonym terminie nie mogę być operowany i wyznaczają nowy termin za dwa lub trzy miesiące. Nie mam czasu na czekanie i niepotrzebne leżenie.

Wreszcie lekarka z naszego oddziału przyszła do mnie, by wykonać zabieg. Wbiła igłę do środka i wpuściła płyn znajdujący się w strzykawce. – Teraz niech pan leży – powiedziała po zabiegu – bo wkrótce zaczniesz boleć.

Po kolacji mój współlokator zdecydował urwać się do domu.

– Jak będzie się kto o mnie pytał, to niech pan powie, że jestem na spacerze.

– Dobrze, dobrze, urywaj się, ja już będę wiedział, co mam mówić. Poznym

wieczorem już czułem się źle. Ciężki oddech i podwyższona temperatura. Po zgaszeniu światel, kiedy już obowiązuje nocna cisza, przyszło kilku kolegów na pogawedkę, tak jak przychodzili każdego dnia i niejedną raz siedzieli do północy. Tego dnia wyprosiłem ich szybko. Czuję się źle i obawiałem się, że jeśli lekarz dyżurny posłyszy rozmowę, wejdzie do pokoju, a wtedy wpadnie mój współlokator. W czasie normalnej kontroli lekarz nigdy naszego pokoju nie sprawdzał, bo znajdował się on w bocznym korytarzu i tam kontrola nie docierała.

Usnałem szybko. W nocy obudziłem się: nie wiem, czy to jeszcze sen mnie męczy, czy dzieje się ze mną coś niedobrego. Duszę się. Chcę zmienić pozycję i nie mogę się ruszyć. Ból i duszność, jakby położono na mnie olbrzymi ciężar, pod którym nie mogę zrobić najmniejszego ruchu. Wreszcie pomalutku, z olbrzymim wysiłkiem udało mi się usiąść, a po chwili opuściłem nogi na podłogę. Wciąż się duszę. Oddech mój przypomina oddech zżajanego, zmęczonego goniącego psa. Trzy oddechy na sekundę. W pozycji siedzącej jest mi trochę łatwiej oddychać. Zastanawiam się, co zrobić.

"Może to jest normalna reakcja przy takim zapaleniu płucnej?" – myślę sobie. – Nie miałem nigdy zapalenia płucnej, a tym bardziej wywołanego sztucznie. Lekarka powiedziała, że będzie bolało, i boli. Opowiadała mi chora z oddziału chirurgicznego, że gdy jej zrobiono zapalenie, to po obudzeniu się w nocy usiadła na podłodze i histerycznie krzyczała, bo miała uczucie, że umiera.

Nie. Nie będę wzywał lekarza – bo jak przyjdzie, to się może zainteresować, dlaczego drugie łóżko jest wolne, a szkoda, żeby chłopaka wyrzucili karnie.

Siedzę na brzegu łóżka i dyszę. Wreszcie po godzinie takiego siedzenia nie wytrzymuję i naciskam dzwonek. Po kilku minutach przyszła siostra pytając, co mi potrzeba.

–Doktora – odpowiedziałem z przerwami, bo w tym czasie musiałem zrobić cztery oddechy. – Duszę się – dodałem.

Po pół godzinie przyszła pielęgniarka.

–Nigdzie nie mogę znaleźć lekarza-oswiadczyła. – Szukałam wszędzie, mamy krwotok na drugim piętrze...

Cisnęło mi się na usta dużo dosadnych i niecenzuralnych słów pod

adresem doktora i panujących stosunków, że lekarz, odchodząc może nawet do poważnego przypadku, nie powiedział pielęgniarce, dokąd idzie. Z przerwami, wolno, powiedziałem:

–Jak się doktor znajdzie, niech przyjdzie do mnie. Będzie czekał, a zadzwonie

dopiero wtedy, gdy już będzie ze mną naprawdę źle.

Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że ze mną naprawdę było już bardzo źle.

–A gdzie jest pacjent z tego łóżka? – zapytała pielęgniarka. – Na przepustce, do poniedziałku.

–Dam panu jego poduszki i niech się pan położy – ułożyła koce i poduszki w dużą piramidę, na której oparłem się tak, by być prawie w pozycji siedzącej.

Do rana już nie usnąłem. Dusilem się wciąż, ale nie było pogorszenia. Rano, o godzinie osmej, znowu nacisnąłem dzwonek. Teraz już nie obawiałem się o kolegę, bo w niedzielę nie ma obowiązkowego leżakowania, więc do wieczornej ciszy był kryty. Przyszli lekarz dyżurny, popatrzył, zapytał, co czuję, jaka temperatura, i poszedł, a po kilku minutach pielęgniarka przyniosła proszki, które położyła na stoliku, a dwa kazała połknąć natychmiast. Gdy wyszła, obejrzałem proszki i okazało się, że dostałem paracetamol i piramidon. "Taki mądry to ja jestem i bez lekarza" – pomyślałem.

Po śniadaniu odwiedzili mnie koledzy. Gdy powiedziałem im, co się ze mną dzieje, jeden – stary gruzlik – popatrzył i postawił diagnozę:

–Odma samoistna. Musiała się zatrzymać, bo bez pomocy lekarskiej już byś "wykorkował".

–. Co to za cholera, ta odma samoistna? – zapytałem.

–Peka jeden pecherzyk płucny – informował kolega. – Przy wdechu powietrze wchodzi do niego, ale przy wydechu przez pęknięcie wychodzi między opłucną i tak za każdym oddechem. W ten sposób między opłucnymi robi się odma, powietrza jest coraz więcej, uciska płuca i wreszcie pacjent albo się udusi, albo peka płuca.

–Co trzeba zrobić w takim przypadku? – zapytałem.

–Lekarz wbija igły i gumowym przewodem, przez bankę z wodą, powietrze zostaje wydalone na zewnątrz. Znam przypadki – mówił dalej, kolega – że odma się nie zatrzymała. Gość kilka tygodni załączony był do butelki z wodą i wreszcie "wykorkował". Masz szczęście, bo u ciebie na pewno się zatrzymała. Wiesz, co ci powiem -rabne w dyżurce igły odmowa. Gdyby było z tobą gorzej, a nie będzie lekarza, to wbijaj sam, w bok, pod pachę, bo inaczej wysiadka murowana.

Po kilku minutach przynosił igły, którą schowałem na stoliku pod serwetką.

W południe przyjechała żona i jeszcze dwie osoby. Nie chciałem martwić żony, więc powiedziałem o wlewie i że to jest normalny stan po takim zabiegu.

W poniedziałek, po śniadaniu, zawieziono mnie wozkiem na przesświetlenie.

**–Och! Jaka pan ma potworna odma – zawolala doktor. – Jak ona potwornie cisnie!
Ale nie w tym miejscu, gdzie trzeba- dodala. – I plyn tez jest...**

Przerwalem jej wywody pytajac:

–To co, pani doktor, odma samoistna, prawda?

–Tak. Widac, musialam zawadzic igla o pluco – odpowiedzila takim tonem, jakby chodzilo o zadrasniecie palca. – Przyjde do pana i troche upuszcze powietrza.

–To z operacji nici? – zapytalem wsciekly.

–A tak, nici – odpowiedzila bez zlosci. – Musimy teraz czekac, az sie odma rozpusci, az zniknie powietrze, no i plyn musi sie zlikwidowac. Jesli pan chce, zeby bylo szybciej, musi pan jak najscislej lezec w lozku, na lewym boku.

–Niezle mnie pani urzadzila!

Odme rozpuscil ordynator, ktoremu tez powiedzialem; ze jego asystentki z igla w reku do siebie nie dopuszczze.

Plyn cofa sie powoli, a odma tez sie utrzymuje. Nudy na pudy. W dzien musze lezec, bo pilnuje mnie caly personel oddzialowy. Wieczorem co pewien czas zaglada lekarz dyzurny. A ja nie moge ulezec. Wiec znalazlem sposob. Wychodze z pokoju, gdy juz nie ma na oddziale pracownikow, w czasie nocnej ciszy. Chorzy spia w czasie dnia, wiec wieczorem przewaznie rozmawiaja jeszcze dlugo po zgaszeniu swiatel, a ja chodze i robie kolegom rozne kawaly.

Wspollokatorowi zaproponowano plastyke. Nie zgodzil sie, wiec po dwoch tygodniach zostal wypisany. Do mojego pokoju przywieziono ciezko chorego. Ma dwadziescia szesc lat, nazywa sie Heniek. Przywiezli go rodzice i prosili, zeby zajac sie nim i pomagac w razie potrzeby.

–Co ci jest? – zadalem zwykle pytanie, gdy zostalismy sami.

–T.B.C.: tobie-bracie-cmentarz – odpowiedzial z ironia: – Dluugo ty ze mna nie bedziesz mial klopotu. Kilka dni, to wszystko, co mi zostalo. Starym nic nie mowie. Jeszcze zdaza sie namartwic.

–Tak juz z toba zle?

Kto mowi, ze zle? To juz jest koniec. Juz tylko ramki od pluc zostaly. Po trzech dniach przeniesiono mnie do innego pokoju, bo moje miejsce zajela ciotka Henka,

ktora go nie odstepowala. Po dziesieciu dniach juz pokoj byl wolny, Heniek umarl. Ja zas tymczasem przenioslem sie do pokoju, w ktorym mieszkal Andrzej, Olek, Jurek i Kuba. Przyszedlem na miejsce Wacka, który zostal wypisany.

Po wprowadzeniu przypadl mi w udziale najgorszy sprzet – najgorsza szafka, poduszki, koje...

Zwykla rzecz. Gdy chory opuszcza sanatorium, ci, co zostaja, wymieniaja gorszy sprzet na lepszy, który byl w uzytkowaniu wyjezdzonego.

Po pewnym czasie znow ktos wyjezdza: wtedy ten, który przyjechal ostatni, wymienia swoje graty na lepsze.

Gdy zobaczylem, ze "zrobili" mnie tak jak nowego kuracjusza

z sasiedniego pokoju, w ktorym przebywalem tylko kilka dni, zabralem to, co bylo lepsze. Przynioslem zwiniete w tobol materac, posciel, koce i poduszki, rzucilem na lozko i... wszystko razem z siatka znalazlo sie na podlodze. Popatrzyłem i musiałem mieć glupia mine, bo wszyscy parskneli smiechem.

–Co urzadziliscie, wy tacy owacy? – pytam ze smiechem.

–Czekaj, odegramy sie za wszystkie twoje kawaly. Przekonasz sie, ze i my potrafimy.

Zalozylem siatke, która poprzednio odpieli i przywiazali cienkim sznurkiem, poslalem lozko i poszedlem przyniesc swoje osobiste rzeczy. Gdy wrocilem; usiadlem na lozku i... glosny trzask, lozko zachwialo sie i opuscilo nizej. Poderwalem sie, spojrzalem w dol i juz wiedzialem-, co to strzela. Te dranie pod nogi lozka podlozyli na sztorc pudelka od zapalek.

–Dwa zero na wasza korzysc – powiedzialem – ale odegram sie.

Tego jeszcze dnia narwalem w parku owocow glogu, pokruszyłem i zawiniete w papier wlozylem miedzy zeberka kaloryfera. Nastepnego dnia wykruszylem i oddzielilem wloski od ziarna. Gdy wszyscy poszli na obiad, wloskami glogu posypalem od wewnatrz marynarke i pidzame Kuby, a na wszystkie przescieradla posypalem po szczypcie cukru.

–Oj, cialo mnie swedzi – skrzywil sie Kuba po wlozeniu pidzamy, a po chwili juz sie drapal na dobre wtykajac rece pod marynarke i w spodnie. – Moze uczulenie? – pyta Andrzej. – Czy nie jestes uczulony na jajka? Jajka byly na obiad – dodaje dla wyjasnienia.

–Moze ci sie mole zalegly w pidzamie? – pytam.

–On mi czegoś nasypał – mówi Kuba i patrzy na mnie przenikliwie jak zaba na piorun.

–A może to jest taka choroba, na którą pomaga woda i mydło-kpilem. – Musisz się częściej kąpać.

–Czekaj ty, już ja cię wykąpie. Gadaj, co to jest – denerwuje się Kuba.

–Dwa do jednego na waszą korzyść – odpowiadam. – Was jest pięciu, ja sam, ale wychodzicie, a ja siedzę w pokoju i mam więcej okazji do robienia kawałów...

–Zobaczysz, jak my cię urządzimy – odgrają się chłopaki.

–Robcie – tylko ostrzegam przed robieniem głupich i przykrych kawałów. Jeśli mi wstawicie na przykład pod przescieradło miskę z wodą, to ja wam do łozek podłączę prąd elektryczny i będzie was trzęsło od łózka do sufitu.

Rano, leżąc w łózku, drapałem się namietnie po nogach i zastanawiałem się, dlaczego tak swędzi. Popatrzyłem: moje nogi prawie do kolan obsypane są małymi różowymi kropkami. Wyciągnąłem się na całą długość ciała i tym razem zakłóciło mnie w nogi. Pomacałem przescieradło: pod przescieradłem leżała galaz jałowca.

Zabawa w robienie kawałów trwa.

Wyjechał Kuba, a na jego miejsce przyszedł facet starszy i mocno głuchy. Głuchy mato do siebie, że albo mówi cicho, tak że nie można go zrozumieć, albo głośno, żeby sam siebie słyszał. Nasz mówił głośno i bez przerwy. Gdy opowiadał coś po zgaszeniu świateł, zaden z nas w tym czasie nie mógł usnąć: słychać go było w końcu korytarza i niejedną raz sprowadził nam swoim głośnym gadaniem kontrolę do pokoju. Przywiozł ze sobą aparat fotograficzny, robił zdjęcia innym chorym i w ten sposób dorabiał do niewielkiej renty inwalidzkiej.

–Dawno chorujesz? – pytam, krzycząc głośno.

–Kupę lat – odpowiada – ale teraz już mi nic nie robią. Nadaje się tylko

na mydło. Ale tym się nie przejmuję. Dla mnie każdy przeżyty dzień to dzień darowany i z tego się cieszę.

Często mamy wesoło dzięki naszej pani doktor. Sympatyczna osoba, tylko ma zagrania, które tego i owego wyprowadzają z równowagi, ale inni się śmieją.

–Pani doktor – mówi nasz głuchy tubalnym głosem – mam własny rimifon, czy mogę go używać?

–Porozmawiam z ordynatorem i jutro panu powiem – odpowiada pani doktor.

–Pani doktor, czy mogę używać ten mój rimifon? – pyta głuchy następnego dnia.

–Nie, niech pan nie używa.

–Dlaczego? – pyta zdziwiony. – Przecież ja go od was nie chce, mam swój.

–O, pan myśli, że rimifon tak zaraz panu pomoże. Mam koleżankę, też lekarke, która swojego męża leczyła rimifonem. Dawala mu, dawala i on zaczął poprawiać się i tyc. Więc ona dalej mu dawala, dawala, a on zaczął chudnąć.

–A ona wciąż dawala, dawala... I pewnie już go nie ma – przerwał głuchy swoim tubalnym głosem.

–A tak – odpowiedziała – już go nie ma.

Pani doktor zatrzymał kiedyś na korytarzu Ignac, mówiąc: – Pani doktor, dzisiaj rano miałem krwioplucie.

–A co pan chce – to nic nowego, przecież pan ma gruźlicę. Co ja panu mogę poradzić...

Kiedyś poprosił Olek:

–Pani doktor, już zużyłem 300 sztuk rimifonu..Niech pani mnie wyznaczy na analizę płwociny. Ciekaw jestem, czy jeszcze pratkuję.

–Pan pratkował, pratkuję i będzie pan pratkował – odpowiedziała beztrąsko pani doktor.

–To po co ja się lecze, jeśli...

–Pan się niepotrzebnie denerwuje – spokojnie odpowiada doktor. – Po co zaraz taki krzyk, to też szkodzi.

Olek machnął ręką z rezygnacją i nie już nie odpowiada.

–To jest tak zwane działanie dla wywołania dobrego samopoczucia u chorego – skomentowałem. – Nowe metody... Chyba po tym zastrzyku czujesz się lepiej, Oleczku?

–Ona ma zagrania – mówi Olek, zdenerwowany.

Płyn w boku znika powoli, a pozostałość powietrza po odmie samoistnej jeszcze wolniej.

Gdy nikt z personelu nie widzi, przemykam się do pokoju obok, w którym leży młody chłopak, zdemobilizowany oficer. Ma akordeon, na którym ładnie gra. Ten bez przerwy mnie namawia, żebym nie rezygnował z operacji.

–Nie zrob przypadkiem takiego głupstwa jak ja – mówił. – Przed dwoma laty zaproponowali mi zwykła odme boczna. Nie zgodziłem się. Po co mają nadmuchać mnie jak balon. W domu komfortowe warunki, nie muszę pracować, finansowo stoimy bardzo dobrze, więc mogę kupić każdy zagraniczny, nawet najdroższy lek. Teraz przyjechałem i "ciotka" – tak w sanatorium nazywają naczelnego chirurga – zaproponowała mi czterozebrowa plastykę. Zgodziłem się. Przed operacją nowa zmiana. Płuco się rozwalilo i może być, tylko plastyka siedmiozebrowa. Też się zgodziłem, mimo że taka plastyka już deformuje. Wczoraj były badania i konsultacja i wiesz, co mi powiedzieli? Że w obecnym stanie nie mogą mnie operować, bo następuje przerzut na drugie płuco.,;Za sześć tygodni będziemy rozmawiać". A teraz jaka ja mogę mieć pewność, czy, za sześć tygodni nie usłysze: "Do operacji już pan się nie nadaje?" Nie targuj się z lekarzami – radził. – Bo jak już czujesz się źle, to przeważnie na zabieg za późno i wtedy – wysiadka do nieba.

Potem jeździł kilkakrotnie do Warszawy. Wystarzał się, aby go operowali w Instytucie. Wyjechał i więcej o nim nie słyszałem...

O piętro niżej leży Basia: Młoda, ładna, przy kosci dziewczyna. Kreści się przy niej Rysiek i kilka razy odwiedzili mnie w czasie ścisłego łózka.

–Proponowali mi zabieg – powiedziała pewnego dnia.

–Jaki? – zapytałem.

–Wcale się nie pytałam. Powiedziałam, że na żaden zabieg się nie zgodzę.

–I co dalej? – pytam.

–Za dwa tygodnie mnie wypisują. Taki przepis, że jak chory nie zgadza się na zabieg proponowany po konsultacji całego zespołu lekarskiego, to go wypisują. Uważają, że inna metoda leczenia nie pomoże.

–Tak – powiedziałem. – Przyjdzie inny, który będzie się leczył. Tysiące

chorych czeka na miejsce w sanatoriach. Ale Basiu... – i powtórzyłem jej rozmowę z kolegą, który nie zgodził się na proponowany zabieg.

Nie dała się przekonać.

Spotkaliśmy się w tym samym sanatorium po dwóch latach. Idąc po schodach miniałem kobietę, która kogoś mi przypominała. Szła powoli trzymając się poręczy.

Obejrzałem się i starałem przypomnieć sobie, skąd ja znam. Była chuda jak szczapa i śmierć wodziła jej z oczu.

Po godzinie inna znajoma zapytała mnie z wyrzutem:

–Dlaczego nie ukloniles się Bace? Ona teraz rozpacza w pokoju. – Jakiej Basce?

–Nie wiesz jakiej? Ona mówi, że się dobrze znacie. Przed dwoma laty byliscie tu razem. Mijaliscie się na schodach i nie ukloniles się.

–I to jest powód do rozpaczki?

–Bo ona zdaje sobie sprawę, że już tak wygląda, że jej znajomi nie poznają. Idź do niej; pogadaj.

Poszedłem. Leżała w łóżku zapłakana. Teraz, gdy już wiedziałem, z kim się mijalem na schodach, spostrzegłem trochę podobieństwa z tamtą, korpulentna, ładna i energiczna Baska.

–Nie poznales mnie? – zapytała po powitaniu.

–Poznałem, ale jak już mnie minęła – odpowiedziałem swobodnie. – Siedziałem zamysłony i na nikogo nie zwracałem uwagi, dopiero jak się minęliśmy, zauważyłem, że minął mnie ktoś znajomy. Obejrzałem się, ale już poszła. Poznałem cię, dlatego jestem.

–Powiedz prawdę. Nie poznales mnie? – pyta uparcie. – Nie gadaj głupstw, coś sobie ubzduralas.

–Patrz, jak ja teraz wyglądam! – mówi Baska.

–Zeszczuplałaś trochę. Proponują może zabieg?

–Jaki dla mnie może być teraz zabieg, chyba tylko sekcja zwłok. Już za późno.

–Jeszcze będzie dobrze. Zobaczysz. Jeszcze razem pojedziemy na "Metan".

"Metanem" nazywaliśmy duże tereny lasne położone za ogrodzeniem sanatorium, na które wychodzi się przez "kawerny" – tak wszyscy chorzy w sanatorium nazywają dziury w ogrodzeniu.

Nie chciałem robić Basce przykrości, więc już nie przypominałem rozmowy sprzed dwóch lat o: "willi, służbie, pieniądzech i lekach"; które miała, a które jej nie pomogły.

Coś jest ze mną kiepsko. Od kilkunastu dni temperatura. Rano 38,2, wieczorem 38,8. Denerwuje się coraz bardziej, bo wiem, że w tym stanie nie będzie chciała

operowac. W dodatku nie mam apetytu i chudne. Zeby o tym wszystkim nie myslec, codziennie prosze o luminal. Do tego otrzymuje "wariacka mieszanke", jak nazywamy lekarstwa na uspokojenie, ale to juz mi nie wystarcza. Czuje, jakby mozg mi przygniatal jakis ciezar. Nie jestem zdolny do myslenia. Tygodniki ilustrowane, ktore przywoza mi z domu kazdej niedzieli, leza nie tkniete. Czuje, ze staje sie niebezpieczny dla otoczenia i dla samego siebie. Albo kogos skrzywdze, albo sam wyskocze przez okno. Pewnego dnia zaprowadzono mnie na oddzial chirurgiczny na konsultacje.

–Jeszcze operowac nie mozemy – zapada decyzja. – Po lewej stronie jeszcze utrzymuje sie plyn i powietrze, a po prawej plyn.

–To kiedy wreszcie?

–Jak juz po stronie operacyjnej nie bedzie plynu i powietrza. – To zrobcie cos, zeby sie zlikwidowalo.

–Pan sam jest winien. Zamiast lezec kamieniem, pan bez przerwy chodzi i dlatego to dluziej trwa.

–Myslicie, ze tak latwo lezec bez przerwy. Nie wytrzymuje, przyzwyczajony jestem do ciaglego ruchu. Termin operacji juz mi uciekl, teraz ucieknie drugi, a ja nie mam czasu lezec... Nie mam mozliwosci zyciowych.

–Niech mi pan pokaze lekarza, ktory zechce pana operowac w takim stanie. Daje panu slowo, ze jesli pana lekarz oddzialowy powie, ze jest pan gotow do operacji, to wystawiam pana w najblizszy termin. A teraz prosze, niech pan lezy!

Postanowilem lezec twardo, chocbym sie nawet mial wsciec. Leze i mimo dzialania luminalu i "wariackiej mieszanki" czuje, ze naprawde jestem boski obledu. – I do czego to doprowadzi? – zadaje sobie pytanie. – Trzymaj sie, nie zalamuj sie – mowie sam do siebie. – Twierdzisz, ze jestes twardy zawodnik, a teraz co... Zachowujesz sie jak histeryczka.

Wstalem z lozka, zabralem w kieszen caly zapas kradzionego w apteczce luminalu, "wariackiej mieszanki" i wrzucilem do ustępu. postanowilem nie uzywac wiecej zadnego oglupiajacego srodka. Po czterech dniach juz czytalem odlozone i dotychczas nie ruszane tygodniki.

Po kilku dniach po przeswietleniu nasza pani doktor powiedziala z zadowoleniem: – Slicznie sie likwiduje plyn i powietrze. Niech pan tak lezy dalej, a za kilka dni juz bedzie dobrze.

–A kiedy operacja?

–Nie wiem. Po drugiej stronie widze jakis nowy obraz i nie wiem, czy W tym stanie doktor bedzie chcial pana operowac.

–A co to moze byc?

–To moze byc wszystko.,

–Ale chyba nie warszawski drapacz chmur – rzucilem z irytacja.

–A, nie. Co to, to nie. To odpada – odpowiedziala pogodnie i z usmiechem wyszla z pokoju.

–Bedziemy robili punkcje po prawej stronie – powiedzial ordynator. Podejrzewamy, ze tam zebrala sie ropa. Przenosimy pana na oddzial chirurgiczny i tam zrobia punkcje. Strona lewa gotowa juz do operacji.

Jestem w osmioosobowym pokoju. Z tych osmiu trzech to pacjenci juz po operacji. Pieciu czeka na zabiegi.

Najgorsi sa ci, ktorzy juz sa po operacji i robia z siebie bohaterow. Chodza, opowiadaja i strasza. Jeden taki, Wladek, przychodzi i opowiada: – Lopatke wyciagaja i na hak. Taaaka igla – mowi, pokazujac rekami dlugosc igly: – Jak ci taka wsadza, to... zreszta sam sie przekonasz.

–Idz, ty idioto – powiedzialem wreszcie. – Przeciez wytrzymales. Nie martw sie o mnie, ja tez wytrzymam.

Znam wypadki, ze nastraszony pacjent rezygnowal z zabiegu, a jeden uciekl z oddzialu chirurgicznego juz w dniu operacji. Ci straszacy to prawdziwa zaraza sanatoryjna.

Na oddzial przyszedl nowy pacjent. Przy nim stoi drugi i pyta: – Pan pierwszy raz w sanatorium?

–Pierwszy.

–Mial pan krwotok? Nie, nie mialem.

–To bedzie pan mial – odpowiada ten drugi.

–A w morde dostales kiedy? – pytam podchodzac do nich. – Jesli nie, to za chwile mozesz dostac. Czego, idioto, straszysz czlowieka?

–Co sie stalo? – pyta pielegniarka, ktora wyszla z dyzurki slyszac na korytarzu podniesione glosy.

–Ten niemyty duren prosi, zeby go zamalowac. Za straszenie sie jelop bierze. Starego gruzlika nie nastraszy, ale poczatkujacy moze ciezko przezyc taka rozmowe.

Jeden pooperacyjny to Koreanczyk, chlopiec lat trzynascie. Drugi, Edek. chlopak lat dwadziescia jeden. Po siedmiozebrowej plastyce. "Ciotka" nie chciala operowac. Chory i jego rodzina prosili, wiec ulegla, ale nie dawalo zadnej gwarancji. Pierwszy etap, wyciecie czterech zeber, przetrzymaj dobrze. Po kilku tygodniach drugi etap – trzy zebra. Po operacji, w nocy, chlopak umiera. Lekarz dyzurny robi, co moze. Dzwoni po „ciotke". Ta przyjezdza z Warszawy w balowej sukni. Wprost z balu sylwestrowego, Sciagneli jeszcze lekarza, ktory mieszka na terenie sanatorium. Trzech lekarzy walczylo cala noc o zycie tego chlopaka i... wygrali walke. Chlopak juz na chodzie. Dobrze wyglada. Z werwa opowiada o tamtych wypadkach. Trzeci to Czeslaw. Lezy juz prawie rok. Robiony mial "politen".

Jest to zabieg polegajacy na tym, ze przez przeciete zebra wklada sie woreczek nylonowy, napelniony nylonowymi paskami i woreczek ten uciska czesc pluca, w ktorej byla dziura. U Czeska wdala sie ropa. Dwa razy w tygodniu punkcja. Wreszcie zrobiono plastyke – siedem zeber.

Po kilku dniach Czesiek juz czul sie dobrze, ale chodzil z butelka, w ktora gumowa rurka sciekala ropa. Po kilku miesiacach opuscil sanatorium zdolny do dalszego zycia. Oplacilo mu sie byc twardym. Lezal poltora roku, wycierpial duzo, lecz walke o zycie wygral.

To byli wlasnie ci operowani koledzy w moim pokoju: Wszyscy inni to kandydaci do zabiegow. Kazdy wypytuje o przebieg operacji i szczegoly. Tylko Jurek niczym sie nie przejmuje. Chodzi, spiewa i smieje sie z innych. Jak sie pozniej okazalo, byla to tylko poza, on jeden zblaznil sie w czasie operacji:

Zaraz po przeniesieniu na oddzial chirurgiczny doktor zrobil mi punkcje po prawej stronie.

–Ropa – powiedzial po obejrzeniu zawartosci w strzykawce.

"Wiec sprawdza sie przepowiednia pani Zosi z Prabut – pomyslam. – Odma byla, plyn byl, ropa jest. Teraz juz tylko czekam na przetoke i koniec..."

Po punkcji temperatura spadla, po czterech dniach zaczela znowu sie podnosic, a po siedmiu juz byla taka jak przed punkcja. Znowu zrobili punkcje. Temperatura natychmiast opada i... wszystko powtarza sie jak poprzednio i tak jest przez kilka tygodni az... ale nie ubiegajmy faktow.

Na oddziale podniecenie. Jutro, w piatek, pierwsze operacje. Z naszego pokoju idzie dwoch. Pan Jozef – urzednik – i Jurek, ten, co sie nie boi operacji. Mnie zawiadomiono, ze bede „robiony" w najblizszy wtorek. Zjedli jeszcze obiad, a

podwieczorku i kolacji już nie dostali. Zamiast kolacji gorzka sol i "miedziamiastowa", jak nazywamy lewatywe. Wieczorem jodnowanie pleców, rozmowa z lekarzem, a następnego dnia na stol operacyjny,

Pierwszy pan Jozef. Odma chirurgiczna. Po przywiezieniu z operacyjnej, gdy go układano do łozka, wyszeptal polglosem: "Koledzy, w czysccu bylem".

Wszystkich ogarnal strach.

–Następny, prosze, na operacyjna.

Teraz wywoza Jurka. Tez odma chirurgiczna. Po pewnym czasie slychac krzyk.

–Slyszycie? – mowie. – To Jurek.

Po chwili znow przeraźliwy krzyk. Slychac, mimo ze od sali operacyjnej oddziela nas kilka pokoi. Wkrotce przywoza Jurka. Okazalo sie, ze wrzeszczal, rzucal sie, wiec lekarze zaszyli go, nie konczac operacji.

–Tak bardzo bolalo? – pytam, gdy już wyszedl lekarz i pielęgniarka. – Nie mogles wytrzymac?

–Moglem. Ale mnie boli, a oni tymczasem rozmawiaja, jak trzeba smazyc pieczarki, co w ktorym teatrze graja...

–Przeciez to ciebie bolalo – mowie – wiec dlaczego oni mieli jeczec? Niech kazdy robi swoje. Ty mozesz stekac z bolu, a oni niech operuja i gadaja, o czyi chca.

–Ale mnie to zgniewalo i zaczalem wrzeszczec. "Ciotka" mowi, ze jak nie przestane, to nie bedzie operowac. Wrzasnałem znow. Odlozyla narzedzia i wyszla. Jak wrocila, to już wrzeszczalem bez przerwy, jak tylko sie do mnie zblizyla i... zaszyli.

–A tak spiewales jeszcze rano: "Jestem rad, jestem bardzo rad", a teraz narobiles innym strachu. Ten-mowie, pokazujac na Jozefa – byl w czysccu, ty wrzeszczales...

Do licha, wyglada, ze to bedzie cos potwornego. No nic. Następny ide ja – we wtorek. Przekonam sie sam.

Gdy przyszedl doktor, zapytałem., czy sa przypadki, ze ktos nie jeczy i nie krzyczy przy operacji.

–Tak. Mialem kilka takich przypadkow. – I wymienil nazwiska trzech czy czterech, ktorzy nie krzyczeli.

–Postaram sie byc następnym, który nie krzyknie przy zabiegu. Wstyd by mi bylo.

–To byloby dla nas bardzo przyjemne – odpowiedział doktor z uśmiechem. – Nam też nie jest miło, kiedy pacjent krzyczy, a poza tym taki krzyczący utrudnia przeprowadzenie operacji.

Juz jest niedziela.

–Dzisiaj przyjeżdża zona – mówię. – Chłopcy, jak który się wygada, że we wtorek ide na operacje, to... Nic jej nie bede mowil. Zobaczysz sama, jak przyjedzie w następną niedzielę. Wtedy juz bede sie mozliwie czul. Nic mi ona nie pomoze, a bedzie sie denerwowala.

–Juz operuja? – zapytala zona widzac dwoch pooperacyjnych. – Moze i tobie juz wyznaczyli termin?

–Wyznaczyli. W następnym tygodniu. W niedziele przywiez mi kilka cytryn. Nic wiecej nie bede potrzebował.

Do pokoju wszedł Andrzej i wolał juz od drzwi: – To we wtorek na operacje?

–W następny wtorek – odpowiadam.

Po godzinie przyszła odwiedzić mnie siostra z trzeciego piętra.

–To juz we wtorek operacja? – mówi niby pytając, a przecież dobrze wie.

–W następny wtorek – mówię uparcie.

–O, a ja myślałam, że juz w ten najbliższy.

Chyba uparli się wszyscy, żeby zdradzić żonie termin. Odetchnałem z ulgą, gdy wreszcie pożegnała się i wyszła z pokoju.

–Dobra, chłopaki – krzyknąłem. – Udalo się. Bedzie spokojnie spala cały tydzień. A juz myślałem, że się polapie.

Poniedziałkowy wieczór bardzo nieprzyjemny, ale nastrój mam dobry. Główna nieprzyjemność to skutki gorzkiej soli. Juz jestem zajodynowany i obandazowany. Jutro ide na stol jako drugi – około godziny 11.30.

Najpierw idzie Kazia – na pierwszy etap plastyki. Umowilem sie z nia, ze pozyczy mi kilka cytryn, przywiezli jej z domu kilka kilogramow. Koledzy juz kupili mi trzy butelki oranżady i dwie butelki piwa. Teraz czekam na rozmowe z lekarzem, który poucza, jak należy zachowywać się w czasie operacji i po operacji.

Pielegniarka zaprosiła mnie do pokoju lekarskiego.

–Jutro będzie pan operowany – zaczął doktor. – Pacjent przez cały czas musi współpracować z zespołem operującym. Przy wytwarzaniu odmy musi pan jak najlżej oddychać, żeby się płuco zbyt nie ruszało, bo to przeszkadza. – Kiedy jest największy ból? – zapytałem.

–Właśnie przy wytwarzaniu odmy.

–Dobrze. Postaram się zastosować do wszystkich zaleceń pana doktora. Gdy dowiedziałem się, że już doktor poszedł do domu, odwiedziłem Bazie, by wziąć te obiecane cytryny. Teraz siedzę w kobiecym pokoju i rozmawiamy o jutrzejszej operacji.

–Niech się pan obejrzy – mówi do mnie w pewnej chwili Kazia. Obejrzałem się, a za oknem stoi doktor.

"Po co on jeszcze przyszedł?" -pomyślałem, ale natychmiast wyszedłem i wróciłem do swojego pokoju. Gdy wszedłem, doktor już był. Popatrzył na mnie jak rzeźnik na jagnię i przemówił: – Pan ma ściśle łóżko i jutro ma być operacja. Dlaczego pan chodzi?

–Bo chciałem pożyczyć od Kazi cytryny – odpowiadam spokojnie. – Kazia też ma ściśle łóżko i operację jutro, więc nie mogłem wymagać, żeby ona przyszła do mnie.

–A czy pan wie – mówi doktor – że mogę teraz pójść na salę operacyjną i skreślić z tablicy pana nazwisko?

–Co pan robi, doktorze, to już pana sprawa. Będzie miał dosyć czasu na leżenie po operacji. Szesc tygodni ścisłego łóżka- jak pójdzie dobrze, a cała wieczność – jak pójdzie źle.

–Jestem gotów założyć się z panem, że złapie pana na chodzeniu najpóźniej w tydzień po, operacji.

–To pan przegra zakład – nie dam się więcej złapać.

Gdy już doktor wyszedł, pielęgniarka przyniosła mi jakiś proszek. – Co to jest? – pytam.

–Luminal. Żeby pan dobrze spał, bo noc przed operacją chorzy przeważnie nie śpią.

–Nie potrzeba – odpowiedziałem – i bez luminalu będę spał. Cała noc spałem jak susel.

Postanowiłem ogolić się tuż przed zabraniem mnie na salę operacyjną, bo nie wiem; kiedy będę mógł się znow ogolić, a "ciotka" nie lubi nie ogolonych mężczyzn. Z tego

powodu mamy często kupe śmiechu. Gdy ktoś jest zarosnięty, w czasie obchodu rozmowa jest krótka: "Dlaczego nie ogolony? Natychmiast ma się pan ogolic" – i "ciotka" przechodzi do następnego chorego. Gdy facet chce mówić, jak się czuje, co go boli czy o innej sprawie, "ciotka" odpowiada: -;,"Z nie ogolonym nie rozmawiam".

Zastanawiałem się, dlaczego tak uparcie goni chorych do golenia i chyba słusznie wyrozumowałem, że jest to walka z załamywaniem się psychicznym, którego pierwszym objawem jest niedbanie o swój wygląd zewnętrzny. Chodzi taki jak lajza, nie umyty, nie ogolony, nie uczesany, a podobno dobre samopoczucie psychiczne to pięćdziesiąt procent wygranej w leczeniu.

W tej chwili na operacji jest Kazia. Wiem, że po mnie przyjdzie o jedenastej trzydziestej. Jest godzina dziesiąta, jestem już ogolony, nudno, więc warto jeszcze pospacerować kilka minut.

Obudziła mnie pielęgniarka, która przyszła zrobić zastrzyk z morfiny. Teraz już nie staram się usnąć, bo za dwadzieścia – trzydzieści minut przesiadka na operacyjną.

W blogim nastroju spowodowanym działaniem morfiny patrzyłem na dalsze przygotowania. Przyniesiono do pokoju kuchenkę elektryczną i garnek z roztworem terpentyny i buda gotowali, żeby wytworzyć w pokoju "lesne powietrze", którym podobno chorym po operacji lepiej oddychać. Przyniesiono też trzy wąskie i twarde poduszki, które układają się w specjalny sposób: dwie wzdłuż i trzecia u góry w poprzek. Na poprzecznej leży głowa, a na bocznych ramiona, w ten sposób, że miejsce operowane znajduje się między poduszkami.

Niech pan siada na wózek, jedziemy – powiedziała pielęgniarka z miłym uśmiechem, zapraszając do zajęcia miejsca.

–Po co? A sam nie dojdę?

–Nie wolno. Od tej chwili już nie wolno samemu chodzić. Jest pan po morfinie.

Ułożony na stole chirurgicznym w pokoju przygotowawczym obserwowałem doktora, jak ustawia igły, strzykawki, środki znieczulające i dezynfekujące. Na oświetlonej matowej szybie przypięta klisza rentgenowska z moją dziurą w płucu, a po chwili kontroluje kartę z temperaturą i dane personalne:

"Imię, nazwisko, waga: 62 kilogramy" – mówi półgłosem sam do siebie. "Akurat prawda – pomyślałem – tylko 58 kilogramów". Podawałem wyższą wagę z obawy, że przy mniejszej może nie zechce operować, a nie mam czasu dłużej czekać. Leże już pięć i pół miesiąca.

Weszła "ciotka". Podeszła szybkim, energicznym krokiem, klepnęła łanie po gołym boku, usiadła przy mnie na małym stołeczku; pomyślała chwilę i powiedziała:

–No, musimy porozmawiac powaznie. Przewiduje, ze nie uda sie Wytworzenie odmy. Co wtedy robic? Zaszywac?

–Plastyke – odpowiedzialem zdecydowanie. – Jak sie ma takie dziurzynsko; nie ma sie co namyslac.

–To niech pan znieczula do pierwszego etapu plastyki – powiedziala, wstajac do doktora i po chwili juz jej nie bylo.

"Chyba zebra poleca – pomyslam. – Najgorsze, ze to dwie operacje, bo po trzech tygodniach, kiedy juz chorzy niezle sie czuja, robia nastepne zebra".

Doktor napedzlowlal mi plecy, klul, zmienial igly i strzykawki, przez caly czas prowadzilismy rozmowe.

Po chwili sanitariusz przeniosl mnie do wlasciwej sali i ulozyl na stole operacyjnym. Juz jestem przywiazany do stolu, leze na prawym boku, a prawa reka, ktora trzymam w worku z wata, przelozona jest miedzy czesciami stolu. Przed soba mam podporke, przez ktora przelozona jest reka lewa.

–Ostrzegam uczciwie – odezwalem sie – ze od tej chwili nie biore odpowiedzialnosc za slowa, ktore moge wypowiedziec, boje sie, ze moge posluzyc sie lacina.

–Prosze bardzo, moze pan sobie pozwolic – odpowiedziala "ciotka" – ja tez potrafie.

–A gdybym krzyknal lub jeczal, to niech pani bije.

Tymczasem na ramke nad glowa zarzucono zielone przescieradlo. Przy glowie, na niskim stolku usiadl doktor, zalozyl na moja reke aparat da mierzenia cisnienia i sprawdzil tetno. Na plecach czulem ostre szczypanie. Pomyslam, ze przyczepiono przescieradlo.

–Zaczynamy – uslyszalem nad soba glos "ciotki". I zaczelo sie.

Slychac szcdek narzedzi chirurgicznych. "Ciotka" rzuca nazwy roznych narzedzi. juz nie czule szczypania. Czuje sie tak, jakby polozono na mnie olbrzymi ciezar.

–Patyk! – wolam spod przescieradla.

–Jaki petyk? – pyta "ciotka".

–Nie wiem, ale doktor wczoraj pouczal, zebym wspolpracowal z zespolem, a koledzy po operacjach mowili, ze pani czesto w czasie operacji wola: "patyk!" A teraz jeszcze tego slowa nie slyszalem.

–Pan podpowiada mi, co mam robic? – Wlasnie staram sie wspolpracowac.

Wszyscy się śmieją.

–Pomagam tak, jak potrafię – mówię niby poważnie,

Raptem czuję silny nacisk na podporke. Zebra mi polamia! Wstrzymałem oddech i napreżyłem mięsie lewej ręki.

–O, teraz niech pan współpracuje z nami. Proszę lekko oddychać i zwolnić mięsie, bo nie możemy wyjąć łopatk.

–Dla was zrobię wszystko – odpowiadam – już rozluźnię. – Znow nacisk na podporke, a po chwili już leże swobodnie.

–Wyszła? – pytam.

–Wyszła. Ale niech pan stara się nie napreżać mięsi, bo słaba kobieta trzyma łopatkę, a to jest bardzo meczące – najcięższa funkcja w czasie operacji.

–Pani doktor, przykro mi, że się pani meczy, gdyby to było możliwe, chętnie bym drugą rękę pomógł trzymać.

–Och! Zaraz zebro leci – odezwalem się po chwili. – A skąd pan wie?

–Ma się to muzykalne ucho. Słysze szcęk grubego żelaza. – Patrzcie poznali się – śmieje się doktor.

Po chwili trzask przeciętego zebra. Mówię: – No, to już zebro diabli wzięli.

–A wzięli -.słysze z góry odpowiedź – i teraz zaczyna się wytwarzanie odmy. Nie wolno kasłać, krzyczeć, mówić. Jeżeli zechce pan kaszlnąć czy chwile odpocząć, proszę powiedzieć lekarzowi, ja wyjmę narzędzia i wtedy będzie można kasłać lub krzyczeć.

Ból, coraz większy ból, a po chwili znow się zmniejsza. Po kilku takich cyklach zorientowałem się. Gdy boli, doktor odrywa opłucną, gdy ból się zmniejsza, jest przerwa, wtedy rozmawiałem z lekarzem siedzącym przy głowie, który co kilka minut zwilżał mi usta oraz sprawdzał tętno i ciśnienie.

–Doktorze – poprosiłem – niech pan uniesie trochę wyżej te szmate nad moją głowę. Nie mam czym oddychać.

Doktor unosił przescieradło i po chwili poczułem się lepiej. Przez cały czas oddychałem spokojnie i lekko, tak jak kazano. Ale słysze, jak się "ciotka" złości:

–Co za cholerny przyrost. We wszystkich kierunkach. Będzie musiała robić elektrycznym nożem.

–Tasakiem go, siekiera, armata – odpowiedziałem. Wytrzyma pan?

–Wytrzymam.

–To niech się pan trzyma, bo będzie duży ból i prąd może uderzyć.

Słysze szum elektrycznego noża i... ból, ból, coraz większy ból, ciemno w oczach i myśl: "żeby chociaż wstrzymać oddech". Ale nic. Wytrzymam.

Oddech wciąż krótki i lekki i... ból coraz mniejszy.

–No i macie – znowu słysze głos – druga taka sama cholera. Armata go, wytrzymam – mówię jeszcze.

–Niech się pan trzyma. I znowu taki sam ból.

Po kilku razach, gdy chciałem coś powiedzieć, usłyszałem jakiś nieartykułowany dźwięk, cichy i belkotliwy.

Niedobrze, nie mam siły wydobyć z siebie głosu. Chwile pomyślałem, pokręciłem głową, żeby mi się w oczach rozwidniło, nasiliłem się i znowu odezwałem się, głośno i wyraźnie: – Sak tam idzie, pani doktor, obejdzcie się bez plastyki?

–Jeśli będzie się pan do końca operacji zachowywał tak jak teraz, to plastyki nie będziemy robili.

–Wobec tego "zachowuje się" dalej – odpowiedziałem, mimo że już mówienie przychodziło z trudem.

Teraz leżałem, nic nie mówiłem i na nic już nie reagowałem, dopiero gdy otrzymałem silne uderzenie w plecy, zapytałem zły: – Kto tam do ciała piścia bije?

–Czym?

–No, ktoś mnie piścia trzasnął. – Patrzcie, poczuł...

–A jak miał nie poczuć – odpowiadam.

–Musielismy łopatkę wstawić na miejsce – mówi doktor.

–To co innego, siła wyższa. Byłoby mi niewygodnie nosić łopatkę w ręku.

–Widzicie – śmieje się doktor – humor go nie opuszcza.

Wreszcie operacja skończona. Siedzę na stole operacyjnym podtrzymywany przez sanitariusza. Czekamy na wózek, którym zawiozą mnie do pokoju. Patrzę na

obecnych i krece glowa, bo widze wszystko potrojnie. Po chwili mowie:

–Ale nie musze sie wstydzić, nie krzyknalem.

Lekarz, ktory poprzedniego dnia mial ze mna rozmowe przygotowawcza, powiedzial powaznie:

–Uratowal pan zebra. Bylismy przygotowani do robienia plastyki, gdyby pan krzyknal jeden tylko raz. Doktor operowala w srodku ostrymi narzedziami, przy krzyku pluco porusza sie raptownie i jesli nie zdazy wyjac narzedzia, moze skrzywdzic pacjenta. Lekarz operujacy nie bedzie w takiej sytuacji ryzykowal.

Wozek wtoczono do pokoju.

–Chlopaki, nic straszego – mowilem – nie bojcie sie, : mozna wytrzymac.

Mowili pozniej, ze to powiedzenie poprawilo nastroj po operacjach pana Jozefa i Jurka.

Teraz zaczelo sie klucie: codziennie streptomycyna, dopelnianie odmy i punkcja krwistego plynu z komory pooperacyjnej, cztery razy na dobe pantopon i kazdego tygodnia punkcja ropy.

Pantopon to dobry wynalazek. Czlowiek usypia na zadanie. Zamknie oczy i spi. Slychac rozmowy, lecz zeby cos powiedziec, trzeba otworzyc oczy. Mowie kilka slow, zamykam oczy i juz jestem wylaczony.

W czwartek juz sie sam ogolilem i umylem. Jedna reka. Siedze na lozku; a miska z woda przede mna.

W pierwsza niedziele po operacji przyjechala zona. Weszla do pokoju, spojrzala, ze leze w kaftaniku zapinanym z przodu i... strzyk, strzyk – z oczu tryska fontanna.

–Czego placzesz? – pytam. – Juz po klopocie. Dzisiaj piaty dzien po operacji i juz sie dobrze czuje.

–Dlaczego nie powiedziales prawdy? Czulam, ze mnie oszukujesz! Codziennie przychodza w odwiedziny znajomi z innych oddzialow. Wsciec sie mozna. Przychodza teraz, w pierwsze dni po operacji. Wtedy, kiedy czuje sie zle, boli i potrzebuje duzo spokoju. Ale pozniej, gdy juz jest dobrze i chetnie przyjme kazde odwiedziny- przez cale tygodnie nie zajrzyz zaden kolega, zaden znajomy.

–Zrobimy punkcje po prawej stronie – powiedzial doktor w czasie obchodu. – Niech pan przyjdzie za pol godziny do gabinetu.

Mimo że jestem dopiero trzy tygodnie po zabiegu; do gabinetu pozwala doktor przyjść.

Już po obchodzie. Siadam na stoliku, a za moimi plecami stoi pielęgniarka. Doktor syczy gruba igła, strzykawkę, podnosi prawa rękę i kładzie dłoń na głowie. Doktor wbija igła, ciągnie tłok strzykawki, lecz nic nie wychodzi. "Nie trafiłem igła do komory ropnej – mówi doktor półgłosem, jakby sam do siebie. – Zrobimy jeszcze raz". Igła wciąż siedzi w skorze, ale teraz wbija ją w ciało, nadając jej trochę inny kierunek. Ciągnie strzykawkę i znowu nic. Teraz zaczyna się zabawa. Doktor wbija igła, a ja liczę, ile razy. Dwanaście, piętnaście – już robi mi się ciemno w oczach i jestem zmęczony – szesnastą, siedemnastą i... – Nic pana nie boli? – pyta doktor.

Nie, ale robi mi się ciemno w oczach i...

Prawa ręka drgnęła silnie, doktor błyskawicznie wyrwał igła, pchnął mnie do tyłu, usłyszałem jeszcze tylko, jak krzyknął: "Chorego głowa na dół!", i zemdlałem.

Gdy oprzytomniałem, leżałem na kanapce lekarskiej. W głowie młyn, a przed oczami – czerwone ognie. Czulem bezwład w całym ciele. Po kilku minutach odpoczynku usiadłem i zastanowiłem się, dlaczego błyska mi w oczach. Po chwili zapytałem doktora, który siedząc obok bez przerwy sprawdzał mi tętno

–Doktorze, co to było, czy ja tak "prawidłowo" zemdlałem? Coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu.

–Skąd, jakie zemdlenie – odparł doktor pogodnie. – Pan zupełnie prawidłowo umierał. Zator. Powietrze dostało się do naczynia krwionośnego. Gdyby zamiast mnie była tu słaba kobieta, to już z panem byłby koniec. Nie dałaby rady poderwać pana za nogi do góry.

–Jeśli tak wygląda śmierć – powiedziałem takim samym tonem – to nie jest to takie straszne.

–Ale nieprzyjemne. – Nie zauważyłem.

–Dla lekarza nieprzyjemne, że pacjent umarł mu w rękach – odpowiedział doktor. A po chwili namysłu zapytał: – No co? Przelozymy punkcję do jutra?

–A jaka jest szansa jutro?

–Taka sama jak dziś.

–No, to niech pan robi dalej – odpowiedziałem, równocześnie kładąc rękę na głowie – nie umre. Takich jak ja trzeba zabijać-sami nie umierają.

Doktor wziął igłę i teraz wbił w miejsce odległe o dwa centymetry od poprzedniego wkłucia.

Trzymając igłę w skórze wbijał ją jeszcze siedem razy – a ja siedziałem spokojnie i podglądałem, jak wbija igłę, zakłada strzykawkę, ciągnie tłok i... nic nie wyciąga. W oczach wciąż jeszcze widziałem ogień, ale już mniejsze i nie tak często, jak zaraz po oprzytomnieniu.

Po siódmym wbiciu igły, gdy znowu nie trafił na komorę, wyjął igły całkowicie, odrzucił ze złością i powiedział: – Wolno nam chorego męczyć, lecz nie wolno zameczyć. Odkładamy punkcje.

Następnego dnia dopełniono odme po stronie lewej operacyjnej, więc; dopiero po dwóch dniach znowu doktor przypuszczał atak na komorę ropną. Tym razem według planu strategicznego. Wszystkie manewry potrzebne do punkcji zabrał do rentgena. Stałem za ekranem, a doktor macał, gniotł palcem, zaznaczał ołówkiem, zapalił światło, przypasał igłę, zgasił światło i... wbija igłę. Po chwili zapala światło, zakłada strzykawkę, ciągnie...

–Doktorze, stawiam litra! – wrzasnałem, gdy zobaczyłem, że ropa wchodzi do strzykawki.

Tego dnia wieczorem przyszła na obchód ordynator – "ciotka". Gdy podeszła do mojej łóżki, wydała rozkaz: "Usiąść! Podnieść ręce do góry!" Gdy podniosłem w górę swoje piszczele, powiedziała:

–O... jakie to chude.

–No bo człowiek inteligentny nie tyje – odrzekłem poważnie. Już odchodził, lecz zatrzymała się. Popatrzyła rozesmianymi oczami i odpowiedziała:

–No tak, grunt to dobre mniemanie o sobie.

–Niech pan zdejmie koszulę, będziemy zdejmować szwy – powiedział; doktor do następnego pacjenta.

Wychyliłem się z łóżki, żeby zobaczyć, jaki jest szew i czy nie ropieje. To pierwsza czynność wszystkich chorych w pokoju, gdy komuś zdejmują szwy, bo ropiejący szew to długa i przykra komplikacja.

–O, jak to patrzy – powiedziała doktor przekornie. – A może chciałby pan mi pomóc?

–Dlaczego nie? Widziałem już, jak to się robi, i potrafię podać to, co trzeba.

–. To dlaczego przedwczoraj sobie pan nie pomógł?

–To już tak jest, że fryzjera strzyć musi inny fryzjer, dlatego i mnie musieli inni pomagać.

Po trzech dniach w miejscu ostatniej punkcji zrobił się duży bolący guz, na który dekarz kazał przyłożyć masę. Przy zmianie opatrunków widać było ślad ropy. Doktor chcąc sprawdzić, co to za guz, wbił w niego igłę, lecz nie wyciągnął żadnego płynu: Ponieważ miejsce punktowania zajął guz, więc przy następnej punkcji doktor wkłuwał się wbijając igłę w górną część klatki piersiowej. Po wyciągnięciu ropy doktor przeplukiwał komorę. Teraz też nabrał w strzykawkę płynu, założył na tkwiącą w piersiach igłę, docisnął tłok i... poczułem spływający spod pachy płyn.

–Doktorze, niech pan spojrzy pod pachę- powiedziałem spokojnie.

–O-o-o-o-o! – zdziwił się doktor. – Przetoczka się zrobiła.

–Dziękuję za taką przetoczkę – powiedziałem. – Teraz, według przepowiedni pewnej chorej, należy oczekiwać na zgon.

–To jeszcze nie tak szybko – odpowiedział doktor. – Będzie się pan musiał długo pomeczyć. Dzisiejsza medycyna już nie pozwala tak szybko umrzeć. Często beznadziejne stany stawia się na nogi i żyją jeszcze dużo lat. Więc nie ma pan czego się cieszyć.

–Od czego to się zrobiło? – zapytałem. – Miejscowe zakażenie ropy.

Teraz doktor wziął laseczkę lapisu i zadał ją wkłuć w miejsce, z którego wyciekał płyn. Mimo że paliło to jak ogień, zacisnąłem żeby i nawet nie sapnąłem. Po wyjęciu lapisu zobaczyłem, że mam dziurkę średnicy czterech milimetrów. Po kilku dniach zrobiła się druga dziurka w miejscu, w które doktor wbijał igłę siedem razy. Teraz już byłem wolny od punkcji, w zamian przyszła robota ze zmianą opatrunków na przetokach, z których bez przerwy saczała się ropa. Opatrunki zmieniałem kilka razy dziennie i już wkrótce porobiły się odparzenia od plastrow.

–Ty się tym nie martwisz? – pytali koledzy.

–Martwić się? Po co – odpowiedziałem jak zawsze. – Czy jak będę się martwił, to mi coś pomoże? Niech się doktorzy martwią – im za to płaca. Martwienie się to ciężka praca, która nikomu jeszcze nie pomogła, ale niejednemu zaszkodziła.

Powoli wracam do zdrowia i gdyby nie przetoka, to... Nic mnie już nie potrafi zmartwić. Nie martwi mnie nawet to, że zostałem zwolniony z pracy, Paragraf 32 b – z powodu choroby trwającej dłużej niż trzy miesiące. Wiem, że po powrocie z sanatorium będę musiał starać się o pracę i że znalezienie nie będzie łatwe, bo

instytucje bronia sie przed przyjmowaniem gruzlikow. Zeby tylko wypisali z sanatorium przed zakonczeniem pobierania zasilku chorobowego, bo w domu rodzina... Mimo to postanowilem nie wypisywac sie na wlasne zadanie. Bede siedzial tak dlugo, az wypisza mnie sami.

W pokoju naszym leza rekonwalescenci i kandydaci do operacji. Personel oddzialowy nie ma z nami klopotu, bo wprowadzilismy system wzajemnej pomocy, i salowa lub pielegniarke wzywa sie tylko w razie koniecznej potrzeby. Pielegniarki tez sa rozne. Sa dwie, ktore mozna nazwac aniolami. Nigdy sie nie denerwuja, zawsze z milym usmiechem spelniaja kazda prosbe chorych, a czesto przychodza nawet nie proszone, by poprawic lozko, poduszki lub podac cos, co mogli przeciez zrobic koledzy z pokoju.

Jest tez jedna "osa", pielegniarka, ktora wyroznia sie beztroska i obojetnoscia na potrzeby i cierpienia chorych. Obok mojego lozka polozono dwunastoletniego chlopca przywiezionego z sanatorium dla dzieci. Po trzech dniach zrobiono mu odme chirurgiczna. Chlopak caly dzien trzymal sie twardo, nie plakal, nie jeczal. Widzialem, jak tylko co pewien czas zaciskal z bolu zeby. W nocy obudzil mnie placz. To plakal i jeczal Zygmus – nasz "Karaluch" – jak go nazywali wszyscy z naszego pokoju. Obudzili sie i inni.

–Co mu jest? – zastanawialismy sie wszyscy. – Cos w tym byc musi, bo dotychczas przeciez trzymal sie.

Nocny dyzur miala nasza beztroska pielegniarka.

Nacisnalem dzwonek.

–Niech pani poprosi do nas pielegniarke – zwrocilem sie do salowej, ktora przyszla zobaczyc, kto i dlaczego dzwoni.

Po chwili przyszla pielegniarka i pyta, co sie stalo.

–Z;"Karaluchem" jest niedobrze – odpowiedzialem. – Placze i jeczy. Niech pani poprosi lekarza dyzurnego.

–Nic mu nie jest, a placze, bo go boli – odpowiedziala pielegniarka. – Przecie z wczoraj byl operowany i musi go boleć.

–A jednak... niech pani poprosi lekarza (w dnie operacyjne oddzial chirurgiczny mial swojego lekarza dyzurnego).

–Lekarz dyzurny spi i nie bede jej budzila z powodu drobiazgu – a jemu nic nie jest, tylko go boli.

–Nie pani jest do stawiania diagnozy, a jeśli zna pani regulamin, to musi pani wiedzieć, że lekarz ma obowiązek przyjść na każde wezwanie chorego, a pani rzecz jest go o tym powiadomic.

–Pan mnie nie będzie uczył.

Nie dokoczyła. Garneczek, którym rzuciłem, rozbił się o ścianę tuż przy niej. Pielęgniarka błyskawicznie zniknęła za drzwiami. Po pięciu minutach przyszła doktor. Popatrzyła na mnie, następnie dopiero na "Karalucha". Zmierzyła mu tętno i ciśnienie. Wyszła i po chwili wróciła z pielęgniarką i wozkiem. "Karalucha" zabrali do rentgena i już po kilku minutach rozpoczął się na korytarzu ruch i bieganina. Ściągnięto telefonicznie ordynatora oraz lekarza z naszego oddziału, mieszkającego na terenie sanatorium, i zrobiono "Karaluchowi" specjalny zabieg. Nie wiem, co by było, gdyby z zabiegiem czekano do rana. Nie znam się na tych sprawach. lecz następnego dnia pielęgniarki mówiły, że "Karaluch" bez tej pomocy mógłby do rana nie dożyć.

Wkrótce nastąpił podobny wypadek.

Do naszego pokoju przyszedł nowy pacjent. Na imię miał Olek. Był przystojny, dobrze zbudowany. Miał niewielką dziurę w płucu i czekał na zabieg wytworzenia odmy chirurgicznej. Przy jego kondycji fizycznej taki zabieg to drobiazg. Był wesoły, koleżanski, spokojnie czekał na termin zabiegu.

W dniu, w którym miał być operowany, poprosiłem dyrektora o przepustkę do domu. Wyjazd w piątek, po ciszy, to jest po godzinie szesnastej. powrót w sobotę wieczorem.

–Zeby pan wcześniej nie uciekł, proszę przyjść do mnie z przepustką do podpisu po ciszy.

Gdy o czwartej po południu szedłem już ubrany do wyjazdu z przepustką do dyrektora, Oles przewożono wozkiem z sali operacyjnej do pokoju. Spojrzeliśmy na siebie, Olek uśmiechnął się, a ja powiedziałem swobodnie:

–Trzymaj się, Oles, wszystko drobiazg., Mam przepustkę do jutra wieczorem, ale wrócę dopiero w niedzielę rano.

W niedzielę przyjechałem wcześniej, żeby przed godziną osmą być już w sanatorium.

W pobliżu sanatorium spotkałem pielęgniarkę wracającą z nocnego dyżuru na oddziale chirurgicznym.

–Z przepustki pan wraca? – zapytała.

–Tak. Miałem wrócić wczoraj wieczorem, ale wracam dopiero teraz. – To pan na pewno nie wie o tym, że Olek zmarł.

–Kiedy? – zapytałem zaszokowany tą wiadomością. – Przecież miał taką dobrą kondycję! Przedzej bym się własnej śmierci spodziewał.

–Zmarł wczoraj rano. Dyżur miała ta pielęgniarka, w którą pan rzucił garnuszką, i było dokładnie tak samo, jak wtedy. Olek czuł się źle, a ona nie wezwała lekarza. Mówiła, że to normalny stan po operacji., Gdy wezwała, już było za późno, po pół godziny zmarł.

Mimo przeprowadzonej sekcji chorzy nie dowiedzieli się, co było przyczyną zgonu. Wiedzieliśmy tylko, że pielęgniarka od razu przeniesiona została na inny pawilon, a wkrótce zwolniona z pracy.

Gdy w pokoju koledzy komentowali wypadek Olka, nie mówiłem nic, dopiero gdy skończyli, powiedziałem wychodząc z pokoju:

–Och, wy barany. Zabrakło jednego odważnego do rzucenia garnuszką...

Dni na oddziale chirurgicznym przebiegają monotonicznie. Wszyscy chorzy mają ściśle łóżko. Jedyną rozrywką są słuchawki sanatoryjnego radiowęzła oraz biblioteka. Trzeba czekać na przyniesienie książek na oddział. A że bibliotekarka nie może przynieść dużo, więc i wybór jest gorszy. Co pewien czas zdarzy się "sensacja" i tym żyje oddział, podając i komentując dany przypadek.

Taka "sensacja" była śmierć Kazi – tej, którą operowano przede mną. Po trzech tygodniach robiono jej drugi etap plastyki. Przy pierwszym etapie usunięto cztery żebra, przy drugim trzy. Po drugim etapie Kazia zaczęła wyczyniać cuda. Trzeba było wykonać dodatkowe konieczne zabiegi, a ona nie pozwoliła podejść do siebie żadnemu lekarzowi. Gdy którego zobaczyła, ubliżała w najbardziej ordynarny sposób.

Pacjent po wyjściu zeber przez sześć dni otrzymuje pantopon. Grozi to niebezpieczeństwem, że chory przyzwyczai się do narkotyku. Tak było i z Kozia. Gdy po sześciu dniach nie otrzymała pantoponu, bez przerwy była przeraźliwie, wprowadzając wszystkich chorych w stan podniecenia nerwowego. "Wujo" – najstarszy chory w naszym pokoju – trzy dni po pierwszym etapie plastyki – nie wytrzymał nerwowo. – Uduśże! – Wrzasnął w nocy pod dresem wyjącej Kazi. Poderwał się z łóżka i sunie do drzwi. Złapaliśmy "Wuję" i siłą wtłoczyliśmy do łóżka. Kazia już leży pod tlenem, ale nikogo do siebie nie dopuszcza. Po dwóch dniach zmarła śmiercią... samobójczą, bo ego tak nazwać można jej śmierć. Zdobyła się na dwa etapy plastyki, a zabrakło jej odwagi na male, lecz trochę bolesne zabiegi.

Chorzy po plastyce mają bardziej przykry okres pooperacyjny od tych, którzy

przechodzili odme chirurgiczna. Ich scisle lozko po operacji trwa dwanasie tygodni, podczas gdy po odmie tylko szesc. Musza sie kilka razy dziennie gimnastykowac przed duzym lustrem, zeby przywrocic sprawnosc w rece po stronie operacyjnej. Dodatkowa udreka to lezenie trzy razy dziennie pod kilkukilowym workiem napelnionym srutem polozonym na operowanym boku. Byl jeden chory, który nie chcial gimnastykowac sie i lezec pod workiem, mowiac, "ze go boli". Rezultat – pochylony na bok tulow i bezwlad reki.

Od kilku dni jestem juz "na chodzie". Skonczylo sie scisle lozko i musze lezakowac na werandzie. Poruszam sie coraz smiej. Mecz sie z nudow i monotonii sanatoryjnego zycia. Coraz czesciej, podpadam" za nieprzestrzeganie regulaminu.

–Co pan tu robi? – pytala "ciotka", zastajac mnie w innym pokoju. – Przeciez ma pan scisle lozko.

–No tak, ale juz dzisiaj ostatni dzien. Od jutra koniec ze scislym lozkiem.

–To dopiero od futra – a dzisiaj musi pan jeszcze lezec.

Taka byla pierwsza wpadka. Po kilku dniach zdarzyla sie nastepna. Bylo kilka minut po godzinie czternastej. Szedlem na werande, a gdy mijalem otwarte drzwi pokoju, w ktorым lezaly kobiety, te zawolaly mnie i poprosily, zeby zalatwic w bibliotece sprawe dostarczenia ksiazek na oddzial. Zauwazylem wystraszone oczy jednej chorej wpatrzone w drzwi. Obejrzałem sie. W drzwiach stoi "ciotka" i patrzy na mnie zlym wzrokiem...Wpadka -pomyslalem. – Mezczyzna w pokoju kobiecym, i to w godzinach ciszy". Doktor spojrzala na wyjety z kieszeni fartucha zegarek i wyciedzila przez zeby:

"Toz to cholery mozna dostac. To tylko wziac i wyrzucic". – Podnioslem sie z krzesla, bokiem wysuwam sie na korytarz, mijam stojaca w drzwiach "ciotke" i rownoczesnie mowie:

–Wyrzucic jest latwo i kazdy to potrafi, ale pani przeciez nie pojdzie na tak latwe zwyciestwo...

Wyszedlem na korytarz, a "ciotka" za mna. Ide na werande, lecz slysze, ze ona za mna. Doszedlem do lezaka, polozylem sie, przykrylem kocem, a "ciotka" caly czas stoi tuz przy mnie, prawie dotykajac lezaka. Gdy juz sie ulozylem, postala jeszcze kilka sekund, potem zrobila w tyl zwrot i wyszla.

Wszyscy ja lubili i wszyscy sie jej bali. Ja sie nie balem, ale nie chcialem podpasc. Wyczuwalem, mimo jej surowosci, ze mnie lubi i otacza opieka. Nie mylilem sie, nastepne lata wykazaly, ze mialem racje. W kazdej sprawie moglem udac sie do niej po pomoc i porade. Nie tylko wtedy, gdy lezalem w sanatorium, ale i wtedy, gdy specjalnie jechalem do Otwocka na kontrole stanu zdrowia lub konsultacje.

Wczoraj zrobilem dluzszy spacer. Odwiedzila mnie rodzina. Po godzinie poszli odwiedzić mojego chłopaka, który wciąż jeszcze leżał w sanatorium dla dzieci. Po ich odejściu doszedłem do wniosku, że ja też mogę tam pojsc i zobaczyć się z dzieckiem, którego nie widziałem już pół roku. Namowilem kolege i bez przepustki, przez "kawerne" w płocie, poszliśmy do sanatorium dziecięcego. Kolega też dopiero od kilku dni był "na chodzie" po przeszło półrocznym ścisłym łozku. Ruszyliśmy razno przez park. Po przejściu 200 metrów w tempie, jakim zwykle chodzą ludzie zdrowi, spojrzeliśmy na siebie i staneliśmy równocześnie, ciężko oddychając.

–Wiec to tak wyglada nasze nowe zdrowie – powiedzialem spokojnie. Niby człowiek zdrowy, ale już nie ten sam. Konczy się, Tadziu, nasze życie. Teraz będzie tylko istnienie. To już będzie życie na marginesie. Możesz się cieszyć, smuć, płakać, kochać, bo jesteś człowiekiem żywym – ale to już nie będzie życie normalnego człowieka. A jeśli okaze się, że nie nadajemy się już do pracy, wtedy renta państwowa i... wysiadka-na margines życia... – No, idziemy dalej – tylko wolniej.

W sanatorium dziecięcym okazało się, że u syna zaczął się nawrót zapalenia opon mózgowych. Chłopak, przytrzymywany przez pielęgniarkę, siedział przy oknie. Ściągnięte mocno brwi – od bólu głowy – apatyczny, na nic nie reagował: Patrzyłem na dzieci po przebytych zapaleniu opon. Niektóre były nienormalne. Inne miały porażenie rąk i nóg.

Od tego dnia wciąż obserwowałem dzieciaka. Chociaż był jeszcze jeden nawrót, szczęśliwie go wyleczono. Choroba nie zostawiła śladów.

Znow zmiana w pokoju, dwóch odesłano na inne oddziały, a na ich miejsce przyszło dwóch piętnastoletnich chłopców z sanatorium dla dzieci, Zygmunt i Bolek. Dwa krancowo różne typy i charaktery. Dwa krancowo różne życiorysy. Zygmunt miał sześć lat, gdy umarł mu ojciec, a dziewięć lat, gdy umarła matka – oboje na gruźlicę. Nie ma żadnej rodziny i wychowuje się w Domu Dziecka, z którego otrzymuje każdego miesiąca niewielką sumę pieniędzy na zaspokojenie osobistych potrzeb – na mydło, pastę do zębów, na fryzjera. Nikt go nie odwiedza. Leży w bieliznie sanatoryjnej, bo swoją własną prał i prasował sam, a obecnie gdy już ma ścisłe łozko, nie wolno mu tego robić. Twardy charakter. Chłopak doskonale rozumie swoją sytuację. To, że jest bez rodziny, i to, że jest chory, i to, że w nikim nie ma oparcia moralnego i materialnego. Swoją przyszłość widzi czarno, lecz to go nie zalamuje. "Jeśli nie zdechne to jakos życie musi się ułożyć" – mówi.

Bolek to chłopiec wychowany w ciepłarnianych warunkach. Rodzice przyjeżdżają własnym samochodem, przywożą kwiaty, ciastka, czekoladki, wedliny. Ma piękną własną bieliznę i pidzamy. Egoista i samolub. Nikogo niczym nie poczętuje. Nie poczętuje nawet Zygmunta, z którym dobrze się znają, bo leżeli w poprzednim sanatorium na jednym oddziale. Gdy zwróciliśmy mu na to uwagę, odpowiedział ze złością:

–A co, musze? Czy to moja wina, ze jemu nikt nic nie przyniesie?

Jest nieznosny, i zlosliwy. Ma swoje wymagania i chimery. Zada od personelu roznych nie przyslugujacych choremu uslug. Gdy poskarzyl sie lekarzowi na salowa, wzielismy sie do niego ostro. Zygmunt cieszył sie sympatia calej sali. Bolka nie cierpiano.

Operowani byli jednego dnia. Pierwszy operowany byl Zygmunt. Nie jeczal i nie skarzyl sie. Lezal spokojnie i tylko co pewien czas zaciskal zeby i po twarzy przebiegal mu skurcz bolu.

Bolek bez przerwy stekal i pojekiwal...

Poniedzialki czesto sa urozmaicone przekazywaniem wiadomosci, ktorzy chorzy zostali w niedziele przylapani na pijanstwie i wyjezdzaja "na walizkach", to znaczy karnie. Karne usuniecie to czesto decyzja podejmowana "z ciezkiem sercem" przez lekarzy.

Pacjenta przywieziono do sanatorium w stanie ciezkim, lekarze wlozyli duzo wysilku, zeby mogl odzyskac zdrowie, a taki, gdy juz poczuje sie lepiej, wychodzi przez "kawerne" w ogrodzeniu, zachla sie w trupa, wraca do sanatorium i rozrabia tak dlugo, az wpadnie na pielegniarke lub lekarza dyzurnego; oczywiscie na drugi dzien – wysiadka. Tak przewiduje regulamin. W wyjatkowych przypadkach, gdy chory przez caly czas pobytu byl wzorowym pacjentem, jego stan zdrowia szybko sie poprawia, a przerwanie leczenia moze grozic smiercia – chorego przenosi sie karnie do innego sanatorium, a tam jut zwracaja na niego szczegolna uwage. Wykroczenie sie powtorzy-nieodwolalna wysiadka. Mimo takich konsekwencji wypadki pijanstwa zdarzaja sie. Czesto wine ponosi najblizsza rodzina. Przyjezdzaj cala gromada z wodka i zagrycha. Zabieraja kochanego chorego kuzynka i ida goscic sie za ogrodzenie do lasu. Pozniej wszyscy wracaja do domu, a kochany kuzynek ponosi konsekwencje.

Niedziela. Do Wladka z naszej sali przyjechala rodzina. Cztery osoby. Posiedzieli godzinne i namawiaja Wladzia, zeby ich odprowadzil na stacje w Otwocku. Wladzio jest po operacji i dopiero przed tygodniem skonczyl scisle lozko. Miga sie, jak moze, mowi, ze jest jeszcze miekki w nogach, a do stacji prawie cztery kilometry; ze boi sie wychodzic bez przepustki – ale rodzinka jest nieustepliwa. Na kazdy argument maja kontrargument, wreszcie prawie sila zabrali Wladzia z soba. Wyszli o czwartej -po poludniu, a o dziewiatej jeszcze Wladzia nie ma.

–Pewnie sie zachlal – mowie do kolegi – a jesli wpadnie, to szkoda chlopaka. Zakrece sie w poblizu dziury. Jak bedzie wracal, to go przeprowadze przez taras.

Pol godziny krecilem sie w poblizu przejscia w ogrodzeniu, ktorym wedlug

mojego.rozumowania powinien wracac Wladzio. Jesli nie wroci do godziny dziesiatej, to "lezy" przy wieczornej kontroli obecności. Musze wracac, bo za kilka minut zacznie sie cisza i nocna kontrola w salach chorych. Idac do budynku od strony tarasu, juz z daleka widze, ze ktos gramoli sie na nasyp i zjezdza w dol zeslizgujac sie z pokrytej trawa gorki – a o piec metrow dalej sa przeciez schodki.

Jedna, druga, trzecia proba – wreszcie wiazl. Podszedl i chwycil rekoma porecz tarasu. Teraz stoi, buja sie w lewo, v prawo i boi sie puscic poreczy. Podszedlem blizej, patrze: Wladzio. Chwycilem go w pol i wciagnalem szybko do pokoju, zamknalem drzwi od tarasu i zasunalem zaslone.

–Pilnuj przy drzwiach, czy kto nie idzie-powiedzialem do kolegi-a wy – zwrocilem sie do innych -.pomozcie go rozebrac.

Po chwili rozebranego wrzucilismy do lozka i prawie z glowa przykrylismy kocami. Po pieciu minutach przyszla pielegniarka. Popatrzyła, czy wszyscy sa w lozkach, zgasila swiatlo i poszła kontrolowac inne pokoje. Po dwoch godzinach obudzil sie, rozejrzal po pokoju i pyta niesmialo:

–Chlopaki, jak ja sie znalazlem! Nic nie pamietam. Zyciorys mi sie skonczyl w Otwocku, w knajpie.

Opowiedzielismy, jakim sposobem znalazl sie w lozku.

–A widzieli mnie?

–Chyba nie – ale przekonamy sie jutro. Jesli widzieli i zakapowali, to jutro wysiadka.

Tym razem skonczylo sie dobrze, tylko lekarz w czasie obchodu zapytal, gdzie on tak twarz podrapal.

–Bylem wieczorem w parku – odpowiedzial Wladzio. – Bylo ciemno, zgubilem sciezke i wpadlem twarza na zwisajaca galaz.

Rano Wladzio mial podwyszona temperature, a wieczorem jeszcze wyzsza.

–Czy zameldowac doktorowi? – pyta Wladzio. – Zapisac w karcie goraczkowej?

–Nie pytales nas, czy pic wodka, to teraz nie pytaj, czy meldowac o temperaturze – odpowiedzial lezacy obok kolega.

Wtracilem sie do rozmowy, mowiac:

–Nie melduj, bo przeciez nie powiesz doktorowi tego, ze uchlales sie jak swinia. Doktor nie bedzie znal przyczyny i moze zastosowac nowa kuracje, a to przeciez

tylko z przepicia. Zaczekaj trzy dni, jak temperatura nie opadnie, wtedy melduj.

Trzeciego dnia Wladzio mial juz normalna temperature.

Udalo sie. Nie zostal zlapany i nie bylo pogorszenia stanu zdrowia. Ale byly wypadki, ze nastepnego dnia facet dostawal krwotoku, a doktor nie znalazl przyczyny.

Juz jestem w domu. Po dziewieciomiesiecznym pobycie, po operacji i z przetoka. Gdy wroce, otrzymam ostatni zasilek chorobowy, a nie wiem, kiedy i gdzie zacznę pracowac.

Mam jeszcze dwa tygodnie zwolnienia – na aklimatyzacje w nowych warunkach. Nie jest mi ono potrzebne, bo juz nikt nie bedzie placil.

Poszedlem do swojej bylej zwierzchniej.wladzy zapytac, czy dostani u nich prace.

–Owszem. Ale jak przedstawia sie pana obecny stan zdrowia?.

–Teraz juz jest dobrze, ale bylo i bardzo zle. Jedna noga juz bylem niebie.

–I jak tam bylo?

–Nie podobalo mi sie. Rozejrzałem sie, ale widze, ze knajp nie ma... swieci z brodami tak jakos dziwnie wygladaja... duchy tez jakos do niczego... ucieklem. Uwazam, ze,warto jeszcze jakis czas pochodzic po ziemi.

5 BYLEM SOLA W OKU

Co drugi tydzień jeżdżę do Otwocka na dopełnienie odmy po stronie operacyjnej. Mogę pozwolić sobie na taki luksus, bo przy zajmowaniu nowej funkcji uzgodniłem z dyrektorem sprawę wyjazdów. Dzięki temu jestem pod dalszą kontrolą sanatoryjną i w przypadku pogorszenia stanu zdrowia mogę być zaraz przyjęty na oddział. Natomiast załatwienie miejsca w sanatorium przez poradnię trwa często dwa, trzy miesiące. Może wtedy być i tak, że otrzymuje się zawiadomienie o przyznaniu miejsca, lecz pacjent już go nie potrzebuje, ma już dobre miejsce na cmentarzu.

Dokuczliwe są przetoki. Nie boli, ale jest kłopot z częstą zmianą opatrunków, szczególnie latem: ciało się poci i plastry nie trzymają. Od czasu do czasu, dla rozrywki przytrzymuje bok ręką, druga porusze i... przetokami gwizdzą na wszystko.

Tym razem odme dopełnia mi "ciotka" – naczelną chirurg, która tego dnia miała dyżur na oddziale chirurgicznym. Po dopełnieniu, w rozmowie uzalałem się nad swoim losem z powodu przetok, z których bez przerwy wycieka ropa.

–Długo może trwać ta zabawa? – zapytałem.

–Długo, nawet kilka lat.

–A nie ma sposobu, żeby dziury czymś załatać? Może jakaś operacja? Wyciąć, zaszyć, skrócić i wyrzucić.

Mogłabym spróbować. Szansa mała, ale kto wie.

–Jak się nie powiedzie, nie będę miał żalu. Ale gdybym miał iść po trzech latach na operację, a zabieg by się udał; to miałbym żal, że nie zrobiłem tego wcześniej i tyle czasu się męczyłem.

–Dobrze. Kiedy pan chce przyjść do sanatorium?

–Zaraz po Nowym Roku.

Juz jestem w sanatorium. Na chirurgii: Przechodzę badania przedoperacyjne. Czeka tygodnie i nie wzywają mnie na operację. Od kilku dni nie widzę "ciotki".

Nie wytrzymałem i w czasie obchodu pytam:

–Panie doktorze, trzeciego dnia po przyjściu miałem być operowany, a już minęło dziesięć dni i nikt się tym nie interesuje. Długo tak można czekać?

–Czekać to można i rok – odpowiedział doktor spokojnie – a pana nie operuje się dlatego, że "ciotka" jest chora, a odchodząc zastrzegła, żeby nic nie robić do jej

powrotu, bo chce sama pana operowac.

To moge czekac nawet miesiac – odpowiedzialem zadowolony. Obawialem sie juz, ze lekarze doszli do wniosku, iz operacja nie pomoze. Jeszcze bardziej ucieszylem sie, gdy uslyszalem, ze jutro "ciotka" – wraca do pracy.

Nastepnego dnia w czasie obchodu "Ciotka" zatrzymala sie przy moim lozku i powiedziala krotko:

–Niech sie pan przygotuje duchowo na jutro – robimy zabieg.

–Duchowo to ja juz jestem przygotowany od miesiaca – odpowiedzialem – ale nie lubie przygotowania cielesnego.

–Jakiego?

–Cielesnego – powtorzyłem. – Sol gorzka, "miedzmiastowa" itp. – A dlaczego "miedzmiastowa"? – smiejac sie pyta doktor.

–Bo caly interes odbywa sie w kabinie, na ktorej jest napis "00" a dwa zera to przeciez numer miedzmiastowej centrali telefonicznej...

Zabieg nie trwal dluzej niz godzinie. Operowala "ciotka" w asyscie innych lekarzy. Tym razem stol operacyjny nie byl juz dla mnie nowoscia. Sam sie ulozylem, zapytalem, jaka mam przybrac pozycje i obserwowalem przygotowania do operacji. Mialem dobre samopoczucie, bo juz dzialala morfina.

Miejscowe znieczulenie – i zaczelo sie operowanie. Lekarze rozmawiali, wlaczałem sie do ich rozmowy.

–Pani doktor – pytam – Jak pani myśli, czy zabieg bedzie skuteczny?

–A czy ja jestem wrozbita? Zobaczymy.

–Sa rozni wrozbici – odpowiadam. – Nie pamietacie panstwo ogloszen w prasie przedwojennej: "Mlody przystojny chiromanta-wrozy z rak, nog i piersi".

–I z piersi?

–Tak, ale to mniej wazne. Najwazniejsze to, ze "mlody, przystojny".

Operacja trwa. Lekarze rozmawiaja – a ja od kilku minut milcze.

–Pan nic nie mowi. Boli? – pyta "ciotka". – No tak, teraz na pewno boli.

–A jak boli, to mam plakac? – zdobywam sie na pytanie.

Kochany chlop z niego – mowi "ciotka". – Z nim mozna robic, co sie tylko chce.

Wreszcie operacja skonczona. Kilka dni lezenia. Gdy zostana zdjete szwy, bedzie juz mozna chodzic.

Juz jestem "na chodzie". Teraz co drugi dzien ordynator robi punkcje. Wdalo sie jeszcze podejrzane ropienie, ale po kilku tygodniach i to sie w klarowalo, Wojna z przetokami ostatecznie skonczyla sie zwyciestwem.

Sanatorium to me tylko leczenie chorych. To rowniez zbiorowisko ludzi, zyjacych odrebny zyciem malego spoleczenstwa. Ludzie rozni pod wzgledem wieku, wykształcenia i przekonan znajduja sie w warunkach przymusowych, skazani na wielomiesieczne wspolne przebywanie. To zroznicowanie powoduje nieraz konflikty.

Z chwila przyjscia do sanatorium chory traci czesc swojej osobowosci. Przestaje byc autorytetem dla otoczenia, jakim mogl byc w swoim miejscu racy. Personel sanatoryjny nieraz stara sie zrobic z chorego kukle, ktora nie ma nic do gadania.

Nastepuje swiete oburzenie, jesli chory ma jakies zyczenia, czegos chce czy cos mu sie nie podoba.

Ale jest tez kategoria chorych, ktorym Wydaje sie, ze sa pepkiem swiata! S to ludzie, ktorzy me potrafia zyc w kolektywie. Cisza ma byc w pokoju wtedy, kiedy on chce: Zachowuje sie glosno, kiedy jemu sie podoba.

Jesli znajdzie sie ktos, kto nie pozwala sie sterroryzowac takiemu egoiscie lub jesli wymaga od personelu tego, co sie nalezy pacjentowi – nieraz staje sie sola w oku personelu. I ja sobie zarobilem na taka opinie po kilkunastu incydentach.

–Kto teraz jest dyrektorem: – spytalem kolegow. – Jeszcze go nie widzialem.

–To nowy dyrektor – mowili koledzy. – Jest dopiero dwa miesiace, a juz wrzucil karnie kilkunastu chorych, Wyrzuca za byle glupstwo. Bardzo ostry.

Po dwoch tygodniach, gdy juz bylem na chodzie, po operacji, prze miejscowy radiowezel ogloszono, ze po kolacji, w stolowce, odbędzie sil ogolne zebranie kuracjuszy, na ktorym wybierac bedziemy rade kuracjuszy i delegatow oddzialowych. Kuracjusze gremialnie przyszli na zebranie. Byla okazja wypowiedzenia wszystkich zalow, jakie kto mial, bo wiadomo bylo, ze na zebraniu bedzie cala dyrekcja.

Chorzy zbieraja sie w grupki i umawiaja sie, kogo wybrac do nowej rady, Oto juz otwarto zebranie. Za stołem prezydialnym dyrektor, przelozona pielegniarek, przewodniczacy rady miejscowej zwiazku zawodowego, sekretarz POP oraz kilku chorych, wsrod nich przewodniczacy Rady Kuracjuszy, ktory wyglosil referat sprawozdawczy z dzialalnosci rady.

Dosc dlugi referat mial na celu wykazac aktywna prace rady, lecz gdy sie posluchalo uwaznie, widac bylo, ze praca ta byla bardzo slaba. Po referacie glos oddawano przewodniczacych roznych komisji, na jakie podzielony byl samorzad kuracjuszy: komisji wyzywienia, komisji kulturalnej i innych,

Najbardziej zdziwilo mnie sprawozdanie komisji wychowawczej, w ktorym omawiano rozne przekroczenia regulaminu przez chorych; kazdy omawiany przypadek konczyl sie slowami: "Zostal karnie wypisany z sanatorium".

Zaczela sie dyskusja. Pewien chory marudzil, ze koce od lat sa nie trzepane. Przy slaniu lozek taki kurz, ze nie ma czym oddychac...

–No to nie oddychac!.., – zawolalem polglosem. Siedzacy w poblizu rozesmiali sie.

–...robaki wlaza do ucha,– konczy dyskutant – a podlogi zamiataja na sucho i znow wznosza sie tumany kurzu. Wszedzie pila papierosy, Na korytarzu, w ustepie, a lazience, na schodach. Ten, stan powinno sie natychmiast zlikwidowac, a za palenie papierosow powinno sie zwalniac karnie – zakonczyl.

Teraz mowi drugi. Ten dla odmiany narzeka na wyzywienie. Z tego, co powiedzial, mozna wnioskowac, ze wszystko jest niedobre, nie do jedzenia, z popsutych produktow, i ze: "swinie by tego nie chcialy jesc".

Poprosilem o glos.

Jestem nie pierwszy raz w sanatorium – zaczalem – i wszedzie chorzy ostro stawiaja sprawe wyzywienia. Gdy spotkalem sie z tym zagadnieniem pierwszy raz postanowilem zaobserwowac, jak to wlasciwie jest. Dzisiaj juz moge sie na ten temat wypowiedziec. Obserwuje jednego takiego, ktory bez przerwy psioczy na zle jedzenie. Potrafi z grymasem wstretu odsunac talerz ze smazonym dorszem mowiac: "Jak ludzie moga jesc takie swinstwo, przeciez to wstretne". Opatyczylem go wtedy solidnie. Nie chce, niech nie je, ale niech nie robi z tego manifestacji, ze to niby on tylko taki arystokrata, a reszta jak swinie – zjedza wszystko.

Gdybym mogl – mowilem dalej -chcialbym zobaczyc, co jedza w domu ci, ktorzy

tak grymasza. Recze, ze malo kto jada codziennie na obiad mieso. A tu mamy piec razy w tygodniu mieso, raz jajka i raz rybe. Ciekawi mnie, kto w domu spozywa posilki piec razy dziennie. Mysle, ze niewielu jest takich. Bywa, ze obiad nie jest smaczny, ale u siebie w domu tez nie zawsze uda sie ugotowac dobry obiad. Jesli chodzi o zestaw posilkow – czesto planuje sie obiad, a potem okazuje sie, ze magazyn nie ma odpowiednich produktow i trzeba gotowac z tego, co znajduje sie w podrecznym magazynie. Mowie to na podstawie dlugiej, osobistej obserwacji. Ja na przyklad nie lubie rannej mleczonej, slodkiej zupy. Ale to, ze ja nie lubie, nie znaczy, ze zupa nie jest dobra i ze "swinie tego nie chca zrec", jak mowia niektorzy.

Z obserwacji wiem, że chorzy opychają się własnymi, przysłanymi z domu produktami. Jak taki zje przed obiadem kawał szynki czy poledwicy, do tego bułkę z masłem, to gdy po godzinie przyjdzie na obiad, kreci nosem i mówi, że to zarcie dla świń. Niejeden nie zdaje sobie sprawy, że działa na szkodę własnego domu, własnej rodziny, własnych dzieci. Ojciec czy matka chorzy na gruźlicę. Rodzina sama nie zje, nie kupia ubrania, sprzedają coś z domu, żeby tylko posłać temu choremu – a on nie chce jeszcze tego, co mu dają w sanatorium, tylko pisze do domu: "Przysyłajcie, bo inaczej zdechnie z głodu". A jego jedzenie sanatoryjne, jedzenie stuprocentowej jakości oddaje się świom. Dodatkowo, własne jedzenie powinno być po to aby – jeśli ktoś ma dobry apetyt i racja sanatoryjna jest dla niego za mała – po oficjalnym posiłku zjadł coś swojego. Ale nie wierze w to, że racja jest za mała. Każdy może zjeść zupy, chleba, jarzyn i kartofli tyle, ile potrafi. Ścisłe wydzielane są tylko porcje mięsa, masła, jajek. Każdy, kto chce, zawsze otrzyma dokładkę do obiadu, a jeśli poczeka do końca obiadu, to dostanie nawet drugą i trzecią porcję mięsa. Sam to robię, więc wtem na pewno. Nie trzeba tylko wstydzić się prosić kelnerkę o drugą porcję, dotychczas nie zdarzyło się, żeby mi odmówiono.

Gdy skończyłem mówić o jedzeniu, poruszyłem temat palenia papierosów.

– Pewien kolega mówił o kurzu z koców i smugach dymu na korytarzu, żeby, być w zgodzie z prawdą, trzeba powiedzieć, że salowe trzepia kocy przy każdej zmianie pacjenta na łóżku. Może to jest za mało, nie przeczę, ale gdyby tylko od trzepania koców zależało nasze zdrowie, to już nie byłoby ludzi chorych na gruźlicę.

Smugi dymu. Obecnie jestem niepalący, ale znam ten ból. Jeśli zabroni się palić papierosy na korytarzu, w ustępie, w umywalni, no to gdzie wreszcie ten chory ma palić?

– Niech w ogóle nie pali- przerwał dyrektor ostrym tonem zwracając się do mnie...

"Chce mnie zgasić" – pomyślałem. Obróciłem się w stronę stołu prezydyjnego i odpowiedziałem dyrektorowi:

– O ile znam regulamin sanatoryjny, to palenie nie jest wzbronione, a jeśli nie jest wzbronione; dyrekcja obowiązana jest stworzyć odpowiednie warunki, a więc palarnie. Skoro jednak liczymy się z tym, że palarnia na oddziale to zmniejszona ilość łóżek dla chorych, musimy palić na korytarzach...

– A skąd pan tak dokładnie zna regulaminy? – zapytał dyrektor kpiąco. – Przypadkowo, dyrektorze, przypadkowo – odpowiedziałem takim samym tonem. – Lubie wiedzieć, czego ode mnie zadają i co mnie się należy.

Ja mam inne pretensje do dyrekcji – zacząłem poważniej. – Nie wiem, dlaczego dotychczas nie zlikwidowano na terenie sanatorium prywatnych usług i handlu.

Sklep przysanatoryjny jest slabo zaopatrzony, baby ze wsi przynoszawedliny, sery, jajka i biora ceny o wiele wyzsze niz w sklepach uspolecznionych.

Laza po terenie rozni handlarze, Wczoraj w parku przegnałem handlarke, ktora chciala kupic oryginalne buteleczki od rimifonu i proponowala dziesiec zlotych za buteleczke. Chyba nikt nie zechce przekonac mnie, ze buteleczki sa jej potrzebne po to, by na Wielkanoc sprzedawac w nich wode swiecona... Moze naladowac je byle czym i sprzedawac chorym za drogie pieniadze jako rimifon.

Ale tymi sprawami dyrekcja i rada kuracjuszy sie nie zajmują. Jade dalej.

Komisja kulturalna dala wykaz imprez artystycznych i wyswietlanych filmow. Ale czy ktos zainteresowal sie stanem sluchawek radiowezla na oddziale chirurgicznym? Na kazdym oddziale jest duzo uszkodzonych sluchawek, ale szczegolnie chodzi mi o chirurgie. Ci ludzie nie korzystaja z biblioteki, nie chodza na filmy i imprezy artystyczne, bo maja scisle lozko. Jedynym kontaktem z zyciem kulturalnym sa sluchawki radiowe, ktore piecdziesieciu procentach sa popsute. Potrzebna mala reperacja lub wymiana sznurow. Kupcie sznury, a chorzy sami je wymienia. Za malo jest tez prasy codziennej, wlasnie na chirurgii. Chory chodzacy moze czytac w swietlicy, moze kupic w kiosku, ci z chirurgii nie. Nie wiem, czy wolno mi o to zapytac, ale chcialbym wiedziec, kto kontroluje sumy budzetowe przeznaczone na prace kulturalno-oswiatowe dla chorych?

Następna na sprawa to pokoje dla chorych uprzywilejowanych. Na kazdym oddziale sa dwa pokoje dwuosobowe, dwa czteroosobowe, reszta to osmioosobowe.

Kto w nich lezy? W dwuosobowych jak nie mecenas, to pan doktor, jak nie pan inzynier, to pan profesor. A "motloch" w pokojach osmioosobowych. Zgadzam sie, ze w malych pokojach powinny znajdowac sie szczegolne przypadki. Dwoch ciezko chorych, tak. W duzym pokoju ciezko chorzy czuja sie zle i inni pacjenci przy nich tez zle sie czuja. Dwoch lekko chorych – tak. Czlowieka z niewielkimi zmianami chorobowymi lepiej nie umieszczac z ciezko chorymi. Ale nie ustawiac wedlug profesji, tak zeby w jednym pokoju byl ciezko chory pan inzynier i lekko chory pan redaktor.

Zaraz dyrektorze; jeszcze nie skonczylem – powiedzialem szybko, widzac jak dyrektor sie poderwal. – Mam jeszcze jedna sprawe. Sluchalem, tu sprawozdania komisji wychowawczej. Zastanawiam sie, co to za ciekawy stwor organizacyjny. Jak zrozumialem ze sprawozdania, praca tej komisji polega na pomaganiu dyrekcji w karnym wyrzucaniu pacjentow za najblahsze przewinienia. Jesli na tym polegac ma praca komisji, to mysle, ze nie jest ona wcale potrzebna, bo dyrektor potrafi to sam pierwszorzednie robic...

Po skonczonym zebraniu w grupie kolegow wracalem na oddzial. Dziekowali mi za

przemowienie i dziwili sie, ze mialem odwage tak smialo wystapic. – A dlaczego mialem nie wystapic -zapytalem. – Dlaczego mialbym sie bac?

Wkrotce zmieniono dyrektora. Zanim to sie stalo, mielismy z nim sporo roznych sensacji. Po godzinie dziesiatej wieczorem zaczal sie w parku i polowal na tych, ktorzy spozniali sie ze spaceru. Ganiel za nimi po parku i naokolo budynku. Pacjenci nie pozostawali dluzni i robili mu przykre kawaly w ciemnosciach.

Wtedy wpadal jak bomba do budynku, kazal zamykac wszystkie drzwi i robil w pokojach kontrole, zeby sprawdzic, kogo nie ma w lozku. Lecz winowajcy byli zrecniejsi, juz dawno udawali, ze spia.

Mam pecha do swojego ordynatora. Ile razy spoznie sie na ranne lub popoludniowe lezowanie, zawsze na schodach lub na korytarzu musimy sie spotykac, Czy spoznie sie dwie minuty, czy dziesiec, to juz niewazne. Doktor zawsze jednakowo pyta:

–Gdzie pan byl do tej pory?

Odpowiadajac, za kazdym razem wymieniam inny powod.

–Bylem w kosciele.., Bylem na ksiezycu... Bylem na rybach... Ogladalem zacmienie slonca..,

Taka gra. Doktor pytal i ciekawy byl, co nowego poslyszy, a ja juz naprzod obmyslam odpowiedz. Po kazdym takim spotkaniu musialem pozniej wysluchac napomnien pielegniarki oddzialowej, ktorej doktor wmawial, ze chorzy robia, co chca, i ze to jej wina. Wreszcie znalazla na mnie sposob. Pogniewala sie. Nie zwracala mi juz uwagi, ale i nie odzywala sie do mnie wcale.

–Pani sie na mnie gniewa? – zapytalem. – Przeciez nigdy nie obrazilem pani... Dlaczego gniewa sie pani na mnie?

–Tak, gniewam sie, Bo prawie kazdego dnia musze wysluchiwać wyrzutów, ze nie potrafie sobie z panem poradzić.

–Ale to przeciez nie pani wina, Ze mna malo kto moze dac sobie rade.,. Tu tylko ja jestem winien... Juz nie bede sie wiecej spoznial. Niech pani sie na mnie nie gniewa. Co ja moze na to poradzić, ze leczenie jest dla mnie taka meka? Bezczynność mnie zabija.

–Przeciez to dla pana zdrowia.

–Wiem, zależy mi na leczeniu, ale to bardzo ciężka konieczność, ja naprawdę wariuje z beczynności.

Od tego dnia starałem się przychodzić na czas,

Pewnego dnia w czasie popołudniowego werandowania wezwła mnie pielęgniarka oddziałowa na opatrunek, Do gabinetu wszedł jakiś mężczyzna szukający doktora.

–Nie wiem, gdzie teraz jest doktor – mówi pielęgniarka-nie widziałam go już cztery godziny.

Wtraciłem słowo:

–Niech pan chwile poczeka, doktor zaraz przyjdzie.

–Skąd pan wie, że przyjdzie? – dziwi się pielęgniarka.

–Przyjdzie bo ja tu jestem w czasie leżakowania, więc doktor mnie na pewno przyłapie!

Interesant już odszedł, gdy do pokoju wpadł doktor. Co pan tu robi o tej porze? – zapytał mnie ostro.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu.

–No i z czego pan się śmieje?

–W tej chwili oddziałowa skończyła robienie mi opatrunku – tłumaczy – a śmieje się. ponieważ... – i tu opowiedziałem moje przewidywania sprzed chwili.

–Gdzież jest ten interesant? – pyta doktor.

–Na pewno czeka jeszcze na korytarzu albo w hallu. Gwarantowałem przecież, że pan za chwilę będzie.

W każdy wtorek i piątek po kolacji w stolowce dla chorych wyświetlane są filmy, na które przychodzi chorzy i pracownicy. Co pewien czas organizuje się imprezy estradowe, a nawet teatralne. Gdy ma być ciekawy występ lub film, więcej jest chętnych niż miejsc na sali.

Przyjechali do nas z ambasady węgierskiej z filmem nakreconym na Olimpiadzie, na której Węgrzy zajęli dużo pierwszych miejsc. Publiczność przyszła masowo, bo zapowiedziano pokazanie całego meczu piłkarskiego Węgry-Anglia tzw. "mecz stulecia" wygranego zresztą przez Węgry.

Gdy wszedłem na salę, wszystkie krzesła były zajęte.

Nie było już wolnych miejsc, ale zauważyłem młodego chłopaka siedzącego na stole. Pod stołem stoi krzesło, które on zasłania nogami. Wygodnicki. Jak zgasnie

swiatlo, wysunie krzeslo i oprze na nim nogi. Byl to cwaniaczek, znany z tego, ze robil, co chcial i jak chcial, a inni chorzy, grzeczni i spokojni, bali sie zaczynac z nim, bo wiedzieli, ze jest sklonny do awantur. Podeszedlem i wyciagam krzeslo spod stolu. Ten rozesmial sie,

uchwycil krzeslo za poręcz i mowi:

–Nie rusz, frajerze, nie twoje.

–Ale bedzie mole – odpowiadam takim samym lekkim tonem. – A poza tym, od kiedy ja z toba, g...rzu, jestem na "ty"?

Zglupial. Po chwili juz siedzialem na krzesle.

Nygusiak draki nie podjal, tylko przez kilka minut dziamgotal za moim plecami:

–Czekaj, frajerze, oszukales sie, Zlapiemy sie jeszcze. Ja jestem z Otwocka, a ty nie wiesz,,jak tu w Otwocku bija.

Nie odzywalem sie wcale, dopiero przy ostatnich slowach odpowie. dzialem;

–Gowniarz jestes, jesli ferajna straszysz. Kiedy tylko zechcesz, zawsze moge sie z toba spotkac, a twoja ferajne mam gdzies.

Po kilku podobnych drakach doszlo do tego, ze przestalem chodzic na filmy. Chce sie leczyc, a taka awantura moze kiedyś zakonczyc sie karnym wyjazdem do domu,

Od kilku dni znow zaczalem palic, ale strach wyjsc, bo z moim pechem na pewno wpadne na ordynatora. Po obchodzie moge isc spokojnie do ustępu i tam wypalic, ale obchod sie spoznia. Wreszcie wyszedlem z lozka i wpakowalem sie miedzy drzwiami: w pokojach byly drzwi podwojne, a miedzy nimi jednometrowa sionka. Drzwi od strony pokoju zamknalem, a od strony korytarza uchylilem i palac papierosa obserwuje przez szpare korytarz, zeby mnie nikt nie przylapal. Wtem otwieraja sie drzwi sasiedniego pokoju, a z nich wypada ordynator z pielegniarka i szybkim krokiem ida do nas. Szybko wbiegalem do pokoju, wyrzucilem papierosa przez okno i gdy doktor wchodzil, juz przykryty kocami lezalem w lozku.

Doktor stanal na srodku pokoju, glowe zadarl do gory, pociagnal nosem raz, drugi i pyta:

–Kto palil papierosa? – Przenikliwym wzrokiem spoglada na twarze.

–No kto palil w pokoju, niech sie przyzna – zapytal drugi raz, a gdy nikt sie nie odezwal, dodal: – No co, zabraklo odwaznego?

–Odważny się znajdzie – musiałem już zabrać głos – ale ja paliłem nie w pokoju, tylko między drzwiami, i ledwie zdążyłem do łózka przed panem uciec... Bo ja naprawdę mam. do pana jakiegoś pecha. Chocbym przez tydzień był idealnym, zdyscyplinowanym kuracjuszem, to jak po tygodniu cośkolwiek zrobię nie tak, jak trzeba, zawsze nadzieję się na pana... Od rana nie paliłem, a jak się sztachnałem dwa razy, już pan jest i nawet człowiek nie zdążył dylować do własnego łózka... Ale pan też się na mnie nasadził. Gdzie kto co drobi, pan zawsze tylko mnie widzi. Kaze przywieźć sobie inny sweter, bo ten białogranatowy na kilometr wpada w oczy!

Doktor się nie odzywał podczas mojej perory, tylko patrzył mi w oczy i uśmiechał się.

Po obchodzie niech pan przyjdzie na przeswietlenie, tam sobie pogadamy.

Wieczorem odbyłem z ordynatorem długą rozmowę. Opowiedziałem przebieg poprzednich zajęć. Poruszyłem inne jeszcze sprawy, które łączyły się z tymi incydentami.

–Dowiedziałem się – mowilem – że lekarze na oddziale kobiecym wydali wewnętrzne, oddziałowe zarządzenie, że kobiety i mężczyźni mogą przebywać razem tylko w stolowce w czasie posiłków i w świetlicy. Ze stolówki iść razem można, ale nie wolno zatrzymywać się i rozmawiać nie tylko na korytarzach, ale nawet przy schodach czy przy oknie. Jaki cel ma to zarządzenie?

–Ja nic o nim nie wiem – odpowiedział doktor- ale tu chyba chodzi o to, że teraz, na wiosnę, gdy ludzie poczuja "mięte", mamy z tym dużo kłopotu. To zarządzenie ma na celu oddzielić ludzi od siebie. Iść parami w krzaki,,a później dostaje taki krwotoku, temperatury...

–Zgadza się z panem – odpowiedziałem. – Wobec tego bardziej celowe byłoby wyciecie krzaków... Ale jeśli dwoje ludzi stoi na korytarzu, to chyba taka sytuacja jest najmniej niebezpieczna? A co mają robić chorzy w wolnym od leżakowania czasie, gdy pada deszcz? Do pokoju wejść nie wolno, w świetlicy mało miejsc, na korytarzu stać nie wolno. Ale można chodzić po schodach, więc czy mamy chodzić godzinami po schodach, bo nie wolno stać i rozmawiać? Dojdzie do tego, że ludzie wzorem japońskim, stojąc w miejscu, będą poruszać nogami udając marsz.

I jeszcze jedna sprawa, panie doktorze, Gotów jestem stosować się do najbardziej ostrego regulaminu pod warunkiem, że będzie on obowiązywał wszystkich. Jeśli natomiast chociaż jedna osoba będzie poza regulaminem, to ja będę drugi!

Pielegniarka chciała usunąć mnie z korytarza, podczas gdy równocześnie w uprzywilejowanym dwuosobowym pokoju siedzą mężczyźni i kobiety, grają w karty i robią przyjęcia towarzyskie przy czarnej kawie. Dlaczego mam być inaczej

traktowany?

My tez na "szostce" tworzymy grupe bliskich kolegow i kolezanek, wiec chce pana prosic, aby wolno nam bylo usiasc przy stole stojacym na korytarzu i wypic mala kawe przygotowana przez nas w kuchence oddzialowej.

–Dobrze – odpowiedzial doktor – wydam pielegniarkom odpowiednie zarzadzenie.

Jesli chodzi o incydenty z pielegniarkami – mowil dalej doktor-to trzeba tez miec troche wyrozumialosci. To sa mlode dziewczeta. Wiele z nich jest ze wsi i przyszly pracowac po polrocznym kursie Czerwonego Krzyza, Mamy duzo etatow, ale brak wyszkolonych dyplomowanych pielegniarek. Musimy zadowolic sie takimi, jakie nam przysylaja. Niektorym ta odrobina wladzy, jaka otrzymaly, uderza do glowy i nie zawsze potrafia postepowac zgodnie z logika. A chorzy tez czesto ponosza wine, bo pozwalaja sobie na daleko idaca poufalosc wobec personelu.

Ludzie sa zdenerwowani, Wplywa na to stan zdrowia. Niektorzy leza miesiacami i mimo kuracji stan ich ciagle sie pogarsza. Sytuacja staje sie ciezka, bez perspektywy poprawy, Konieczne leki nieraz tez bardzo ujemnie wplywaja na system nerwowy pacjenta. Podczas takiej kuracji czlowiek doznaje uczucia, ze nie miesci sie w sobie! U niejednego choroba staje sie przyczyna komplikacji zyciowych, zwiazanych z praca i zyciem rodzinnym, Nic dziwnego, ze w tych warunkach rodza sie konflikty.

Gdy na miejsce wypisanego przychodzi nowy pacjent, starzy obserwuja go od pierwsze j chwili, Czy to dorzeczny czlowiek, czy beda z nim klopoty?

Oto mamy nowego pacjenta. Przyjechal w towarzystwie trzech osob, ktore odprowadzily go do sanatorium. Dwie skorzane walizy, z ktorych wyjmuje jedwabne pidzamy i bielizne. Do szafki loduje mase prowiantu. Poledwica, szynka, jajka, maslo, czekolada, pomarancze, puszki z sokiem cytrynowym i wiele innych produktow, Z nikim sie nie przywital. Nie powiedzial nawet "dzien dobry".

Gdy wyszedl na korytarz porozmawiac i pozegnac sie z odprowadzajacymi, w pokoju nastapila wymiana zdan:

–Co o nim powiecie?

–To facet z typu: "hrabiowskie dziecko".

Rozpoczal "popis" juz w czasie popoludniowego lezakowania. Gdy juz wszyscy byli w lozkach, lecz jeszcze rozmawiali, po pieciu minutach nasz "Szpagat" po raz pierwszy przemowil;

–Prosze przestac rozmawiac, teraz obowiazuje cisza i ja chce spac. Regulaminowo mial racje, ale zawsze chorzy rozmawiaja jeszcze kilka chwil, zanim nastapi calkowita

cisza.

Zaden nie odpowiedzial, ale rozmowa trwala jeszcze kilka minut.

Cala noc okna w pokoju sa otwarte. Ten, kto rano pierwszy wstaje, Zamyka okno i idzie sie myc. Gdy wstaja inni, w pokoju juz jest cieplo. chodzi o to, zeby nie wychodzic z ciepłego łozka, gdy jeszcze jest zimno. Wielu chorych otrzymuje posiłki w pokoju. Gdy okno jest otwarte, śniadanie szybko stygnie. W czasie obowiązującego leżenia i w nocy okna sa otwarte, nawet gdy jest mroz,

Następnego rana wstałem pierwszy, zamknalem okno i poszedłem do umywalni. Gdy wrocilem, wszyscy byli juz ubrani, śniadanie stoi na stole, a w pokoju zimno jak w psiarni. Spojrzałem – okno otwarte na cala szerokosc.

–Kto otworzył okno?

–Ja – odpowiada "Szpagat". Siedzi na łozku pod kocami, na sobie ma kozuszek, na głowie welniana czapke i zajada swoje produkty.

–Na czas śniadania zawsze zamykamy okna – informuje.

–No, to nie bedziemy teraz zamykali. Musze miec swieze powietrze.

–Zle pan zaczął swój pobyt w tym pokoju – mowie. – Wczoraj wrzasnal pan, zeby nie rozmawiac, bo to panu przeszkadza. Dzisiaj podskakuje pan przeciwko wszystkim i otwiera okno, bo panu tak wygodnie. Nie umyty, w kozuchu i czapce opycha pan w łozku śniadanie. My musimy wstac, umyc sie, przebrac i usiasc do śniadania, a w pokoju zimno i zaden nie ma zamiaru zaniebic sie dla pana przyjemnosci. Zamykam okno, a panu nie radze otwierac.

–Co? Straszy mnie pan? Takich jak pan to ja sie jeszcze nie boje.

W tym momencie przestalem nad soba panowac.

–Nie mysl, ze potrafisz nas sterroryzowac! Tak bedzie, jak chce wiekszosc, a jesli sie to nie podoba, to pros szybko o przeniesienie do innego pokoju!

"Szpagat" wiecej sie nie odezwal,

Zastosowal sie jednak do naszego ukladu kolektywnego zycia w pokoju. Po kilku dniach juz "rozkrecil sie", rozmawial, ale bez wzgledu na to, jaki byl temat rozmowy, zawsze znalazl okazje, zeby psioczyc na komunistow i na ustroj.

Pomagal mu w tym inny chory, Edek, ktory od kilku dni mieszkal z nami. Przeniesiony zostal do nas z innego pokoju z powodu awantur i kłotni z chorymi.

Gdy tak w duecie zaczynali psioczenie, nie wytrzymałem i podejmowałem z nimi dyskusje. Ale jak można dyskutować z ludźmi zaslepionym nienawiścią do wszystkiego, co nie jest przedwojenne, zagraniczne? Do wszystkiego, co nazywamy obecną rzeczywistością?

Za moje "czerwone" stanowisko Edek mnie ochrzcił w odwecie: "czerwona burżuazja". Niech się cieszy.

Edek ma swój aparat radiowy. Gdy nadawano piosenki rosyjskie, "Szpagat" wrzasnął:

–Zgas radio, nie mogę słuchać tych dzikich melodii!

–To wsadź pan wate w uszy – bo my chętnie słuchamy i nam się podobają – powiedziałem.

Gdy za chwilę zaspiewano "czastuszki", "Szpagat" kwiknął, podskoczył na łozku i zasłonił uszy rękami:

–Wyje, jakby ją ktoś zarzywał. Słyszycie? Nienawidzę ich...

–Panie, uspokój się pan do cholery! – powiedziałem. – Wolno panu nienawidzić, ale nie musi pan narzucać nam bez przerwy tego, co pan lubi i czego pan nie lubi! Każdy z nas ma swoje zdanie.

Skąd się u pana bierze tyle nienawiści? Może jakiś Ruski niechcący nadepnął panu na odcisk?... Ja patrzę na te sprawy inaczej. Gdyby nie oni, może by dawno nas nie było. Niemcy zniszczyliby nas tak jak Żydów. Nie wiem, co pan robił w czasie okupacji. Ja siedziałem całą wojnę w obozie koncentracyjnym i na pewno, gdyby nie "Wanki", już by mnie nie było wśród żyjących.

Chciałbym wiedzieć, kto pan jest, co pan robił w czasie wojny i co pan robi teraz? Po zarciu i ubraniu widzę, że powodzi się panu lepiej niż każdemu z nas. A czy przed wojną, chorując na gruźlicę, moglibyśmy leczyć się tak jak teraz? A kto stwarza panu warunki do leczenia? Ta nienawidzona przez pana władza komunistyczna!

–Gdybym miał teraz to, co miałem przed wojną i w czasie okupacji odpowiedział "Szpagat" – to moglibym się leczyć prywatnie tam; gdzie bym chciał i na pewno lepiej, niż mnie teraz leczą.

–Ach tak, arystokrata! Życie według zasady: "Wszystko dla mnie. reszta niech zdycha"... Co do mnie, przed wojną nic nie miałem. W czasie okupacji, gdy pan robił majątek, ja z głodu jadłem surowe ziemniaki i lupiny od kartofli. Pan chętnie by się zgodził, żeby okupacja trwała wiecznie... Ile to możliwości dla ludzi bez charakteru. Żaluje pan, że okupacja się skończyła, prawda? A wszystkiemu winni komuniści?

Dyskusja zakonczyła sie w najmniej oczekiwany sposob.

Do rozmowy wtracil sie Edek, mowiac z zacierzowaniem:

–Zrozumiale, ze wolalbym okupacje niemiecka, niz...

–Ach ty!!! – Wrzasnałem i poderwałem sie z lozka. Nerwy graly, bo byłem własnie po nowej porcji antybiotyków. W pasji przestalem liczyć sie ze słowami. Wszyscy umilkli, a dwóch kolegow przykrylo głowy kocami, nie chcąc patrzec na to, co za chwile nastapi. Jestem starym obozowcem i na pewne rzeczy mam nieobliczalne reakcje... Edek skulil sie w lozku i nie odzywł sie. Byłem polprzytomny, przed oczami migaly mi czerwone platy, czekalem tylko na jakis jego ruch czy slowo, ktore pozwoliloby na rozegranie partii do konca. Ale to nie nastapilo. Usiadłem na lozku.

Dalsze godziny lezenia w naszym pokoju uplynely w kompletnej ciszy. Nikt nie wypowiedzial slowa.

Nastepnego dnia postanowilem dowiedziec sie, kim sa Edek i "Szpagat". Chodzilem, pytalem i dowiedzialem sie.

"Szpagat" posiada prywatny sklep odzieżowy. W czasie okupacji miał kilka dużych sklepów.

Ojciec Edka był pułkownikiem w Korpusie Ochrony Pogranicza na granicy polsko-rosyjskiej. W 1939 roku, gdy wybuchła wojna, Edek miał osiemnascie lat. Przeszedł to i owo. Był w armii Andersa do konca wojny

Wieczorem, gdy wszyscy byli w pokoju, Edek przeprosil mnie. Mowil, ze to, co wczoraj powiedzial, wymknelo mu sie, ze co innego miał na mysli, a wyszlo inaczej.

–Przeciez ja nic o Niemcach nie moge powiedziec – mowil. – Przez cala wojne z bliska widzialem tylko trzech Niemcow, ktorzych we Wloszech na patrolu wzielismy do niewoli. Gdybym byl w kraju; gdybym widzial i przezyl to, co ty przezyles, pewno bym tak myslal, jak ty, i tak samo reagowal... Ale od tego dnia ochrzcilem go "bialogwardzista".

I tak w jednym pokoju, jednakowo chorzy, lezeli "czerwony burzuj" i "bialogwardzista".

Pan Zbysio to student medycyny. Juz po dyplomie, ale jeszcze bez praktyki. Spokojny, przeraźliwie powazny, z nikim nie rozmawia.

Stalym tematem rozmow w pokoju, az do znudzenia, sa sprawy choroby i leczenia. To tez swoista psychoza sanatoryjna. Kazdy opowiada przebieg swojej choroby i leczenia. Kazdy radzi innym. Gdy doktor proponuje choremu operacje, od razu

znajdzie sie kupa doradcow. Jedni namawiaja, inni odradzaja.

–Lekarze, jak tylko zobacza dziurke w plucu, zaraz proponuja operacje – zabiera glos ktorys. – A wiecie, dlaczego? Bo im placa osobno premie za kazda operacje!

Pan Zbysio zabral glos i wyjasnil, ze to sa plotki. Chirurdzy maja pensje tak jak inni lekarze i za operacje nikt im dodatkowo nie placi.

–Napisz do lekarza – radzi inny chory – ktory leczy wlasna metoda i lekami wlasnej produkcji. Podam ci adres, a on przysle ziola i zastrzyki. To dosc drogo kosztuje, ale daje dobre wyniki. Ja tez sie u niego lecze – mowi

i czuje sie dobrze po tych lekach...

–To po co przyszedles do sanatorium? – pytam.

–Do sanatorium przyszedlem odpoczac – wykrecia sie tamten.

–Chlopie! – mowie. – Gdyby te leki faktycznie byly takie skuteczne, ludzkosc by takiego faceta ozlocila, zrobilby majatek bez potrzeby sprzedawania lekow indywidualnym glupcom takim jak ty!

No coz, przyslowie- mowi: "Tonacy brzytwy sie chwyta". Jak ktoremu medycyna nie pomaga, to idzie do znachorow i szarlatanow, przez pewien czas zyje zludzeniem, a jak kiepsko z "miechami", wtedy znow do sanatorium...

Niejeden w ten sposob przyspieszyl swoj koniec.

Kobiety w sanatorium to wieczny konflikt. Jest ich mniej niz mezczyzn, wiec... bardzo sie cenia. Urzadzaja rewie mody. Sa takie, ktore przebieraja sie kilka razy dziennie.

Przed pawilonem awantura. Przyjechal maz pacjentki. Znalazl w jej torebce pieknie podpisana fotografie mezczyzny. Przyjechali z kolega, by, sprawic wycisk facetowi, a zone zabrac do domu. Owa zona, mloda, przystojna kobieta, nie chce wyjsc z pokoju, a inne chore tlumacza przybylym, ze to pomyłka... Podchmielony maz zaczal sie uzalac na swoj los.

–Patrzcie, panowie, co ona wyprawia. Chora jest. Wszystkiego sobie odmawiam, zeby tylko dla niej bylo. Ubrana chodzi jak lalka. To ja po to ja ubieram, zeby mogla sobie latwiej kogos poszukac! Dziecko jest w domu, opiekuje sie dzieckiem. Ja ciezko pracuje – mowi, pokazujac spracowane rece – nie ubiore sie, nie pije... Dzisiaj wypilem z zalu, ale daje wam slowo, wcale nie pije. A wszystko po to, zeby ona...

–A moze pan sie myli? – zapytal kolega.

–Nie myle sie. Dostalem listy od chorych z sanatorium. W jej torbie Znalazlem te fotografie. Patrzcie – mowi, pokazujac fotografie znanego nam kuracjusza – co on napisal. Starczy...

Po kilku minutach przyszedl wezwany telefonicznie milicjant i zabral obydwóch "na przechowanie" do wytrzezwienia.

–Widzisz, jakie sa baby – mowi kolega.

–Nie tylko baby – odpowiedzialem – chlopy tez ponosza duza wine spojrz na te sprawe. On robotnik, moze nawet dobry maz i ojciec. Ona niczego babka, i tez w domu mogla byc dobra zona. Przychodzi do sanatorium, a tu zaczynaja wokol niej krazyc podskakiwacze. Jakis pan inzynier czy pan doktor chce miec babke do rozrywki i "milosci". Gada babie niestworzone rzeczy, jaka to ona piekna, jaka madra, jaka to ona moglaby zrobic kariere – i kobiecie wkrótce sie wydaje, ze zmarnowala los, zyjac tyle lat z robotnikiem. Zaczyna wierzyc, ze stworzona zostala, aby zyc we własnej willi, z samochodem, otoczona rojem wielbicieli z "lepszych sfer"... Blyszczec jak gwiazda... A pozniej przychodzi rozczarowanie gwiazda spada na ziemie i bolesnie sie rozbija. Koncza sie marzenia, a zaczyna rzeczywistosc. Maz sie juz dowiedzial i baba bedzie miala pieklo w domu. Blyśnie taki facet kobiecie w oczy jak magnezja, oslepi wizja pieknego zycia, a pozniej wyjezdza i tyle go widziala.

Sanatorium bylo widownia niejednej awantury malzenskiej. Bylo i tak, ze zona tlukla parasolka kuracjuszke, ktora uwodzila jej chorego meza. Parka sie dogadala i zamierzala po skonczonej kuracji wyjechac razem. On chcial zostawic zone z dzieckiem, a ona meza z dzieckiem. Interwencja zony pomogla. Oboje zostali wypisani, a ze nie mieli mieszkania, kazde wrocilo do swojego domu...

–Czterech nie bede rwala, moze byc krwotok – upierala sie dentystka. I,

–To ja pani nie zejde przez tydzien z fotela – odpowiadam. – Nie bede rwala czterech. Najwyzej dwa.

Przychodzilem dwa razy w tygodniu. Na jednej wizycie rwala, na nastepne j plombowala inne zeby – i tak na zmianie. Umowa przewidywala, ze zanim usiadlem na fotelu, opowiadalem kilka "kawalow". Wesolo bylo.

Wesolo bylo tez, gdy czekalem w kolejce na wizyte, a ktos pchal sie poza kolejka. Po kilku konfliktach, gdy dentystka widziala, ze czekam na korytarzu, nikogo nie przyjmowala poza kolejnoscia.

–Danusia! Nie wlasz bez kolejki! – zawolalem, widzac kolezanke, ktora nie zwazajac na to, ze za drzwiami czekaja trzy osoby, wchodzi do gabinetu.

–Ja nie po porade, chce sie tylko cos zapytac – odpowiedziala i juz wchodzi do

srodka. Po pieciu minutach zajrzałem, żeby zobaczyć, jak to ona się pyta, że tak długo to trwa. Przecież się nie jaka.

Danusia siedzi na fotelu dentystycznym"

–Mówiła pani, że idzie zapytać tylko o coś – powiedziałem głośno, przechodząc na formę "pani", mimo że mówiliśmy sobie po imieniu. Dokąd tak śpieszno, że nie może pani zaczekać tak jak inni? A pani dlaczego przyszła bez kolejności? – pytam dentystkę.

–Mówiłam, żeby zaczekać albo przyjść później – mówi dentystka do Danusi – bo on – pokazuje na mnie – siedzi na korytarzu i robi dziką awanturę.

–Czy pani uważa, że nie mam racji? – zapytałem. – Gdzie toto się śpieszy, że nie może zaczekać? Na ryby? Jeśli komu się śpieszy, niech poprosi tych, którzy czekają. Czasu mamy dość, mogę czekać, ale niech ona zobaczy, że tam czekają ludzie, a nie przedmioty, z którymi nie musi się liczyć. Jestem zwolennikiem porządku, ale jeśli jest bałagan, to potrafię sam narobić bałaganu za kilka osób!

Zły wyszedłem na korytarz i czekam na przyjęcie.

Stałem pierwszy do wejścia, gdy znowu mężczyzna; mijając nas, chce wejść do środka.

–Pan do kogo? – zapytałem zagrażając sobą drzwi. – Do dentystki!

–A my to pan myśli, że stoimy w kolejce po dursze?

–Mam prawo, jestem lekarzem – odpowiada i znowu się pcha.

–A ja jestem woznym z awansu społecznego, a że stoję pierwszy, to pierwszy wejdę. Lekarzem jest pan u siebie w pracy, a w sanatorium jest pan takim samym pacjentem jak ja.

Moim zdaniem, prawie wszystkie moje przygody i przypadki to przeważnie wynik tego, że nie pozwalałam się lekceważyć, zepchnąć na gorszą pozycję.

I tak zbliżał się dzień wypisu.

Gdy po zwolnieniu chorobowym przyszedłem do pracy, dyrektor wezwał mnie do siebie. Długo patrzył, myślał, zastanawiał się, zanim zapytał:

–Czy pan jest groźny dla otoczenia?

–Czasem tak, jak ktoś wchodzi mocno na odciski... – odpowiedziałem, udając, że nie wiem, o co chodzi.

–Nie o to pytam – prostuje dyrektor – chodzi mi o pana stan zdrowia. Czy pan nie pratkuje, czy nie bedzie pan zarazal pracownikow?... Pracownicy przychodzili do mnie w tej sprawie. Mowia, ze boja sie pracowac razem Z panem. Mial pan byc w sanatorium dwa miesiace, byl pan dluzej, wiec uwazaja, ze musi byc z pana zdrowiem zle, no i boja sie. Przeciez moze pan przyniesc od lekarza zaswiadczenie, ze pan nie pratkuje!

–Nie przyniose.

–Ale dla swietego spokoju moglby pan przyniesc – radzi dyrektor.

–A jesli doktor napisze, ze jestem pratkujacy, to co – zwolnicie mnie z pracy? Niech,zwalniaja sie ci, ktorzy sie boja, znajda prace w innej instytucji. Lecz jesli ja odejde, to juz pracy nigdzie nie znajde... Ci bojacy sie nie maja pojecia, ilu ich znajomych choruje na gruźlice. hardziej powinni obawiac sie tych ukrytych, nie leczacych sie gruźlikow. Taki, ktory wraca z sanatorium, to wyleczony luli zaleczony. Z siedliskami pratkow najczesciej zetknac sie mozna w zatloczonym tramwaju, w kinie lub w natloczonej knajpie. Tych miejsc niech sie boja i unikaja.

Dyrektor przerwal mi:

–To przyniesie pan takie zaswiadczenie?

–Nie!...

6 SPRAWA AMBICJI!

"Gdzie jestem?" – zastanowilem sie, gdy otworzylem oczy. Usiadlem na lozku, rozejrzałem sie i mimo nocy poznałem, ze jestem w swoim mieszkaniu. Strasznie mnie leb boli. Ale to nie bol po wodce. Jakis inny. Chce mi sie pic. Jak przyszedlem do domu?... Trzeba sprawdzic, czy mam teczke. Dobra, sluzbowa teczka. Wlasna zgubilem po pijanemu. Wychodze z lozka i ide do kuchni. Zatoczyłem sie, wiec przytrzymałem sie stolu. Zapalilo sie swiatlo. To zona zapalila lampke, przy swoim lozku. Patrzy na mnie i nie mowi nic. Przechodzac przez przedpokoj zauwazyłem, ze teczka jest. To juz dobrze. Wypilem w kuchni kubek zimnej wody, spojrzalem w lustro i... co to? Twarz umazana krwia, a glowa rozbita. Ale jak to bylo, kiedy i z kim? Nic nie pamietam. Heniek powie mi rano.

Wrocilem do lozka. Zakrwawiona poduszke przelozyłem na druga strone. Rano bez sniadania poszedlem do pracy z postanowieniem, ze dzisiaj robie przerwe w picciu.

O godzinie jedenastej pod oknem biura zjawia sie Heniek. – Kto mi leb rozwalil?

–Zaden z nas nic nie pamietam – odpowiedzial. – Przyszedl Edek. Pytałem, lecz on tez

nic sobie nie przypomina. Czeka na nas w knajpie. Chodź, zaprawimy się.

–Nie! – ,odpowiedziałem szybko. – Dzisiaj nie pije. – Dlaczego? – pyta Heniek.

–Bo już ledwie żyje.

–Bo pijesz za wiele. Po pijanstwie trzeba się tylko zaprawić, a nie pic na cały regulator.

–A ty robisz inaczej? – wrzasnałem.

–Chodź, idziemy, bo Edek czeka – wola znów Heniek.

–Dobrze, ale wódki nie będę pił. Może wypije tylko portier, żeby czuć się lepiej.

–Oho, stale klienci się schodzą- przywitała nas bufetowa, gdy weszliśmy do knajpy.

–No więc – zapytał Heniek – pijesz wódkę czy portier?

–Portieru nie ma – odpowiedziała bufetowa, słysząc pytanie. – Krzepkiego nie ma, pełnego nie ma, jest tylko oranżada – wyrecytowała jak wyuczona lekcję.

–Wypij wódkę – radzi Edek. – Co, chory jesteś?, – Daj wódkę, niech ją szlag trafi, wypije.

Bufetowa nalala i teraz powtórzyło się wszystko tak, jak poprzedniego dnia. Wstret do wódki. Torsje na myśl o wypiciu. Gdy trzesaca się reka niosłem szklanke do ust, usłyszałem ironiczną uwagę bufetowej: – Widzę, że już się panu od tej wódki rece trzesa.

–To nie od wódki, a do wódki – odpowiedziałem. – Zobacz pani, że za chwilę już się nie beda trzesły. Całe szczęście, że jak sobie wypije, to zachowuje się tak, jak święty Paweł kazał.

–A jak święty Paweł kazał? – pyta z ciekawością bufetowa.

–"Można wypić po kubeczku, spokój w głowie, w porządeczku" – wyrecytowałem. – Bo strasznie nie lubię, jak ktoś wypije dwa kieliszki, a szumu robi za cały antalek.

–To co, jeszcze po jednym? – proponuje Edek.

–Wiecej nie pije. Starczy dla mnie. Już czuje się dobrze i teraz muszę popracować, bo przez kilka dni tylko piliem i już zebralo się dużo zaległości. Wrocilem do pracy i zająłem się załatwianiem służbowych spraw. Po

trzech godzinach, gdy już prawie wszystkie były załatwione, wszedł Mietek. Dobry

kolega i pijak.

Spojrzałem. Widac, że jest już po kilku wódkach.

–Przyjechałem, bo postanowiłem sobie, że muszę wypić dzisiaj z toba jedną wódkę. Już prawie tydzień, jak nie piiliśmy razem.

–Cztery dni – sprostowałem spokojnie. – Ale mówiles, że przez miesiąc nie będziesz pił, a widze, że jesteś na cyku.

–Cholernie mi się kalendarz skurczył – odpowiedział poważnie.

Gdy po kilku minutach wyszedłem, tuż za progiem spotkałem nowego gościa. Kazik – kolega poznany w sanatorium. A kolega dlatego, bo lubi wypić. Nie musimy umawiać się, dokąd idziemy, bo wiadomo, że ile razy spotkamy się, to rozmowa odbywa się zawsze w tym samym miejscu – w knajpie.

Mietek już czeka przy dwóch setkach wódki. Kazik z Mietkiem znają się dobrze, więc zamawiamy jeszcze jedną wódkę.

–No to cyk! – pada hasło do picia.

–Zaczekajcie – mówię – przypomniałem sobie, że nie polknąłem obiadowej porcji proszków.

–Co to za proszki? – pyta Mietek.

–Przeciwwgruzlicze -odpowiedziałem, wkładając proszki do ust i popijając wódkę.

–Jak to jest – zapytała bufetowa – proszki i wódka? Oj, pijaki, pijaki szkoda pieniędzy na te lekarstwa, sanatoria...

. – W ubiegłym tygodniu widziałem cie wieczorem na Nowym Świecie mówi Kazik. – Jechałem autobusem. Wysiadłem na przystanku, ale ciebie już nie znalazłem.

–A trzeźwy byłem? – zapytałem.

–Trzeźwy.

–Wiec to nie byłem ja. Co ja bym robił trzeźwy wieczorem na Nowym Świecie? Musiało ci się coś pod czuprynką pokrecić albo byłeś na dobrych "obrotach".

–Taki zupełnie trzeźwy to nie byłem.

–No widzisz – mam rację! Ale uciekam, chłopaki. Ide do domu, bo minie już prawie tydzień dzieciaki nie widziały albo ja ich nie widziałem po pijanemu.

W domu przywitaly mnie oczy zony i dzieci obserwujace, w jakim jestem stanie. Po chwili zona zaczela:

–No, przyszedles trzezwym. Juz mi sie zycie przykrzy. Dzieci niedlugo zapomna, jak ojciec wyglada. Szacunek bedziesz u nich mial!

–Pieniedzy nie przepijam. Wiesz przeciez, ze z wyplaty zostawiam sobie tylko kilkadziesiat zlotych. Koledzy czestuja...

–Czy tobie sie zdaje, ze pieniadze to wszystko? Wolalabym, zebys zarobil mniej, a nie pil. Jak juz wieczor, a ciebie nie ma, to tylko mysle o tym, w jakim stanie przyjdiesz, a gadac nie moge, bo sie boje awantury. Po co jeszcze maja sasiedzi wiedziec. Nie mam kiedy porozmawiac z toba, poradziec sie. Ile juz czasu nie bylismy w kinie! Nie zainteresujesz sie, jak dzieci sie uczą.

Do kuchni weszla matka.

–Nie pij, synku, tyle – prosila – przeciez jestes chory na pluca. Jak umrzesz, kto te dzieci wychowa... Przychodzisz pijany, one sie boja... Wpedzisz je w chorobe nerwowa.

–To moze nawet lepiej bedzie, jak predzej zdechne-odpowiedzialem. Wy sie meczycie i ja sie mecze! Ci, co pija wodka, nie powinni sie zenic. Zawiazuja tylko zycie sobie i innym.

–Tatusiu! – krzyknela coreczka. – Ja nie chce, zeby tatus umarl. Ja nie chce byc sierota. Niech tatus zyje.

–Nie umre, kochana, nie umre – pocieszalem placzace dziecko, przytulajac je do siebie. – To przez tych kolegow pijakow. Zawsze ich diabli przyniosa, a ja nie mam sily odmowic. Jutro nie ide do pracy, poleze, odpoczne, bedzie przerwa w picciu, to moze pojutrze nie dam sie zadnemu namowic na wodka.

Nastepnego dnia nie wychodzilem z lozka.

"Czy naprawde jestem nalogowym pijakiem? Chyba jeszcze nie. Sam przeciez nigdy wodka nie pije, a nalogowcy to tacy, ktorzy juz pija bez towarzystwa – staralem sie wmowic w siebie. – A kto niedawno pil sam? nasuwa sie inna mysl. Wszedles do knajpy w nadziei, ze spotkasz kolegow, a ze nie zastales, wypiles piec setek pod jeden serek i butelke piwa.

Ale nie, nie jestem nalogowcem. Nalogowcy przepijaja wyplaty i jeszcze wynosza z domu rozne rzeczy, ktore sprzedaja, zeby miec pieniadze na wodka, a tego przeciez nie robie. Dzisiaj nie pije i czuje sie dobrze. Tak za dobrze zreszta to sie znow nie czuje. Pic sie chce, ale nie moge prosic zony, zeby kupila cwiartke. A moze

poprosic? Na lekarstwo. Nie, nie poprosze. Do jutra wytrzymam, a rano wypije tylko setke i... koniec. Do domu wroce wczesniej i trzezwym. Wiec jednak nie jestem nalogowcem" – zakonczylem swoje rozumowanie.

Nastepnego dnia wrocilem do domu pijany i tak bylo.jeszcze przez wiele nastepnych dni.

Dretwymi rekami pakuje walizke. Dzisiaj jade do sanatorium w Otwocku. Czuje pustke w glowie, ciezar w zoladku i... "winde". Cztery dni picia bez przerwy. Nie moge sie zaprawic, bo bede badany, a jak lekarz poczuje wodka, moze odeslac do domu. Musze sie pomeczyc. Wyjezdza tez Kazik. Mamy sie spotkac na dworcu.

W Otwocku Kazik zaproponowal wstapienie do restauracji.

–Nie chce – odpowiedzialem. – Badz madry. Wiedza, ze jestesmy pijaki, tylko nas nigdy nie zlapali. Nie bede jak idiota wsadzal lba pod gilotyne. O godzinie czwartej po ciszy, jak juz nie bedzie lekarzy, wyskocze do Srodborowa, przyniose wodka, wtedy dopiero bedziemy mogli sie zaprawic.

Przydzial dostalem na oddzial, na ktorym lezalem w czasie poprzednich pobytow. Personel przywital mnie jak dobrego znajomego.

W gabinecie lekarskim po wstepnym badaniu ordynator przyjrzel mi sie uwaznie i zapytal:

–Wodka pan wciaz pije? Ostrzegam, ze jak zlapie na gazie, z miejsca wyrzuce karnie.

–Nie dam sie zlapac.

–Z pana jest jednak kawal nygusa! Ostrzegam – zakonczyl ordynator, a pan niech robi, jak pan uwaza. Skrzywdzi pan tylko siebie.

Z niecierpliwoscia oczekiwalem konca lezakowania. W pokoju lezalo osmiu chorych. Patrzylem po twarzach, zeby odgadnac, ktory z nich bedzie dobrym kumplem do picia.

Jest jeden. Lezy po drugiej stronie pokoju. Widac po nosie, ze czystej wody i roztrzepanca nie uznaje. Ten na pewno bedzie dobry.

Po zakonczeniu lezakowania zwrocilem sie do niego:

–Zle sie czuje. Przechlany jestem. Musze sie zaprawic. Napije sie pan? Skocze, przyniose pol literka.

–Nie – odpowiedział cwaniackim akcentem zagadnięty facet o sprytnym obliczu – już sześć lat nie pije. Już i pijaki się ode mnie odczepili. Niejeden raz, jak z nimi jestem, to nawet dowale się do doli, ale nie pije. Długo mi nie wierzyli, ale się przekonali.

–No, chłopcy – zwróciłem się teraz do wszystkich – który ma chęć się zaprawić?

Ja już cztery lata nie pije – odezwał się inny pacjent.

Spojrzałem – zupełnie zwyczajna twarz człowieka ze wsi, na której nie znac staran o rozwijanie swojego umysłu.

–Dwa i pół roku nie pije – pochwalil się jeszcze trzeci. Ten znow wyglądał nieco głupkowato. Popatrzyłem jeszcze raz: cwaniak, ciemniak i glupek. Poczulem w głowie zamieszanie. Coś tu jest, czego nie mogę zrozumieć swoim przepitym łbem. Ale o co chodzi? Co mnie tak zaskoczyło? Wygląd i oświadczenia: "Sześć lat nie pije", "Ja już cztery lata", "Dwa i pół roku wcale nie pije"...

Och, barany – przecież chyba nie jestem lichszy od was? Wy możecie nie pic? Cholera...

W rozmowie dowiedziałem się, że "sześć lat" to handlarz uliczny, "cztery lata" – gospodarz ze wsi, a "dwa i pół roku" – wartownik w fabryce. Wtedy pomyślałem:

"Czekajcie no, ja też coś pokażę!"

Do pokoju wszedł Kazik i zapytał:

–Idziesz do Srodborowa?

–Nie chce mi się. Jestem zmęczony.

–Chodź. Zdasz jeszcze odpocząć. Dopiero przyjechalismy, a mamy przed sobą najmniej dwa miesiące leżenia.

–Jeśli nas wcześniej nie wyrzucą.

–Nas? A kto nas złapie? Jesteśmy starzy pacjenci. Znamy wszystkie chody. Wiemy, na którym dyżurze można wypić, a na którym nie. Chodź, przejdziemy się.

–Nie – uparłem się. – Nie idę.

"Jesteś tchórz – pomyślałem o sobie. – Boisz się powiedzieć Kazkowi, że postanowiłeś nie pic".

Po co się osmieszać – odpowiada druga myśl – nie wiadomo, czy dam radę. Będzie

się ze mnie śmiał. Wiele razy postanawiałem nie pić i nie udawało się.

"Szesc lat", "cztery lata", "dwa i pół roku" – swidruje w głowie. "Handlarz, ciemniak i głupek". – "Szesc lat"...

Nie dam się!

Dzisiaj jest dzień wypisów i przyjęć. Znow przyszedł Kazek.

–Przyjechał Zygmunt! – zawołał od progu. – Chodź, pogadamy z nim. Pojedziemy na wódkę.

Wtedy powiedziałem Kazkowi, że postanowiłem zrobić przerwę w picu na cały okres pobytu w Otwocku:

Zygmunt to kolega z poprzedniego pobytu w sanatorium. Kazek cieszy się, bo będzie miał kolegę do wódki. Ze mnie śmieje się mówiąc:

–Po co się męczysz? "Kto pił, a nie pije, ten będzie pił".

–No, już nie kończ, znam to na pamięć-przerwałem mu. – Uparłem się i nie będę pił.

–Zobaczymy – odpowiedział.

–Jedź z nami – zaproponował Zygmunt. – Dobrze, pojedę, ale wódki pił nie będę.

–Słyszysz, co on mówi? – śmiał się Kazek. – On nie będzie wódki pił? Nie kazał się z siebie śmiać. Do kogo ta mowa?

Zdecydowałem się jechać, żeby udowodnić, że nawet tam nie wypije, i to może wreszcie spowoduje, że pijaki przestaną mnie namawiać. Spotkaliśmy w końcu dwóch kolegów, więc przy stoliku usiadło nas pięciu. Na stół wjechał litr wódki, a kelner już ustawia kieliszki. Zamówiłem dużą kawę i oranżadę.

–Od kiedy ty pijesz czarną kawę? – żartowali koledzy. – To dobry napój dla kobiet i dzieci.

Odpowiedziałem spokojnie, że jeszcze przed tygodniem wolałbym pół setki wódki – ale teraz przecież coś muszą pić.

Kazek już nalewa i odwraca mój kieliszek.

–Nie nalejesz – powiedziałem ze złością. – Jak nie przestaniesz, to wychodzę – i podniosłem się.

–No, już siedź. Nie będę nalewał. Jak zechcesz wypić, sam sobie nalejesz.

Juz litr wypity. Podano jeszcze pol litra. Przygladam sie kolegom i widze, jak po kazdym kieliszku zmienia sie ich wyraz twarzy, coraz glosniej mowia, coraz bardziej placza sie jezyki. Nowe pol litra na stole. Wszyscy juz pijani, a ja wsrod nich trzezwy jak idiota. Pierwszy raz trzezwy w towarzystwie pijanych. Przygladam im sie z ciekawoscia.

A wiec to tak wyglada. To ja codziennie tez tak wygladalem i takiego ogladali mnie ludzie na ulicy, w tramwaju... Dziwne, ze nie czuja do mnie wstretu.

Obserwuje ich zachowanie. Slinia sie, belkoczac niezrozumiale zdania, ale zdaje sie im, ze sie doskonale porozumiewaja.

Kazek rozczulil sie, ze jestem dla niego rownym kumplem i przyjacielem. Chce mnie calowac.

–Daj spokoj – powiedzialem z odraza... i w tym momencie dopiero zapadla stanowcza decyzja: Nie bede wiecej pil.

Nastepnego dnia po poludniu odwiedzilem Kazka.

–Chyba jest w pokoju obok, u Zygmunta – odpowiedziano mi, gdy o niego zapytalem. W pokoju byl Zygmunt, Kazek i jeszcze jeden kuracjusz.

–Dlaczego siedzicie w pokoju – zapytalem. – Czy nie lepiej przejsc sie po parku?.

–Kolega wyskoczyl kupic cos na zaprawke po wczorajszym – odpowiedzial Kazek. – Chory jestem, a Zygmunt tez sie zle czuje.

–Ja tez jeszcze nie czuje sie najlepiej, ale to jeszcze po mojej czterodniowce – odpowiedzialem. – Za dwa dni juz bede dobry.

–Jesli dzisiaj nie popijesz z nami – zazartowal Zygmunt. Na pewno nie.

–Nie wyglupiaj sie, przeciez i tak bedziesz pil, wiec po co ta mowa? Ano, zobaczymy. Kaktus mi na nosie urosnie, jesli tu, w Otwocku, Wypije krople alkoholu.

–Ale bedzie draka – wrzasnal Kazek. – Staszek z kaktusem na nosie! Do pokoju wszedl nowy kuracjusz. Spojrzal na tamtych trzech, na mnie i znow na nich.

–To bawcie sie dobrze. Ja ide do parku.

Spacerowalem samotnie. Jeszcze nie znalazlem dla siebie towarzystwa niepijacego. Za duzo gadalem o tym, ze nie bede pil, a nie lubie robic z siebie blazna. W pokoju nie chcialem zostac z obawy, ze moglem sie zlamac i wypic. Koledzy potrafia namawiac. W dodatku poczulem pragnienie alkoholu, lecz staralem sie nie myslec o

tym. "Chyba wroce i wypije jeden glebszy" – swidruje w glowie mysl. – "A gdzie twoje slowo?" przychodzi mysl inna. – "Tylko jeden glebszy".

"Jesli dzisiaj nie bede pil, to juz beda dwie doby bez alkoholu podpowiada druga – a takiego przypadku dawno nie bylo". Musze wytrzymac do niedzieli. Przyjedzie zona. Bede caly dzien zajety. Postanowilem wrocic do pokoju i napisac kilka listow. Gdy mijalem oddzial, na ktorym koledzy odbywali swoje "zebranie", znow przyszla chec, by wstapic na chwile. Walczac z soba szedlem dalej na gore, a u siebie natychmiast zajalem sie pisaniem i to oderwalo moje mysl od Zygmunta, Kazka i "taty z mama", ktora popijali.

Sobota byla jeszcze gorsza. Caly dzien nie wychodzil z lozka; azeby mniej odczuwac "pragnienie", czytalem pozyczona od sasiada ksiazke. Po poludniu poprosilem pielegniarke o luminal, wiec spalem mocno caly wieczor i noc.

Niedziela – chlopaki umawiaja sie na wodka. Zapraszaja i mnie. Odmowilem. Od rana przyjechala zona. Gdy przyjechala, powiedzialem o swoim postanowieniu.

–Czy potrafisz? – zapytala z obawa. – Masz tylu kolegow, ktorzy umieja namowic i wyciagnac na wodka.

–Poszukam sobie innych ludzi do towarzystwa.

–To byloby najwieksze dla mnie szczescie – powiedziala. – Wolalabym jesc nie kraszone kartofle z sola, zebys tylko nie pil.

–Jesli tylko tyle potrzebujesz do szczescia, to obiecuje ci to – ale skonczmy na ten temat rozmowe.

–Nie gniewaj sie, chce zadac tylko jedno pytanie: Czy czujesz pragnienie wodki?

–Cholerne – odpowiedzialem -zgodnie z prawda – ale tym razem uparlem sie. Powiedzial mi kiedyś kolega, że największe zwycięstwo to zwycięzyc samego siebie – a w tej chwili myslalem "«Szesc lat, cztery lata, dwa i pol roku». Czekać – nie jestem od was gorszy".

Cztery doby juz nie pije, dwa tygodnie, miesiac... Wreszcie po trzech miesiacach kuracji wracam do domu z swiadomoscia, ze w tym czasie nie wypilem kropli wodki. Wracam z obawa, czy w wirze codziennych spraw, do ktorych wracam, a ktore czesto byly okazja do picia, nie dam sie skusic.

Teraz zdaje sobie sprawe, co to jest alkoholizm. Mialem czas przemyslec wszystko. Przypomnialy mi sie wieksze i mniejsze awantury powstale po pijanemu. Wymysly lokatorow, gdy z braku pieniedzy kupowalo sie wodka w sklepie, a wypijalo w bramie lub na klatce schodowej w dowolnie wybranej kamienicy.

"Przyjda tu chlac, cholery pijaki, pozniej zapaskudza korytarz, a mnie smierdzi pod drzwiami. Jazda, bo milicjanta zawolam!" – krzyczala taka lokatorka, a inni wychodzili na korytarz, zeby zobaczyc, co sie dzieje, i tez popyskowac. Ile to razy wynosilo sie z knajpy kieliszki, noze, widelce, ktore pozniej oddaje sie znajomym, lecz czesciej wyrzuca. Nie bralo sie przeciez tego dla korzysci, lecz z pijackiej fantazji. A wiele to razy, gdy wrocilem do domu bez przytomnosci, nastepnego dnia dzwonilem do ludzi, u ktorych bylem w goscinie, pytajac z obawa, czy przypadkiem nie narozrabialem po pijanemu. "Wszystko w porzadku – odpowiadano – tylko pod koniec troche mantyczyles. Nie warto o tym gadac, byles przeciez mocno pijany". Wybaczali ludzie popelniane bledy tylko dlatego, ze "bylem bardzo pijany". Ale jak spojrzec im w oczy? Latwo to zrobic, gdy sie jest znow pijanym.

Trzy miesiace to malo, ale jeszcze trzy i juz wypis. Wszedlem do gabinetu lekarskiego pozegnac ordynatora i podziekowac za opieke lekarska. Gdy zakonczyliśmy oficjalna rozmowe, zapytałem z usmiechem:

–No i co, panie doktorze, nie zlapal mnie pan jednak na picciu wodki? – Mial pan szczescie.

–A czy uwierzy mi pan, doktorze, gdy powiem, ze przez caly czas nie Wypilem kropli alkoholu?

–Znajac pana, przyznam, ze trudno mi uwierzyc.

–Tak. Mam pod tym wzgledem opinie wyrobiona. Obawiam sie, ze wiele osob mi nie uwierzy...

Pod oknem biura stanal Heniek, dajac znak, zebym wyszedl..

–Chodz, wpijemy po jednym na przywitanie – zapraszal zawracajac w kierunku knajpy.

–Nie pije – odpowiedzialem.

–Od kiedy? Jednego mozesz wypic, przeciez nie zaszkodzi.

–Nie pije nawet cwierci. Czesc, Heniu, mam duzo zaleglosci w pracy dodalem i wrocilem do biura.

Henio z zaskoczona mina patrzyl w okno, a odchodzac wzruszyl ramionami, co prawdopodobnie mialo byc aluzja do mojego wariactwa.

Pewnego dnia Mietek zjawil sie w biurze. – Nie pije – powiedzialem.

–C-o-o-o? Czego nie pijesz? Mleka, wody, roztrzepanca? – Wodki nie pije,

rozumiesz? Juz piec miesiecy.

–Zawsze mowilem, ze jestes wariat, i nie mylilem sie – odpowiedzial podajac mi reke na pozegnanie i wyszedl majestatycznie nie ogladajac sie za, siebie.

Spotkalem Henka. Lekko pijany, juz od rana zdazyl sie zaprawic. – Nie zapraszam cie do knajpy – mowil – bo przeciez ty nie pijesz. – Ale wejsc, porozmawiac juz teraz moze. Chodz, wypije fruktowit. Za bufetem urzedowala ta sama gruba bufetowa. Popatrzyla na mnie

z ciekawoscia. Zнала mnie dobrze. Dlugi czas bylem stalym gosciem.

–Patrz – zwrocila sie do Henka – a ty nie moglbys przestac pic? Kazdego dnia morda zalana. Nie wiem, jak twoja Tona z toba wytrzymuje.

–Nie zagladam teraz do ciebie – zaczal mowic Heniek – no bo i po co. Jak nie pijesz wodka, to o czym mozemy rozmawiac? Na trzezwo nie jestem zdolny do rozmowy, a gdy sie zaprawie, to co dla ciebie za przyjemnosc sluchac belkotu. Edka wyrzucili z pracy. Mowil mi za co, ale dokladnie nie pamietam. Wiem tylko, ze za wodka.

Minelo pol roku od czasu, jak przestalem pic. Juz mnie w zasadzie nie ciagnie. Sa jednak chwile, w ktorych czuje niesamowita potrzebe wypicia.

Idac ulica mijam otwarte drzwi restauracji. Czuc zapach knajpy: jedzenia, wodka, dymu papierosowego, potu. Ciezki zaduch, wytworzony w malym pomieszczeniu przez duza ilosc ludzi.

Zaswidrowala mysl: "Wejdz, wypij jedna setke..." – i juz nogi same skrecaja w strone otwartych drzwi.

"Nie. Nie pij – przeciwstawia sie mysl inna. – Nie pij dlatego wlasnie, ze masz ochote". Oddalalem sie od zapraszajaco otwartych drzwi knajpy i przyszlo przypomnienie: "szesc lat, cztery lata..."

Odeszla chec wypicia setki.

Mialem wazna sprawe do Mietka. Powiedziano mi, ze poszedl z kolegami do restauracji. Gdy wszedlem, przy stoliku siedzialo szesciu mezczyzn, wszyscy zalani w "trupa". Wiedzialem juz, ze swojej sprawy nie zalatwie.

–Siadaj – zapraszal Mietek – podsuwajac wolne krzeslo od innego stolika. Napijesz sie kawy.

–Prosze bardzo.

Mietek zamowil kawe. Tymczasem ktorys podsuwa mi pol szklanki wodka.

–Dziekuje, nie pije – mowie lakonicznie:

–Co, kolega Mietka i nie pije? Mieciu, jakich ty masz kolegow? Mietek spojrzal pijanym wzrokiem na kolege, na wodke, na mnie, zabral do siebie szklanke z wodka mowiac z pijackim grymasem na twarzy:

–Jemu nie nalewajcie. Jak ktory bedzie go namawial, dostanie w morde – a jak on wypije, to tez dam mu w morde. Dwa lata nie pije-powiedzial jakby sam do siebie.

–Czy pan nie byl wczoraj troche po wodce? – zapytala kolezanka w pracy.

–Skad pani to przyszlo do glowy?

–Bo tak niewyraźnie pan wygladal. Pomyslalam, ze znow zaczyna sie picie.

Zaprzeczyłem, wyjasniajac, ze zle sie czulem i mialem podwyszona temperature.

Wiedzialem, ze mi nie wierzy.

–Niech pan mi szczerze powie – pytal kierownik kadr w Centrali – pije pan wodke?

–Nie. Trzy lata mija, jak nie pije wcale.

–Tak mi mowiono, ale powiem panu otwarcie: nie wierze. Pan za duzo pil na to. zeby przerwac.

A jednak. Trzy lata nie pije. Na pijanych patrze z litoscia, jak na ludzi chorych i nieszczesliwych. Kazdy przypomina mi o tym, ze tak niejednen raz Wygladalem. Sa jeszcze tacy, ktorzy namawiaja do picia, inni nie namawiaja i nie pozwalaja namawiac. Wiecezosc natomiast nie daje wiary zapewnieniom o abstynencji. Kiedy wreszcie uwierza? Po czterech, po szesciu latach?

Kiedy wreszcie uwierza, ze petla nie musi sie zaciagnac, jesli jest w czlowieku ambicja?!

7 KTO WINIEN?

–Kiedy pan "nabral wody"? – zapytal doktor po przeswietleniu, nastepnego dnia po przyjsciu do sanatorium, w styczniu 1956 roku.

–Jest plyn? – zapytałem zdziwiony. – Nic o tym nie wiedzialem. W ostatnich dniach przed przyjsciem goraczkowalem troche, ale nie myslalem, ze to plyn...

–Bedziemy sie starali wysuszyc – mowi doktor.

–A jak sie nie uda? Potrafilbym sam zlikwidowac... – W jaki sposob?

–Wodka. Juz trzy razy tym sposobem likwidowalem plyn.

–Jesli pan juz dobrze wie, mozemy pogadac. Tak. Alkohol ma to do siebie, ze pochlania plyny – mowi doktor. – Ale – dodaje po krotkiej przerwie: – tej metody lekarz nie ma prawa pacjentowi radzic. Potrzebna konska dawka. Pacjent napije sie wodki, dostanie krwotoku i wysiadka. Kto wtedy bedzie ponosil wine? Doktor, bo zalecil taka kuracje.

W pokoje leze na dodatkowym lozku, tzw. przystawce. Pacjent, ktory tego dnia mial byc wypisany, pozostal, poniewaz nastapilo raptowne pogorszenie w jego stanie zdrowia. Wobec tego do pokoju wstawiono dla mnie dodatkowe lozko. Bylo ono nizsze i mniejsze niz normalne. Siatka byla rozluzniona, spalem w nim jak w hamaku. Nie otrzymalem tez szafki przylozkowej, bo juz nie bylo na nia miejsca. Lozko stalo przy szafkach z ubraniami, wiec gdy ktory chcial dostac sie do szafy, musial odsuwac moje lozko.

Tym razem trafilem w pokoju na "dretwe" towarzystwo. O kilka godzin wczesniej przyszedl do tego pokoju inny nowy chory, z zawodu kierowca samochodowy. Rozmawialismy tylko ze soba, bo reszta zyla swoim zyciem. Tamci lezeli razem juz kilka miesiecy. Nieraz dobra, innym razem zla strona Zycia w sanatorium jest to, ze chorzy w pokoju sie zmieniaja. Jedni wychodza, a na ich miejsce przychodza inni. W pokoju zastac mozna samych rownych i zgranych ze soba chlopakow, a w ciagu miesiaca pieciu moze wyjechac i na ich miejsce przyjda "ciucmoki", "grezy" i "zgryzoly". Tym razem trafilem do "ciucmokow".

Rozmawiali tylko ze soba, a Janka-szofera i mnie nie dostrzegali. "Prosze, niech pan sie poczestuje ciasteczkiem". "Czy pan czytala dzisiejsza gazetke?" Wciaz tylko zdrobniate slowa i tytulowania. Ale przeciez z ludzmi trzeba zyc. Zaczalem wlaczac sie do rozmow. Gdy pytalem o cos, odpowiadano mi zdawkowo w kilku slowach. Gdy wlaczalem sie do prowadzonej rozmowy, udawali, ze nie slysza. "Czekajcie – pomyslam jak wy mnie nie widzicie, to juz postaram sie, zebyscie mnie poczuli".

Kazdy otrzymywal do wlasnego uzytku noz, widelec i lyzke, ktore zabieralismy do stolowki. Do ich przechowywania otrzymalismy male plocienne woreczki. Od czasu do czasu bralem cos do zjedzenia i siegalem na przyklad po noz, lecz woreczek bralem za dno i sztucce wysypywaly sie na podloge robiac duzy halas. Wtedy zbieralem je i znow noz lub lyzka wylatywaly mi z reki. Gdy raz podnosilem celowo upuszczona lyzke-lyzka robila najwiecej szumu-zwrocilem sie grzecznie do "ciucmokow" pytajac:

–Przepraszam, czy można zakłac?

–Nie, nie, nie, nie! – zawolali równocześnie.

–Szkoda. Myślałem, że chociaż będę mógł sobie powiedzieć to i to, i to – odrzekłem tak samo grzecznie, akcentując tylko ostatnie słowa...

Zaczalem się zastanawiać, dlaczego większość drak mam z ludźmi "utytulowanymi". Czyżby jakiś kompleks "antyinteligentki?" Myślę, że chodzi tu o coś innego. "Utytulowani", w specjalnych warunkach życia w gromadzie: oboz, sanatorium, trzymają się razem tworząc zwartą, solidarną grupę przeciw "obcym". Obydwie strony patrzą na siebie nieufnie. Ale kiedy znikną podstawy nieporozumienia, dopasowują się do siebie i poprzednia niechęć często zamienia się w przyjaźń.

Mnie samemu, ze względu na impulsywny charakter, najczęściej zdarzało się zaczynać dzisiejsze przyjaźnie z "utytulowanymi" od drak i "rozrobek"...

Powoli życie w pokoju zaczęło się stabilizować. "Pan redaktor" po trzech dniach zaczął ze mną rozmawiać, "pan inżynier" zaczął być nawet serdeczny. Tylko "pan major" ciągle mnie nie widział. Często leżał na wznak z rękami złożonymi na piersiach i godzinami nie ruszał się, tylko nieruchomym wzrokiem patrzył w sufit. Gdy jednego dnia tak patrzył, w sufit, zał mi się go zrobiło, więc żeby przerwać ten stan, zapytałem grzecznie:

–Co pan taki smutny, panie majorze? – Major poderwał się, usiadł na łóżku i wrzasnął z wściekłością: – A co to pana może obchodzić! Nie dość, że hałasliwie się zachowuje, to jeszcze pyta: "Co pan taki smutny".

Zglupiałem na moment, ale już po chwili odpowiedziałem pytaniem:

–Czy zna pan warszawska przerobkę bajki o myszce i żółwiu? – i nie czekając na odpowiedź zacytowałem: – "Zalowała myszka żółwia,, że w skorupce siedział. Mam cie w d..., lażo głupia, żółw jej odpowiedział". Teraz to samo – mowilem dalej. – Ja do niego z sercem, a on do mnie z twarzą. Pozaluj takiego – to cie jeszcze opatyczy.

Wieczorem "pan redaktor" powiedział, że chciałby ze mną porozmawiać. Wyszliśmy na korytarz i "pan redaktor" prosił mnie, żebym się nie gniewał na "pana majora". Jest to człowiek, który przeszedł tragedię życiową, ma zszarpane nerwy. Bardzo dobry człowiek, lecz leży już pół roku i zamiast poprawy okazało się w ostatnich dniach, że jest pogorszenie. Dlatego taki zdenerwowany.

–Nie mam zamiaru odgrywać się – odpowiedziałem – ale też więcej się do niego nie odezwę.

Po dwóch dniach, gdy byłem na badaniu, doktor zapytał, jak mi się żyje w moim

pokoju.

–Nie bardzo – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Sztywne towarzystwo. W pokoju jestem tylko wtedy, gdy muszę. A najgorszy major. Opowiedziałem doktorowi przedwczorajsze nieporozumienie z majorem.

–Miałem zamiar odegrać się za ten wyskok, ale rozmawiałem z redaktorem i zrezygnowałem, chociaż wcale mnie nie przekonał. Ze on nerwowo, bo chory! Coż z tego! Tu nie ma ludzi zdrowych. Każdy jest chory. Każdy ma swoje przeżycia i każdy ma podstawę do tego, żeby być nerwowym.

–Nie miałby pan racji, gdyby mu pan dokuczał-odpowiedział doktor. Czy zna pan chociaż trochę jego życie? Jeśli nie, niech pan posłucha:

W 1940 roku dostał się do Anglii i przez całą wojnę był na stacji bombowców. Przed powrotem do kraju obiecano mu, że będzie pracował w lotnictwie. Pan rozumie chyba, czym dla lotnika jest samolot, latanie. Wrocil do kraju, za którym tęsknił, i do starej matki, która potrzebowała jego opieki. Wrocil w najgorszym okresie. Mogł nie wrocic, tak jak wielu innych, a matce mógł pomagać winny sposób. Po powrocie do kraju nie otrzymał pracy w lotnictwie. Matka wkrótce zmarła. On zachorował na gruźlicę i jest poważnie chory. Leczymy go- lecz czynnikiem, który pomaga w leczeniu, jest dobry stan psychiczny i samopoczucie chorego. Jemu brak jest dobrego samopoczucia. No bo: pracuje w wielobranżowej spółdzielni za 1200 złotych miesięcznie. Nie ma żadnej rodziny. Zajmuje pokój w lokalu wielorodzinnym – hałasliwym, gdzie nie liczą się z jego osobą. W mieszkaniu są dzieci, więc z obawy przed zakażeniem gruźlicą starają się szykanami wygnąć go z tego domu. Wkrótce skończy się okres chorobowy, więc obawia się, że mogą go zwolnić z pracy, a stan zdrowia uległ znacznemu pogorszeniu.

Czy to panu coś mówi? – i nie czekając na odpowiedź doktor mówił dalej:

–A teraz druga sprawa. Czytał pan zapewne, że lotnik, który rzucił bombę atomową na Hirosimę, zwariował. Nie mógł wytrzymać świadomości, że stał się przyczyną śmierci tylu ludzi. Major też latał i rzucał bomby na otwarte miasta, i wiedział, że każda bomba zabija ludzi, którzy jemu bezpośrednio nie zagrażają – kobiety, dzieci, starców. Żołnierz na froncie strzela i zabija w bezpośredniej walce tych, którzy jego chcą zabić – a ten rzuca bomby i widzi walące się domy, w których mieszka cywilna ludność. Nienawisc do wroga to jedna sprawa – a psychika człowieka to już inna sprawa i różne są reakcje ludzi na tę samą sprawę. Skąd pan może wiedzieć – zapytał doktor – czy wtedy, gdy on tak leży i patrzy w jeden punkt na suficie, nie myśli właśnie o tych, na których rzucał bomby? A może on swój obecny los i chorobę uważa za karę bożą. Co my możemy o tym wiedzieć? Czy nic nie powiedziała panu jego odpowiedź: "A co to pana może obchodzić?" Jego meczą sprawy, o których z nikim nie chce mówić- a to na pewno nie są tylko sprawy

choroby; mieszkania, pracy...

–Przekonał mnie pan, doktorze – odpowiedziałem – zmienię swój stosunek do niego. To, co mi pan przedstawił, nie przyszło mi do głowy. – Widzi pan – dodał doktor – my mamy za mało czasu dla pacjentów.

Doktor powinien nie tylko rozpoznać choroby i dawać leki. Powinien rozmawiać z chorymi. Chciałbym mieć chociaż dwie godziny w Tygodniu na rozmowę z każdym chorym, ale brak asystentów, a sam jestem zawałony różną papierkową, administracyjną, biurokratyczną robotą. Są problemy życiowe chorych, które mądry lekarz w rozmowie z chorym pozna, odpowiednią argumentacją potrafi stepić ostrze problemu, poprawi samopoczucie chorego i w ten sposób przyczyni się do szybszej poprawy jego zdrowia. Co się pan tak zamyslił? – spojrzał na mnie uważnie doktor.

–Zastanawiam się: kto winien? – odpowiedziałem.

Z majorem stosunki układają się coraz lepiej. Przez pewien czas unikałem bezpośrednich rozmów, żeby nie doprowadzić do nowych zadrażnień. Przekonał się do mnie z okazji drobiazgu.

Zauważyłem, że major ma kilka angielskich książek, które czyta "na okrągło". Czyta książki z biblioteki sanatoryjnej, ale każdego dnia czyta też książki angielskie, żeby, jak mówi, nie zapomnieć języka. Wtedy wpadłem na pomysł: napisałem do znajomej, która jest tłumaczem języków obcych, żeby przysłała kilka dobrych, jej już niepotrzebnych angielskich książek, zaznaczając, że zwrotu nie będzie. Po tygodniu przyszła paczka z czterema książkami.

–Czytał pan to? – zapytałem podając majorowi książki.

–Nie czytałem – odpowiedział uradowany, przeglądając tytuły. – To są bardzo dobre książki. W jaki sposób pan je zdobył?

Patrząc na jego zadowolenie, pomyślałem, że dla tego widoku warto było ponieść dużo większy trud, żeby te książki zdobyć.

Po kilku dniach major zwraca mi książki z podziękowaniem.

–Niech pan je zatrzyma. Ja w te książki mogłbym pięć lat patrzeć i też nic bym nie rozumiał.

Od tego czasu z majorem żyłem w idealnej zgodzie. Wkrótce został wypisany, żeby w swojej instytucji nie stracić prawa do dalszego leczenia sanatoryjnego.

Rano wezwano mnie na przesiewienie. W gabinecie rentgenowskim cała grupa lekarzy z innych oddziałów..

**–Jest plyn? – zapytalem, gdy juz mnie ogladali pod rentgenem. – Sucho –
odpowiedzial doktor.**

**Zapytalem ordynatora, co moglo byc przyczyna powstania plynu. Nie zmoklem, nie
zaziebilem sie, wiec skad plyn?**

**–Rozpuszczamy odme. Juz trzy miesiace nie dopelnialismy. Przez trzy lata pluco
przyzwyczajilo sie do odmy. Teraz, gdy nie dopelniamy, pluco sie rozpreza, nastepuje
podraznienie tkanek.i... plyn. Ale-plynu juz nie ma, wiec wszystko skonczylo sie
dobrze.**

**Dzisiaj wyjechal "pan redaktor". Nareszcie skonczylo sie niewygodne lezenie na
przystawce. Przystawka jest zlem koniecznym, wiec gdy zwalnia sie lozko,
przystawke sie likwiduje. Redaktor wyjechal po poludniu, w czasie gdy juz na
oddziale nie bylo lekarzy. Po powrocie z kolacji spostrzeglem, ze na zwolnionym
lozku jest juz czysty posciel.**

**–Kto polozyl posciel? – zapytalem. – Przeciez ja sie przenosze na to lozko, a
posciel moja jest jeszcze czysta – przedwczoraj zmieniana.**

**–Byla siostra oddzialowa – informuje Janek – i powiedziala, ze ty zostajesz na
przystawce, a na to lozko przyjdzie inny, nowy pacjent.**

**–Niech sobie mowi – odpowiedzialem – ja sie przenosze. Od kiedy to tak jest, ze
nowy idzie na normalne lozko, a stary zostaje na przystawce!**

**Swoja posciel przelozylem na wolne lozko, a swieza posciela poslalem ladnie
przystawke.**

–Chcialbym zobaczyc tego "proteganta", kolo ktorego tak wszyscy skacza!

Po poludniu przyszedl nowy kuracjusz. Mlody, sympatycznie wygladajacy chlop.

**Z poczatku, w zwiazku ze sprawa lozka, odnosilismy sie do niego z pewna rezerwa,
lecz po kilku dniach juz sie zzyliśmy i okazalo sie, ze jest to rowny, charakterny
chlopak. Byl sekretarzem Komitetu Powiatowego partii. Gdy powiedzialem o historii z
przystawka, wybuchnal oburzony:**

**–Kto ich o to prosil! Co oni wyprawiaja! Ja nie chce zadnych przywilejow. Chce byc
traktowany tak jak inni chorzy. Ludzie mowia nieraz, ze partyjni maja rozne
przywileje. To inni stwarzaja nam przywileje, tak jak w tym przypadku, czesto wbrew
naszej woli.**

**W najblizszy czwartek jeden pacjent z naszego pokoju wyjechal do domu. Zenek –
ten nowy z przystawki – przeniosl sie na wolne lozko, a przystawka zostala**

zlikwidowana.

Zenek często wychodzi na miasto bez przepustki. Leży pierwszy raz, więc jeszcze nie zna "chodów". Pokazałem mu, koredy ma wychodzić i jakimi drogami chodzić, żeby nie nadzieć się na naszych lekarzy lub pielęgniarki.

Pewnej niedzieli Zenek wyszedł rano i nie wrócił na popołudniowe leżakowanie. Denerwowaliśmy się, że go nie ma, bo dyżur miał lekarz, który zawsze kontrolował, czy wszyscy chorzy są w łózkach. Tego dnia też nie wylamał się z zasady. Gdy wszedł do naszego pokoju -brakowało tylko Zenka.

–A ten gdzie jest? – zapytał, zdejmując z poręczy łóżka ramkę z karta gorączkowa.

–Przed chwila gdzieś wyszedł – odpowiedziałem spokojnie. – W pidzanie – dodałem, bo już przedtem na krzesle przy jego łóżku zawiesiłem swój drugi garnitur, a pod łóżkiem stały pantofle innego kolegi.

Gdy doktor zapisał nazwisko Zenka i wyszedł z pokoju, nastąpiła szybka narada.

–Trzeba go ratować – mówię. – Jeśli nie wróci do czwartej, ktoś z nas musi się odmeldować za Zenka. Ale kto to może zrobić? Ja nie mogę, bo z tym doktorem miałem kiedyś drake na zebraniu kuracjuszy i on mnie dobrze zna, a poza tym ja odpowiedziałem, że wyszedł.

–Edek! – mówię do młodego wysokiego chłopaka, który w naszym pokoju mieszkał dopiero od dwóch tygodni. – Jeśli się nie boisz, to idź ty. Ciebie on nie zna i Zenka nie zna, przecież nie będzie legitymował. Jak był w pokoju, to ciebie nie widział, bo leżałeś przykryty, nosem do okna.

Po skończeniu leżakowania Edek poszedł do pokoju lekarza dyżurnego. Po kilku minutach wrócił i opowiedział, jak załatwił sprawę.

–Podobno pan doktor mnie zapisał? – zapytał.

–Tak, zapisałem pana – odpowiedział doktor – bo nie było pana w pokoju.

–Wyszedłem na chwile do ustępu.

–To dlaczego nie zameldował się pan u mnie zaraz po powrocie?

–Koledzy mi mówili, ale myślałem, że wariata chcą ze mnie zrobić, bo tylko chwile nie było mnie w pokoju. No i nie wierzyłem im, bo przecież pan doktor nigdy przy niedzieli nie kontroluje. Dopiero teraz zapytałem kolegów z innych pokoi i potwierdzili, że była kontrola, dlatego przyszedłem.

–Dobrze – odpowiedział doktor. – Jak pana nazwisko?

–Podalem imie i nazwisko Zenka – mowi Edek – a doktor wykreslil je z listy, na ktorej bylo kilkanascie nazwisk.

–Nic by mu nie zrobili – dodalem od siebie – powiedzialby, ze przyjechala rodzina i siedzial z nimi w swietlicy, a nasz doktor nie przeprowadzalby dochodzenia. Ale po co ma sie tłumaczyc. Dobrze jest, jak jest.

Ostatki. Wiadomo, ze od podwieczorku juz bedzie wesolo. Chorzy przebieraja sie i spaceruja po calym terenie sanatorium. Przebieranie sie to juz domena kobiet. Widac z tego, ze maja wieksze poczucie humoru. Oto juz idzie pierwsza grupa..Slubna para. On – mlody, szczuply, w czarnym garniturze, ona, ubrana na bialo, z masa wstazek i kokard przypietych do sukni, niesie bukiet sztucznych kwiatow. Za nimi idzie cala gromada chorych. Wszyscy rozesmiani, staraja sie rozpoznać "przebierancow".

"Mlodzi" z przeraziwa powaga chodna po oddzialach i wstepuja do kazdego pokoju.

Druga grupa przebrala sie za Cyganow. Ci tez chodza po pokojach. Jeden gra „na nosie”, drugi tanczy, a stara Cyganicha, z dzieckiem w chustce, trzyma karty w reku i podchodzac do kazdego mowi: "Powrozyc, panoczku, kaz sobie. Wrozka kabalarka karty stawia. Karta nie klamie – karta prawde powie. Czeka cie wielkie szczescie z blondynka, wieczorowa pora. Tylko nie daj sie zlapac na meza, panoczku".,

Na kolacje do stolowki przyszla starsza dystyngowana dama. Siwa, w dziwnym kapeluszu na glowie, jaskrawo ubrana. W uszach olbrzymie kolczyki w ksztalcie kola, na szyi korale, a na kazdym palcu po dwa pierscienie. Z powaga siedzi przy stole i z ciekawoscia rozglada sie po sali, tak jakby byla tu pierwszy raz. Ma wyglad bogatej ciotki z Ameryki, ekstrawaganckiej starej panny z malym "kotem" w glowie.

Wiele osob zapomnialo, ze to ostatki, i z ciekawoscia obserwuje "starsza pania". Ludzie rzucaja sobie ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia. Podchodza do innych stolikow i pytaja, kto to jest.

–Ciotka z Ameryki tej chorej, ktora siedzi obok – padaja odpowiedzi. – Przyjechala odwiedzic ja w sanatorium, bo; za kilka dni z powrotem wraca do Ameryki.

Sprawa wyjasnia sie po kolacji, gdy „starsza pani" w towarzystwie mlodej, chorej kuzynki i jej kolezanek zwiedzala sanatorium. Pierscionki, ktore miala na palcach zebrane zostaly od chorych z calego oddzialu i one najbardziej wprowadzaly w blad, bo widac bylo, ze to nie sztuczna bizuteria, lecz szlachetne kamienie oprawione w zloto.

Tuz przed dzwonkiem na nocna cisze na nasz oddzial wchodzi jakas koszmarna

procesja. Ciemne pasiaste stroje, pomalowane twarze, wlosy upiete na fantastyczne sposoby. Jedna z kobiet ma duzo cienkich warkoczy opadajacych na twarz. Druga zwiazala tasma wlosy na czubku glowy i teraz stercza do gory na wysokosci 20 centymetrow, a na koncu pedzel. Inna uczesana na topielice. Jeszcze innej twarzy wcale spod wlosow nie widac. I tak wszystkie jednakowo ubrane, a kazda z inna fryzura; ida milczaco, "gesiego", jedna za druga i kazda cos niesie w rekach. Jedna szczotke, inna basen, nastepna wiadro, scierke, kwiatek w doniczce, poduszke, a idaca na przedzie niesie transparent, na którym duzymi literami wypisano: "Tworki maja urlop".

Gdy dochodzily do konca oddzialu, zza zakretu ukazal sie lekarz dyzurny. Kobiety zatrzymaly sie. Stoja milczac przytulone do sciany.

–Co sie dzieje? – pyta doktor. – Co panie tu robia?

A ta pierwsza nic nie odpowiada, tylko podsuwa doktorowi transparent do przeczytania.

–Prosze isc do siebie na oddzial – rozkazuje doktor. – Za chwile dziesiata, czas do lozek.

Milczac, wolno ruszily z powrotem. Doktor szedl obok, a ta z przodu wciaz podsuwala doktorowi transparent z napisem "Tworki maja urlop".

Byla to milczaca manifestacja przeciw otrzymanym tego dnia nowym pidzalom. Wszystkie pidzamy byly jednakowe: w czarne, brazowe, ciemnozielone i granatowe paski.

Manifestacja pomogla. Po kilku dniach pidzamy wymieniono na jasne, a te czarne, cmentarne, rozdzielono po wszystkich oddzialach, jako rezerwe.

Nie na tym jednak zakonczyly sie wystepy ostatkowe. Spalem juz, gdy ktos krzyknal glosno: – Chlopaki! Patrzcie!

Obudzony, spojrzalem – a na srodku pokoju jakis potwor w sukni, o ludzkich, lecz przesadnych ksztaltach odstawia taniec duchow.

–Lapcie ja! – krzyknalem i juz wyskakuje z lozka. Ale "duch" byl szybszy i zniknal w otwartych drzwiach.

W pokoju ogolna wesolosc. Zgadujemy, ktora to taka odwazna. Wreszcie umawiamy sie, ze czas spac, ale gdy tylko nastapila cisza, znow zjawil sie "duch", by wyprawiac swoje "piekielne harce". Przychodzil jeszcze dwa razy, lecz nie dal nam sie zlapac. Nastepnego dnia kolezanka przyznala sie, ze to ona chciala nas nastraszyc.

–Mialabys lepszego stracha, gdyby sie nam udalo cie zlapac – mowilismy.

–Taka mozliwosc przewidywalam, dlatego mialam na sobie kilka

sukienek, spodnic i szesc par majtek, kazda para przypieta agrafkami do innej sukienki.

Trzy dni przebywal w naszym pokoju szesnastoletni Antos. Cichy, Spokojny, prawie melancholik, bardzo chudy. Stan zdrowia – ciezki.

Czesto przychodzi do niego ojciec. Rozmawial z nami, proszac, zeby otoczyc chlopca opieka, bo Antek jest w okresie silnej depresji i on boi sie, ze syn moze probowac popelnic samobojstwo. Przez te trzy dni chlopcu bylo u nas dobrze. Staralismy sie, zeby w pokoju zawsze byl ruch i humor, zeby nie mial czasu myslec o "glupich" sprawach... Czwartego dnia przeniesiony zostal do pokoju dwuosobowego. Stalo sie to dlatego, ze w naszym pokoju nie bylo umywalki i kranow. Po badaniach zdecydowano, ze trzeba Antosiowi zalozyc dren, ktory laczy sie specjalna aparatura z kranem. Tak wiec Antos pozostal teraz z drugim, rowniez ciezko chorym i ze swoimi myslami. Odwiedzalem go czesto, a dwa, trzy razy w tygodniu ze Zbyszkciem-gitarzystą chodziliśmy zabawiac ich muzyka i spiewem.

Antos na swoje lata byl bardzo powazny i ta powaga byla glownym niebezpieczenstwem. Chorowal juz dziesiec lat i zdawal sobie sprawe, ze nie. zdola sie juz wyleczyc.

–Powiedzcie mi – mowil – na co takie zycie? Piec lat spedzilem w sanatoriach, a nic sie nie polepsza, przeciwnie, jest coraz gorzej. Przeciez ja i tak nie bede zyl, a tylko niepotrzebnie sie mecze... Nie wiem, dlaczego ludzie maja takie przywiazanie do zycia. Meczy sie taki, ale chce zyc, wiedzac, ze juz nic go nie uratuje. Kosztem wielkich cierpien stara sie przedluzyc zycie chociaz o kilka tygodni, kilka dni, a nawet kilka godzin. Wierza w cuda. Warto byloby pocierpiec, gdybym wiedzial, ze czekam chwili wynalezienia leku, ktory potrafi calkowicie wyleczyc gruźlice. Ja juz mam dosyc wszystkiego. Nastepnym razem urzadze tak, ze mnie nie odratuja.

–Niemadry, co ci chodzi po glowie! – mowilem. – Widzialem juz ciezej chorych. Leczyli sie, wyszli z sanatorium, pracuja... – Opowiedzialem przypadki, z ktorymi zetknalem sie na oddziale chirurgicznym. Ale Antos nie dal sie przekonac.

Tamci mieli szanse. Jak w grze w karty. Ciagneli ostatnia-karte, ktora miala zdecydowac o wygranej lub przegranej. Dla mnie tej ostatniej karty zabraklo. Ja juz sie na operacje nie nadaje...

Tak, doswiadczenie dlugiego leczenia dziala przeciw nam. Czlowiek zna dokladnie svoj stan zdrowia i w przyblizeniu moze przewidziec, ile mu jeszcze pozostalozycia. Dla wielu pacjentow lepiej byloby, zeby tych rzeczy dokladnie nie znali.

Mnie ta świadomość nie przeraża. Oswoilem się i czekam spokojnie na to, co będzie dalej.

–Przecież u pana jest stabilizacja – pociesza mnie doktor.

To się dopiero okaże. Rozpuszczam odme, a w płwocinie stwierdzony pratki. Dziura w płucu była duża, stara i z otoczką. Nie byłbym zdziwiony gdyby się nie zrosła. Wtedy operacja i trzy lata odmy poszłyby na marne. Coz... I tak dobrze, bo gdyby nie operacja, już bym od dawna kwiatki od spodu wachał!

Mają mi ronic bronchoskopie. Doktor przewiduje zmiany w oskrzelach. Muszę się zgodzić, chociaż podobno "łykanie rury" nie jest zbyt przyjemne.

Odwiedziłem Antosia. Jest w depresji i wciąż mówi o samobójstwie. W poprzedniej rozmowie zbil moja argumentację: Tym razem dałem inny przykład:

–Mam kolegę; który jak ty od dziesięciu lat choruje na gruźlicę. Też ma ropę i dreny, a jednak nie rezygnuje z walki o życie. Przed trzema laty już umierał. Lekarze stwierdzili, że to konanie, i zrezygnowali z ratunku. Jeden tylko dla spokoju sumienia nie zrezygnował. Podał jakieś leki, zastrzyki i zrobił transfuzję krwi. Chłopak żyje. Z ropą, z drenem – ale żyje i nie ma zamiaru w najbliższym czasie umierać.

–Pan to nazywa życiem? – mówi Antos. – Z ropą, z drenem, przykuty do łóżka, przywiązany rurą do kranu – to jest życie? To nie jest życie...

Po kilku dniach, rano, zdenerwowani chorzy podawali sobie wiadomość, że Antos z separatki nie żyje. W nocy przecial sobie żyły. Gdy nad ranem zaalarmowano personel dyżurny, Antos już nie żył. Spełnił obietnicę, że: "Teraz zrobię tak, żeby mnie nie odratowali".

Zdecydowano. Mam "łykać rurę", a fachowo po lekarsku taki zabieg nazywają bronchoskopia.

W płwocinie wykryto pratki, z miejsca zalecono PAS., hydrazyt i streptomycyny.

W czasie swojej choroby polknąłem już kilka tysięcy tabletek PAS-u... Doszedłem w tym do wielkiej wprawy. Inni do porcji leków muszą wypić pół wiadra herbaty – mnie wystarczy łyk płynu. Gorzej ze streptomycyną wywołuje u mnie zaburzenia pamięci i systemu nerwowego. Znam już to uczucie z poprzednich kuracji. Dopiero w jakimś czasie po zakończeniu kuracji wracam do normalnego stanu.

–Chłopaki! – powiadam. – Dzisiaj "łykam rurę".

–Uważaj, żebyś się nie udławił – mówi Tadzio – i żeby ci nie wylamali Zębów, bo potrafią tak nacisnąć na szczękę, że aż żeby trzaskają. Mnie w ten sposób wylamali

ten zab – dodal,, pokazujac puste miejsce po zebie.

–Brak mi juz tylu zebow – odpowiedzialem – ze jeden mniej czy wiecej tnie stanowi wielkiej roznicy...

–Teraz jestes taki wesoly, ale chcialbym zobaczyc cie po zabiegu!

–Dobrze – odpowiadam. – Po "rurze" zamelduje sie u ciebie na werandzie.

Wkrotce pielegniarka zawiadomila mnie, ze wzywaja mnie na sale chirurgiczna.

Usiadlem na stoiku. Pielegniarka trzymala mnie za glowe, a lekarka znieczulala krtan. Krztusilem sie. Potem coraz mniej. Wreszcie juz jestem znieczulony. Teraz bierze strzykawke, lekarz naciska na tlok, a mnie strasznie chce sie "smiac" – bo wlany w oskrzela plyn pobudza do kaszlu, ktory mozna porownac do historycznego smiechu. Uczucie podobne do zachlysniecia. Teraz juz jestem znieczulony na dobre i moge lykac rure. Poprosilem, zeby mi ja pokazano.

Rura jak rura. Długa, metalowa, z zarowka na koncu. Na oko – 8 milimetrow srednicy.

Polozylem sie na wznak, na kozetce, w ten sposob, ze glowa byla nizej. Zgaszono swiatlo i zaczelo sie.

Lekarka nie moze trafic rura w tchawice. Klnie pod nosem, napiera rury na gorna szczeka, wyjmuje, znow wkłada. Wydaje mi sie, ze peknie szczeka albo wyleca gorne zebry. Zmeczyla sie doktor, zmeczylem sie ja. Staralem sie lezec nieruchomo i nie napinac miesni, ale wciaz nie idzie.

Poslyszalem otwieranie drzwi i glos chirurga. Lekarka robiaca zabieg poprosila:

–Panie doktorze, moze pan zobaczy, nie moge wejsc do tchawicy, pacjent ma bardzo umiesnione gardlo i struny glosowe.

Doktor spojrzal, wzial rure do reki, pokrecil, poruszal i czuje ja na szczecie w miejscu, w ktorym brak zebow. Jeszcze chwila i juz rura siedzi W srodku. Teraz jezdzia rura od oskrzela do oskrzela i kolejno patrza przez wizjer. Dlugo to juz trwa. Brak mi oddechu. Czuje rzezenie w plucach. Chce dac znak reka, ze sie dusze, ale w ciemnym pokoju nikt na moje rece nie zwraca uwagi. Przychodzi mysl, zeby siegnac rekami i wyrwac rure-wtedy slysze, jak lekarz mowi:

–Zalaczyc odsysacz, zebralo sie duzo plwociny.

Szum motoru – i ulga. Znow, moge spokojnie lezec. Najgorzej, gdy wsadza rure do oskrzela, ktore nie zostalo dobrze znieczulone. Nastepuje podraznienie i kaszel – ale

jak kaslac, gdy jest sie unieruchomionym rura, ktorej jeden koniec siedzi w klatce piersiowej, a drugi wystaje ustami.

–Nie ma nic, oskrzela czyste -zgodnie stwierdzaja lekarze. Konczymy – mowi doktor i wolno wyciaga rure.

–O – tu z brzegu widze jakies zaczerwienienie – mowi raptem. – Panie doktorze, niech pan zobaczy. Czy to nie jest naciek?

–Moze i naciek, ale to nie jest pewne – odpowiedzial jego kolega spogladajac w wizjer. – Obejrzeli jeszcze raz i zabieg skonczony. Zapalono swiatlo. Pomogli mi sie polozyc na innej kozetce i polecili lezec pol godziny.

Tym czasem doktor za parawanem znieczula pacjentce gardlo. Szykowano nastepnego pasazera "do lykania rury".

–Pani doktor! – zawolalem glosno. – Moge juz isc na oddzial. – Niech pan nie gada, bo bedzie chrypka – odpowiada doker. Korzystajac z nieuwagi lekarza, zszedlem z kozetki i po cichu na palcach, "zasuwam" do drzwi.

–Gdzie pan idzie! Z powrotem na kozetke! Ma pan jeszcze lezec! – wola doktor, ktora zauwazyla moja ucieczke. Niechetnie wrocilem na kozetke, ale teraz dla odmiany co pol minuty, jak "zegarynka", powtarzalem:

–Pani doktor, juz?

–Niech pan juz idzie, bo nie wytrzymam dluzej tego. Pielegniarka pana odprowadzi.

Wrocilem do pokoju. Pielegniarka poprawila poduszke, przykryla mnie kocami, a gdy tylko zniknela za drzwiami, poszedlem na werande "odmeldowac sie" Tadziowi i kolegom, ktorzy watpili w moj humor i kondycje po zabiegu.

–Chcieliscie mnie zobaczyc, to patrzcie. Jestem "na chodzie", czy nie jestem?

Nadrabialem mina, a naprawde czulem sie bardzo zmeczony i senny. Po powrocie do pokoju natychmiast zasnalem.

Po kilku godzinach czulem sie lepiej, ale... zaniemowilem. Kilka tygodni minelo, zanim znow moglem dobrze mowic i spiewac.

W wyniku bronchoskopii zalecono robienie wlewek doskrzelowych.

Pierwsza i druga wlewke dostalem do przewodu pokarmowego. Lekarz klal na moje gardlo i umiesnione struny glosowe, ktore utrudnialy zapuszczanie leku do tchawicy.

–Doktorze, jesli trudno wlac do oskrzeli przez usta, to niech pan robi igla przez

krtan.

–Zgodzi się pan?

–Przecież chodzi o leczenie, a nie o to, czy zabieg będzie więcej czy mniej przykry.

Od tego dnia wzywano mnie na wlewke wtedy, gdy już lekarz skończył robienie doustnych.

Jednego dnia doktor napierał tak silnie, że igła weszła, ale się zgięła.

–Do diabła – zaklął – jak weszła, to musiała się zgiąć i nic z tego.

–Niech pan robi zgięta. Wytrzymam.

Doktor nacisnął tłok, poczułem podrażnienie, lecz starałem się jak najdłużej powstrzymać atak kaszlu. Wreszcie zabrakło oddechu i zacząłem kaszlać. Doktor wyrwał igłę, a ja "śmiałem się" dusząc się w ataku kaszlu. Wreszcie odplulem krwawo.

–Co to jest? – pytam.

–zakaszał pan za wcześnie i przeciwległa ścianka krtani zaważyła o igłę, zanim zdążyłem wyrwać. Co teraz? – zastanawia się lekarz. – Igły się gna, a musimy zrobić jeszcze kilka wlewek. Nie mamy dobrych igieł.

–Niech pan mi da przepustkę, to przywiezie z domu kilka dobrych, stalowych igieł.

–Przepustki panu nie dam, ale może pan zadzwonić na koszt sanatorium, żeby panu przywiezli w niedzielę.

Gdy następnego dnia dawałem doktorowi igły, ten popatrzył na mnie: – No i urwał się pan wczoraj do domu – powiedział tonem pewności. Z nowymi, dobrymi igłami, już bez kłopotów, doktor wykonał dalsze wlewki.

"Urywałem się" bez przepustki, a raz na trzy tygodnie lub raz na miesiąc prosiłem doktora o przepustkę i wyjeżdżałem legalnie. O przepustkę prosiłem, żeby doktorowi nie wydało się podejrzane, że pacjent "na chodzie" nie ma w domu żadnych spraw do załatwienia.

Są lekarze, u których łatwo otrzymać przepustkę. Inni dają tylko w ważnym przypadku. Są jednak lekarze rygorysty, którzy nie chcą dać przepustki nawet w ważnych życiowych przypadkach. Sanatorium to nie szpital, w którym chory leży kilka dni lub tygodni. Tu pobyt liczy się na miesiące, a niejednokrotnie na lata. Chory jest związany z życiem wieloma sprawami. Ciężko chory wypisuje się na własne zadanie, bo lekarz nie chce dać przepustki w ważnej życiowej sprawie – na przykład na

pogrzeb dziecka.

–Nic pan dziecku nie pomoze, a pogrzeb moze odbyc sie bez pana odpowiedzial lekarz na prosbe o przepustke. – Jest pan powaznie chory i taki wyjazd moze panu zaszkodzic.

–Wobec tego niech pan mi zrobi natychmiastowy wypis – prosi chory. Lekarz ze spokojnym sumieniem robi wypis, nie martwiac sie juz stanem zdrowia chorego, ktory od tej chwili przestal byc jego pacjentem.

Inny mieszkajacy z zona i trojgiem malych dzieci w wilgotnej suterenie otrzymal przydzial na nowe mieszkanie. Prosil o przepustke. Doktor odmowil. Nie pomogla argumentacja, ze trzeba w zwiazku z przydzialem zalatwic duzo roznych formalnosci, ze zona pracuje, ze troje malenkich dzieci. Nie pomoglo przyrzeczenie, ze sam nic przy przeprowadzce nie bedzie robil, lecz wynajmie robotnikow. Doktor byl nieugiety. "Wobec tego niech mnie pan wypisze". Wypisal.

Na tym tle moj ordynator to "t-a-a-a-k-i chlop". Przepustki daje niechetnie, ale i nie dopuszcza do sytuacji, zeby pacjent zaprzepascil cala kuracje, ktora daje wyniki, tylko dlatego, ze nie otrzyma przepustki na zalatwienie waznej zyciowej sprawy. Wczuwa sie w psychike chorego. Z dwojga zlego zawsze wybiera to mniejsze zlo.

W czasie obchodu wchodzi do pokoju z usmiechem, czesto zartuje. Przeprowadza krotka ogolna rozmowe, utrzymana w pogodnym tonie. Wprowadza chorych w dobry nastroj, dopiero wtedy przystepuje do czynnosci urzedowych. Dla kazdego ma zyczliwosc i dobra rade.

–Panie doktorze – pytam raz w czasie obchodu – da mi pan na jutro przepustke do Warszawy? Jutro pierwszy, chce jechac po wyplate.

–A zonie nie moze pan dac upowaznienia?

–Moge, ale nie chce. A czy pan dalby zonie upowaznienie? Poleze kilka miesiecy i wroce, a przez takie jedno upowaznienie zona dowie sie dokladnie, ile zarabiam, i juz nic nie bede mogl skrecic dla siebie.

–Tak. Tu mnie pan przekonal – smiejac sie odpowiedzial doktor. – Nie tylko ze juz by pan nic nie skrecil dla siebie, ale moglaby zazadac zwrotu wszystkiego, co pan przez kilka lat ukrywal.

Przepustke otrzymalem.

"Terapia zajeciowa" – tak lekarze nazywaja potrzebe zainteresowania chorych lekka, nie wyczerpujaca praca, ktora ma na celu odciagniecie mysli pacjentow od ich spraw chorobowych i w ten sposob staje sie czynnikiem ulatwiajacym leczenie.

Zdarzają się tacy chorzy, którzy dostają "kota", jak termometr pokazuje większą o kilka kresek temperaturę. Myślą o tym bez przerwy, gadają i co dwie godziny wkładają termometr pod pachę. Ojej, co to będzie, stan ciężki, jest 37,2. Prosi taki chory o inny termometr sprawdzenia temperatury. Nie wierzy. Teraz wkłada dwa termometry.

Takim chorym potrzebne jest jakieś zajęcie, żeby nie przeżywali bez przerwy każdej najmniejszej zmiany temperatury czy zwiększonego opadu krwi. W sanatorium jest specjalny pracownik, który przychodzi do chorych, zachęca do zajęcia się robotkami, uczy, jak należy robić, dostarcza materiały i wzory. Ale wykonany przedmiot staje się własnością sanatorium. Gdy chory już się nauczy coś wykonywać, wtedy kupuje potrzebne materiały i pracuje dla siebie, dla znajomych lub sprzedaje. W ten sposób zarabia na papierosy czy wodę kolonjską i inne drobne wydatki.

Był taki okres, kiedy wszyscy robili zabawki. Ceratowe zwierzątka wypchane watą. Psy, krowki, gęsi, konie, słonie i co tylko kto potrafił wymyślić. Kiedy indziej znowu modne były siatki do noszenia produktów. Pacjentki robią piękne obrusy niciane. Ta praca wymaga jednak dużych umiejętności.

Inna dziedzina to wyroby z klisz rentgenowskich. Samoloty, pudełka o różnych kształtach i przeznaczeniu, zakładki do książek, albumiki do zdjęć – wszystko precyzyjnie wykonane. Okret lub albumik robi się całymi tygodniami. Wszystko to malowane lub wydrapywane w piękne wzory. Tylko skąd brać klisze? Dyrekcja zabroniła wykonywania robot z klisz. Z laboratorium rentgenowskiego można otrzymać klisze przeswietlone lub z popsutych zdjęć. Ale zapotrzebowanie jest większe! Chorzy często w ramach terapii zajęciowej pracują przy porządkowaniu archiwum lekarskiego, z którego ukradkiem wynoszą stare klisze rentgenowskie. Niewyczerpane źródło. Jeden, uczciwszy, zabierze klisze po sprawdzeniu, że chory zmarł. Inny nie sprawdza, lecz bierze często aktualne jeszcze zdjęcia. Nie wszyscy jednak mają możliwość dotrzeć do archiwum. Co wtedy robią? Często korzystają z okazji, że nikogo nie ma w gabinecie lekarskim, a na wierzchu leżą klisze. Chowa taki kilka nowych zdjęć, dotyczących leżących chorych, zamyka się w łazience, a po piętnastu minutach wychodzi niosąc w reku czyste klisze bez emulsji. Ponieważ takie wypadki zdarzały się dyrekcja zabroniła korzystania z klisz.

Poznałem bliżej chłopaków z innego oddziału; po kilku rozmowach byliśmy już kolegami. To Joziek z Czerniakowa, Czesiek z Woli i Roman z Otwocka. Leżą w jednym pokoju.

–Masz ochotę na kielicha?– zagadnął mnie Czesiek na korytarzu. – Nie, nie piję.

Mają po literkę. Jeden, nachylony przy szafce, nalewa w szklanke, z której kolejno pija. Po wypiciu pusta butelkę Joziek chowa do szafy.

–Czesiek! – wola Joziek. – Trzeba gdzieś te flaszki upłynnić. Jak znajda, będzie draka. Tu już pod ciuchami leży chyba z piętnaście butelek.

–To wy tak mocno pijecie? – pytam. – Pije się.

–Przydałoby się jeszcze pół literka dzisiaj przeciągnąć – jakby od niechcienia proponuje Joziek i wola patrzeć w swoją gorączkową kartę: Czekać! Już mi się wczoraj rimifon skończył. Idę do oddziałowej, niech da następna porcja. Ty, Czesiek, mówiłeś, że masz kupca. "Opędzaj" i forsa będzie.

–Ja biorę dopiero w przyszłym tygodniu – powiada Czesiek po przestudiowaniu swojej karty gorączkowej, na której wpisuje się ilość codziennie przyjętych leków.

Za sto tabletek rimifonu dostał Czesiek 80 złotych, wziął równocześnie zadatek na swój lek, który ma otrzymać w przyszłym tygodniu, i teraz z całą forsa poszedł do sklepu po wódkę.

Staralem się przemówić im do rozumu.

–To głupota sprzedawać lekarstwo na wódkę. Nie robcie tego. Można wypić od czasu do czasu, ale nie codziennie, tak jak wy to robicie. A już w żadnym przypadku nie można sprzedawać leków, po to tylko, żeby kupić wódkę.

–Daj spokój, nie bądź głupi – mówią prawie równocześnie. – Ty wierzysz, że to ci pomoże? Są tacy, co zrają lekarstwa na kilogramy, i diabli ich biorą. Inni nic nie biorą i żyją. Jak masz życie, to i tak będziesz żył.

Wieczorem, pół godziny po zgaszeniu świateł, usłyszeliśmy uderzenia spadających z góry na ziemię przedmiotów:.. lup, lup, lup, lup, lup!!!.

–Czym to rzucają z góry? – zapytał ktoś w pokoju. – Jakby ktoś wyrzucał butelki?

Staneliśmy w otwartym oknie. W wielu oknach zapalały się światła i ludzie patrzyli na trawniki przed pawilonem, żeby zobaczyć, co to spada: Rano zobaczyliśmy rozrzucone wachlarzem puste butelki od wódki. Wachlarzem – żeby nie można było rozpoznać, z której linii okien wyrzucono.

–Nie bójcie się, że wreszcie was nakryją? – zapytałem następnego dnia. – Za frajerzy na to, żeby nas nakryć. Żaden nie upije się tak, żeby coś narozrabiać. A jak nawet złapie, to co? Przecież nie zabija. Najwyżej wypiszą karnie. Też wielkie zmartwienie.

Joziek wkrótce zmarł. Roman też. Czesiek żyje. Słabo – ale żyje. Pije jak poprzednio i twierdzi, że wódka nie szkodzi.

Dwóch chorych, którzy w okresie ostatnich lat przechodzili leczenie w sanatorium, znają wszyscy. Zna ich dlatego, że przebywają oni w sanatorium od kilku lat.

Jeden to Stasio zwany "Niemowa". Drugi – nazwano go Mietek. Stasio chodzi w mundurze wojskowym. Podobno był żołnierz. Po gruźliczym zapaleniu opon mózgowych porażona miała prawa stronę ciała i stracił mowę. Słyszy dobrze, rozumie, co się do niego mówi, ale nic nie mówi. Wleje na prawą nogę, a prawa ręka jest bezwładna. Przebywał w sanatorium chyba cztery lata. Wyleczonego z gruźlicy nie można było wypisać, bo niezdolny był do pracy zarobkowej, a w kraju nie miał żadnej rodziny, która mogłaby go przyjąć.

Stasio w warunkach sanatoryjnych się rozleniwiał. Denerwował się, gdy chciał coś powiedzieć i nikt nie mógł zrozumieć, o co mu chodzi.

–Co chcesz? – pytają.

–U-u-u-u – mówił z odpowiednim grymasem twarzy, pokazując na szafy.

–O ubranie ci chodzi?

–Y-y-y-y – kreśli przecząco głową.

Teraz padają różne pytania, na które odpowiada dłuższym lub krótszym "u-u-u" lub "y-y-y-y".

Wreszcie domyśliliśmy się, co chciał powiedzieć. Jeden chory schował drugiemu do szafy ranne kapcie – ten szukał i klął, a Stasio chciał powiedzieć, gdzie kapcie są schowane.,

–Stasiu, baranie – tłumaczyłem grzecznie – siedzisz tu tyle czasu, lenisz się, mordka ci rośnie, a nie wezmiesz się do nauki. Lewą rękę masz zdrową. Pisać umiesz.

–U-u-u-u – odpowiada. Kiwa głową, że tak, i pokazuje bezwładną prawą rękę.

–Mogłbyś uczyć się pisać lewą ręką. Znam ludzi, którzy stracili prawą rękę, a pracują zawodowo jako urzędnicy pisząc lewą ręką. I oni mówią, a ty nie. Zamiast złościć się, gdy ktoś nie rozumie, o co ci chodzi, mogłbyś lewą ręką napisać i już wiadomo. Pisz jedną literę dziennie. Po pewnym czasie nauczysz się pisać biegle.

–U-u-u-u – znów mówi Stasio z grymasem twarzy, który ma oznaczać, że to wcale nie jest łatwa sprawa.

Gdy przyjeżdżałem uzupełnić oddech, ile razy spotkałem Stasia, zawsze pytałem, czy uczy się pisać. Uśmiechał się radośnie, ale łbem kreślił, że nie. Teraz Stasio wyjeżdża. Sanatorium wyszukało dla niego miejsce w jakimś zakładzie dla inwalidów.

Było to możliwe dopiero po całkowitym wyleczeniu z gruźlicy, bo żaden zakład dla inwalidów nie chce przyjąć chorego w obawie przed zakażeniem otoczenia, a nie mają warunków do izolacji i leczenia.

Mietek. Ten jest ciężko chory. Był uczestnik walk w Hiszpanii i walk armii polskiej. Leży już prawie cztery lata. Mimo wysiłków lekarzy stan jego zdrowia pogarsza się. Mietek stał się złośliwy w stosunku do innych chorych i wymaga od personelu wszelkich przysługujących i nie przysługujących mu usług. Skarży lekarzom na chorych i na pracowników. Z tego powodu nie cieszy się niczyją sympatią. Potrafiłem znaleźć z nim wspólny język. Często prosi, żeby przyjsz do niego na pogawedkę. Żali się wtedy na swój "garbaty los". Cała rodzina wymordowali Niemcy. Nie ma absolutnie nikogo. Raz na jakiś czas odwiedzi go jakiś kolega z wojska – to wszystko.

–Ja już nie mam płuc – mówi – zostały już tylko ramki. Sam się dziwię, jakim sposobem jeszcze żyję, czym oddycham. Wiem, że mnie nie lubią, że jestem złośliwy. A jaki mam być po czterech latach pobytu w sanatorium? Dokuczają mi. Denerwująco działa na nich mój ciężki stan. Niejeden widzi we mnie obraz swojej przyszłości. To ich denerwuje, a ja chciałbym, ale już nie potrafię być inny. Wiesz, ja naprawdę już chciałbym umrzeć. Pragnę tego i czekam śmierci jak zbawienia. Stąd innego już wyjścia nie mam. Gdyby mnie wypisano, to tylko do innego sanatorium. Nigdzie i do niczego już się nie nadaje.

Kilka miesięcy później spełniło się pragnienie Mietka. Umarł. "Inwentarz żywy", zwierzęta na naszym utrzymaniu, to zajęcie, rozrywka i obowiązek chorych. Nasz inwentarz to okoliczne psy, które przychodzą na teren sanatorium w poszukiwaniu dobrego zarcia, koty, które potrafią wyzyc same. Po grubych galeziach winorośli wchodzi na pietra, przechodzą po gzymsach, przez otwarte okna lub drzwi balkonowe dostają się do sal chorych i kradną mięso lub wedliny leżące na oknie lub na polce szafki przyłóżkowej.

Psy chodzą po zebraniu. Chodzi taki zebrak przed pawilonami i patrzy w okna, czekając na jalmuznę. Ale to nie jest zwyczajny zebrak. To zebrak-arystokrata. Stanie, popatrzy po oknach – czeka dwie, trzy minuty, a gdy nie dostanie nic, przechodzi dwadzieścia metrów dalej – znowu stoi i z zadartym do góry łbem czeka, kto mu rzuci coś dobrego do jedzenia. Ktoś rzucił słodką bułkę. Pies podchodzi majestatycznym krokiem, wacha i powoli odchodzi.

–Ach, ty cholero – wola ofiarodawca ze złością – to ty słodkie j bułki nie chcesz zrec. Wont! Uciekaj!!!

Ale pies się tym krzykiem nie przejmuje. Stoi w pobliżu budki i patrzy na okna. Znowu coś wyrzucono. Pies podchodzi, wacha i zjada powoli. Tym razem wyrzucił ktoś wczorajsza obiadowa porcja mięsa. Inny wyrzuca kielbase, która jeszcze nie

smierdzi, ale już jest nieswieża, z "kolorkiem". Po co pies ma jeszcze słodkie bulki, jak dostaje wedliny i mięso. Przy końcu pawilonu stoi inny pies. Czeka, aż ten pierwszy odejdzie. Jeśli przyjdzie wcześniej, wtedy awantura murowana. Silniejszy odpedzi słabszego, a ten drugi jest o wiele mniejszy. Wreszcie zebrak-arystokrata odchodzi. Po chwili jest już ten drugi. Stoi i patrzy na okna. Wyrzucona bułka też się nie zmarnuje. Już ją wroble obrabiają, ptasie chuligany. Jeden porwał kawałek bulki, ale już trzy inne atakują i zabierają. Bułka leży, a wroble się biją. Korzysta z tego inny wrobel. Porywa bułkę i ucieka.

Z samego rana zerują kawki. Podchodzą do okien tylko wtedy, gdy chorzy jeszcze śpią. Zarcie dla ptaków wykładamy na parapetach okien, na balkonach, a zimą do balkonowych skrzynek na kwiaty. Raz kawka ukradła koledze skarpetę. Wieczorem uprał skarpety i położył na parapecie okna, żeby szybciej wyschły. Jedna "wyschła" dokładnie!

–Złodziejka, psiakrew! – wrzasnął kolega, gdy zobaczył, jak kawka w locie, nie siadając na oknie, porwała skarpetę.

Salowe i sprzątacze niechętnie patrzą na dokarmianie ptaków. Mają dodatkową robotę z zamykaniem balkonów, a sprzątacze z zamykaniem dolnego tarasu i trawników.

Osobno dożywia się sikorki, są one dla nas najmilszymi ptaszkami. Do winorośli lub do górnego balkonu przywiązuje się sznurek, do którego uczepiamy kawałek słoniny lub kawałek urasta zawinięty w gazę lub w wydrążonej skorze chleba. Sikorki jedzą, hustając się na zawieszonym tłuszczu. Dwie, trzy, a nawet cztery równocześnie. Odważniejsze wlatują przez otwarte okno do pokoju, przeważnie z rana, gdy jeszcze wszyscy leżą w łóżkach, ale są i takie, które wchodzi o każdej porze. Usiadł na stoliku, skubnie masła, popatrzy na siedzącego tuż obok właściciela. Przefrunie na inny stolik, poszuka, popatrzy, a gdy stwierdzi, że dla niej nic nie ma, przenosi się w inne miejsce. My tymczasem rozmawiamy i chodzimy po pokoju. Wreszcie, gdy już jest najedzona lub wystraszona, siada na poprzeczce otwartego okna, podziękuje po ptasiemu i leci do parku. Po pewnym czasie znowu przylatuje i rządzi się w pokoju jak u siebie w domu.

Sikorki cieszą się największą sympatią chorych, którzy twierdzą, że to jedyne stworzenia, które nie uciekają przed ludźmi chorymi na gruźlicę.

–Chłopaki! – krzyknąłem, wchodząc na werandę. – Patrzcie, co stoi na korytarzu.

–Co takiego? Co stoi? – pytają zaciekawieni.

–Cudo stoi, mówię wam, cudo. Takiej babki dawno żaden z was nie widział. Coś eleganckiego!

–Nie bujaj – mówia koledzy, ale już dwóch wylazi z leżaków, żeby zobaczyć cudo.

Wrocili i również pochwalili, a Tadek krzyczy z zachwytem:

–Oddalbym się jej bezinteresownie – na czczo, z rana, o północy.

–To nie dla ciebie – odpowiedziałem Tadekowi. – Zobacz, jak ona ubrana. Gdybym ją rozebrał, to za to, co ma na sobie, mogłbym, nie pracując, żyć pięć lat. Widziałeś ten pierścionek? Jak myślisz, ile za to można dostać?

–Cztery lata – odpowiada Tadek. – Pierścieni lepiej nie dotykaj

–Kto to jest? – pytają koledzy.

–Nowa pacjentka. Dopiero przyszła na oddział.

–Beda miały baby z nią los – powiedziałem głośno. – Personel też. Zobaczycie, jakie ona będzie miała wymagania: "Osobny pokój, proszę, z widokiem na góry".

–Ale tu nie ma gór – przerywa mi kobiecy głos.

– Nie szkodzi – odpowiadam. – Muszą wybudować, bo lala żąda. Męska obsługa – ciągnie dalej – i nieograniczone w ilości i w godzinach wizyty "braci" i "kuzynów" – bo ona pewno ma dużą rodzinę.

–Dlaczego pan tak sądzi? – zapytała jedna z leżących na werandzie kobiet.

–Ma się ten wech, moja pani.

–Czy pan myśli, że jak ładna i dobrze ubrana, to musi być taka?

–A jeśli nie będzie taka, niech mi kaktus na nosie wyrosnie!

–Już ją pana widzę z kaktusem na nosie! – Wkrótce się przekonamy.

Po skończonym werandowaniu w trzech weszliśmy do dyżurki pielęgniarek.

–W którym pokoju umieściła pani tę słiczną?

–W żadnym. Już wyjechała. Zrezygnowała z leczenia.

Spojrzałem ironicznie na kolegów, ale ci jeszcze nie rezygnują z kaktusa na nosie.

Dlaczego? – pytają.

–Zadala dla siebie osobnego pokoju, twierdzac, ze jesli sama za siebie zaplaci, to jej sie to nalezy. Doktor mowil jej, ze dla sanatorium to obojetne, kto placi: sam chory czy ubezpieczalnia. Chorych traktuje sie tu jednakowo, a jedynym kryterium otrzymania lepszych warunkow jest tylko ciezki stan zdrowia pacjenta. To ona znow mowila, ze musi zarabiac na utrzymanie rodziny, a niemozliwe bedzie wykonywanie robotek w osmioosobowym pokoju...

–A nie mowila, o jakie robotki jej chodzi? To ciekawe! Samoplacaca, rodzina na utrzymaniu, brylanty na palcach – i chce dorabiac! Pielegniarka spojrzala do karty i czyta glosno dane personalne. W rubryce- "zawod" napisano: – nie pracujaca.

Na oddziale widac duzo nowych twarzy. W kazdy czwartek opuszcza oddzial kilku wypisanych, a na-ich miejsce przychodza nowi. W naszym pokoju pozostal tylko Janek – "szoferak" i ja. Na miejscach "sztyniakow" juz leza inni chorzy.

Krotko w naszej sali lezal mlody chlopak – Heniek, ktory mial w plucach niewielkie zmiany, ale umieral dwa razy na dobe – raz w czasie dnia, drugi raz w nocy – na dusznosc. Mial jakies schorzenia oskrzeli. Gdy dostawal ataku dusznosci, natychmiast wzywalismy lekarza, a w nocy lekarza dyżurnego. Lekarz robil zastrzyk i atak mijal. Heniek zdawal sobie sprawe z tego, ze kazda wizyta lekarza w nocy wszystkich nas wybija ze snu. Przepraszał nas za to i staral sie przetrzymac atak bez wzywania lekarza. Gdy oddech jego stawal sie gwizdzacy, ktos z nas budzil sie i naciskal przycisk dzwonka, zeby wezwac lekarza.

Moje lozko stalo obok lozka Henka. Jedne j nocy obudzil mnie gwizdzacy oddech Henka. Popatrzyłem na sale – wszyscy spia. Zdziwilo mnie, dlaczego Heniek lezy, a nie siedzi, jak zawsze gdy dostawal ataku dusznosci. – Zawolac doktora? – zapytalem.

Nie odpowiada. Poruszylem jego reke i pytam jeszcze raz. Nie odpowiada. Zapalilem swiatlo. Patrze, a Heniek siny i nieprzytomny. Nacisnalem dzwonek, raz, drugi, trzeci. Po chwili znow kilkakrotnie alarmuje. Rownoczesnie obudzilem kolegow. Jeden zapalil gorne swiatlo, a inny pobiegl po lekarza. Po chwili przyszedl lekarz dyżurny, juz z ampulka i strzykawka. Wiedzial, ze jesli alarm z naszego pokoju, to tylko do Henka. W kilka minut po zastrzyku oddech wyrownal sie, a wkrótce Heniek odzyskal przytomnosc. Dostal od nas dobry "wygawor", gdy powiedzial, ze nie wzywal lekarza, bo widzial, ze wszyscy smacznie spia, wiec nie chcial nas budzic.

Przeciwstawilismy sie wszyscy, gdy doktor chcial przeniesc Henka do pokoju dwuosobowego – "zebysmy mieli spokoj". Oswiadczyliśmy, ze w sanatorium nie mozna myslec tylko o wlasnej wygodzie. Moze i nam kiedy inni chorzy pomoga. Jesli Heniek pojdzie do malego pokoju, to gdy dostanie ataku, a drugi chory w pokoju sie nie obudzi, moze do rana "wykorkowac". Po kilku dniach Henka przeslano do Instytutu w Warszawie.

Następnym, który krótko leżał w naszym pokoju, był Edek. Typ chuligański, który wszystko i wszystkim lekceważył. Młody, źle wychowany chłopak. Na każdą grzeczność zwrócona uwagę miał zawsze obelżywą odpowiedź.

Gdy ordynator przychodził na obchód, każdy chory siadał lub leżał na wznak z rękami wyłożonymi na koce. Tylko Edek przybierał najdziwniejsze pozycje i na pytania doktora odpowiadał burkliwie.

Pewnego dnia w czasie obchodu Edek leżał na boku, z podciągniętymi pod siebie nogami, przykryty kocami tak, że widac było tylko czoło i oczy. Gdy doktor stanął przy jego łóżku, nie zmienił pozycji, a na pytania nie odpowiadał wcale. Kiedy doktor powtarzał pytanie, odpowiadał krótko i burkliwie. Gdy doktor wyszedł, wszyscy zaczęli mówić Edkowi "kazanie".

–Widzisz, Edziu, w życiu obowiązuje człowieka grzeczność względem innych ludzi, z którymi musi się stykać. Doktor jest tym człowiekiem, który chce ci przywrócić zdrowie. Za to należy mu się szacunek. Szczególnie wtedy, gdy jest na obchodzie. Są tu ludzie starsi od ciebie, na stanowiskach, a popatrz: kiedy wchodzi doktor, każdy odkłada na bok gazetę, książkę czy robotkę, siada lub leży z rękami na wierzchu. Tylko ty postępujesz inaczej. Zachowujesz się tak, jakbyś doktorowi robił łaskę.

Edzio długo leżał cicho, wreszcie wybuchnął niecenzuralnymi słowami. – Ty, g...rzu – odezwałem się ostro – jak my do ciebie grzecznie, to i ty bądź grzeczny!

Koncząc powiedziałem, że jeśli jeszcze raz tak się do nas odezwie, to dostanie w "dziób".

–Tylko nie w "dziób" – odciął się Edzio. – Pan jeszcze nie wie, jak ja biję...:

Wyskoczyłem z łóżka i już byłem przy nim.

–Ty, chuligan, no pokaz, jak ty bijesz. No, rusz się, pokaz przedzej! Gdy mimo mojej prośby Edek nie chciał wstać, kląć wróciłem do swojego łóżka.

W południe oddziałowa powiedziała mi poufnie, że Edek był u ordynatora. Skarżył się i prosił o przeniesienie do innego pokoju.

Taki wielki cwaniak, a skarżyć się poszedł!

Wieczorem Edek przenosił się do innego pokoju, a na jego miejsce przyszedł inny chory.

Po dwóch tygodniach, w niedzielę, Edek wyszedł do miasta i wrócił na gazie.

Stałem na korytarzu, gdy on wracał z łazienki. Stanął i patrzył na mnie. Nie uchylam

się i też patrze spod przymrużonych powiek prosto w jego oczy. "Bedzie draka – pomyslałem. – Edek na gazie, bedzie się chcial odegrac za poprzednia porazke. Nie szkodzi, niech zacznie, zobaczymy". – Edek podchodzi do mnie wolnym krokiem. Naprezony w sobie obserwuje. Edek zatrzymal się, popatrzył chwile i usmiechnal się.

–Gniewa się pan na mnie? – zapytał grzecznie. – Przepraszam. To wtedy tak glupio wyszło, ale ja nikogo nie chciałem obrazić. Niech się pan nie gniewa – dodał i wyciąga do mnie reke.

–Nie gniewam się i nie gniewałem. Podskoczyłeś, to ja też, i nie musisz mnie przepraszac. To doktora nalezalo przeprosic.

–Zrozumialem, że mieliscie racje – mowi Edek. – Teraz tylko zaluje, że oszedłem z pokoju.

–Mozesz do nas przychodzic. Zaden z nas nic ci zlego nie powie.

W sanatorium jest oddzial wewnetrzny. Leza tam chorzy, ktorzy procz gruzlicy maja inne choroby – przewaznie cukrzyce. Chorzy na cukrzyce maja dla siebie wydzielona czesc stolowki i osobne kelnerki, bo otrzymuja oni inne wyzywienie, konieczne przy cukrzycy.

W naszym pokoju lezy jeden ciezko chory. W dniach odwiedzin przychodza do niego dwie szesnastoletnie dziewczynki z oddzialu "cukrzykow" – Krysia i Marysia.

Krysia jest z prowincji, wiec rodzina nieczesto ja odwiedza. Marysia nie ma bliskiej rodziny, a dalsza "zapomniala" o niej. Coz-gruzlica. Boja się. Odstraszajaco dziala na nich przyklad Marysi. Rodzice – gruzlicy, zmarli w odstepie polrocznym, gdy Marysia miala 6 lat. Od smierci rodzicow wychowuje się w Panstwowym Domu Dziecka, na zmiane z Sanatorium Przeciwgruzliczym, bo okazalo się, że miala poczatki gruzlicy. Dom Dziecka co pewien czas przysyla jej kilkadziesiat zlotych na drobne potrzeby.

Jesli dziewczynki nie pokazuja się u nas przez kilka dni, wszyscy o nie pytaja. One też chetnie do nas przychodza, widzac nasza serdecznosc. Kazdy z nas przy tym ma zawsze cos dobrego do zjedzenia. Czestujemy je cukierkami, czekolada, owocami – a i jeszcze cos do torby, do zabrania. Szczegolna troskliwoscia otaczamy Marysie. Jest przez wszystkich lubiana mila, grzeczna, bardzo dziecinna. Marysia przywodzi na mysl własne dzieci, ktore w przyszlosci moze spotkac podobny los. W rozmowach miedzy soba nazywamy ja "Sierotka Marysia".

–Kiedy pan bedzie jechal do Warszawy? – zapytala mnie Marysia, gdy spotkalismy się na korytarzu.

–A dlaczego pytasz, Marysiu?

–Mam do sprzedania cykloseryne. Chce sobie kupic sukienke, a nie mam pieniedzy. W Warszawie podobno jest taka apteka, ktora kupuje zagraniczne leki, ale ja nie znam Warszawy i boje sie, ze ode mnie nie kupia, bo jestem za mloda.

–Nie sprzedawaj, Marysiu. Lekarstwo moze ci sie przydac. Zdrowie wazniejsze niz sukienka. Czy kolezanki w pokoju nie odradzaja ci sprzedazy?

–Prosze pana, to wyglada zupełnie inaczej, niz pan myśli – odpowiedziala Marysia z dziecięcym zachwytem. – Jeden pan z naszego oddzialu, jak wyjezdzał, dal mi to lekarstwo i powiedzial, zebym sprzedala, jesli okaze sie, ze nie bedzie mi potrzebne. Wtedy doktor nie kazal uzywac, a teraz zdecydowal, ze bede brala, wystawil wniosek i sanatorium przyznalo mi potrzebna ilosc tej cykloseryny. Wczoraj juz dostalam. Doktor tez radzi sprzedac, bo jesli pozniej bede potrzebowala znow, to ta moja moze byc juz

przeterminowana.

Uzgodnilem z Marysia dzien wyjazdu. Przed wyjazdem rozmawialem z lekarzem leczącym Marysie: potwierdzil to, co mi Marysia mowila. Lekarstwo sprzedalismy szybko, a ze do powrotu pozostalo nam jeszcze duzo czasu, pojechalismy do mojego domu. W czasie gdy rozmawialem z zona w jednym pokoju, w drugim Marysia baraszkowala na tapczanie z naszymi dziecmi. Krotko opowiedzialem zonie zyciorys "Sierotki Marysi".

Zona uronila lezke nad losem, Marysi. Gdy szykowalismy sie do wyjazdu, wygrzebala z szafy komplet bielizny, jakies bluzeczki, sukienki. "Prawie nie noszone, bo dla mnie za ciasne" -powiedziala, zeby usprawiedliwic decyzje oddania tych rzeczy. Chociaz wiedzialem, ze to nieprawda, zadowolony bylem, ze zona tak serdecznie potraktowala ten "ciezki przypadek zyciowy", jakim byla "Sierotka Marysia".

Po kilku dniach mialem z Marysia nowy klopot. Kupila sukienke na bazarze, w budce. Gdy przyniosla i wlozyla, okazalo sie, ze material byl zlezaly, miejscami przeswiecal i sukienka zle na niej lezala. Przyszla z prosba, bym poszedl z nia na bazar w charakterze "tatusia", bo jak pojdzie sama, to handlarka nie zechce wymienic.

Poszedlem. Handlarka dlugo ogladala sukienke. Twierdzila, ze byla juz uzywana i ze moze wymienic na inna, ale z tej odliczy 30 zl na nasza strate za uzywanie. Wyjechalem na nia z buzia. Wyjasnilem, ze sukienka byla kupiona wczoraj, ze nie nadaje sie do noszenia, a ona niech nie probuje zarabiac na tym, ze wtrynila dzieciakowi tandete. Postraszyłem babe, a Marysia wybrala sobie inna, ladna sukienke, do ktorej nawet nieduzo doplacila. Z tej sukienki byla zadowolona.

Wkrotce znalazl sie inny "przypadek", ktory nalezalo otoczyc opieka. Kolega z naszego oddzialu powiedzial mi, ze na chirurgii lezy moja znajoma z poprzednich pobytow w sanatorium i prosi, zebym ja odwiedzil.

–Jak wyglada? – zapytalem, bo nazwisko jej nic mi nie mowilo. – Starsza kobieta, wysoka, blondynka – tłumaczyl.

–Nie pamietam. Jak pojde, to zobacze.

–Idz – radzil kolega – to poznasz inna, mloda, te, ktora ja odwiedzam. Niedawno miala amputacje pluca. Czy znales Jacka? – zapytal raptem. Lezal tu w ubieglym roku. Nie zyje. Umarl w ubieglym miesiacu w Instytucie, po amputacji wdala sie ropa. Zaziebil sie i wysiadka. Szkoda chlopaka. Zostawil dwoje malych dzieci. Nie wiem, czy wiedziales-mowil kolega-ze on juz dwa lata sam chowal dzieci, mialy wtedy dwa i cztery lata. Zona uciekla z innym, a dzieci zostawila jemu. Ewa, wiesz, ta z chirurgii - to Jacka sympatia sanatoryjna, a ja bylem jego najlepszym kumplem. Dowiedzialem sie, ze Jacek nie zyje – wiadomosc przywiozl chory przeslany do nas z Instytutu. Poszedlem zawiadomic Ewe i... "strzelilem byka". Chcialem wyczuc, czy ona juz o tym wie, wiec zapytalem oglednie:

–Slyszala pani o Jacku?

–Slyszalam... Niech pan powie, jakie to nieszczescie! – Kto teraz bedzie chowal te dzieciaki... – dodalem. – A co sie stalo? Jacek nie zyje? – krzyknela Ewa.

Juz nie moglem sie wycofac i powiedzialem, jak jest. Dla niej bylo to szokujace, bo byla dopiero dwa tygodnie po amputacji. Okazalo sie, ze Jacek pisal do niej, ze ma rope. Po kilku dniach umarl – a ona mowiac o nieszczesciu miala na mysli pooperacyjne komplikacje u Jacka.

Wieczorem poszedlem na oddzial chirurgiczny odwiedzic znajoma, ktorej nie moglem sobie przypomniec. Gdy zobaczylem, przypomnialem sobie. Trzy razy bylismy rownoczesnie w sanatorium. Obecnie szykuje sie do operacji. Resekcja plata.

Do naszej rozmowy wlaczyła sie mloda dziewczyna, lezaca na drugim lozku. Wiedzialem, ze to jest Ewa, o ktorej mowil kolega. "Kurczak" – pomyslałem – gdy zobaczylem, jak w szlafroku wychodzi na korytarz. Malenka, drobna, z dziecinna buzia. Gdy rozmowa – jak zwykle przy pierwszych spotkaniach – zesla na tematy chorobowe – Ewa zalila sie, ze jest roztrzesiona. To wplyw antybiotykow oraz smierci Jacka, ktora przezywala bardzo ciezko nie tylko z powodu osobistej sympatii, ale jako przypadek chorobowy. Przeszla podobna operacje i teraz martwila sie, czy jej cos podobnego nie czeka.

–Jak dlugo pani po operacji? – zapytalem. – Dwa miesiace.

–Nie ma obawy o komplikacje. Najgorszy jest okres tuż pooperacyjny. Organizm wycieńczony łatwo chwyta każdą infekcję. Czy rozmawiała pani z lekarzem na temat swoich obaw?

–Nie.

–To niedobrze. Trzeba mieć do lekarza zaufanie. Doktor wytłumaczy pani fachowo i już będzie mniej o jedną przyczynę zdenerwowania. Niech pani porozmawia jutro!

Przy następnych odwiedzinach już była usmiechnięta, gdy powtarzała rozmowę z lekarzem.

Doktor wysmiał jej obawy i "nawymyślał" za to, że zamiast zapytać i poradzić się, tak długo się zamartwiała.

Odwiedzam Ewę coraz częściej. Prowadzimy długie rozmowy, w których opowiada swój życiorys. Potrafię zawsze wyrwać ją z apatii lub odpowiednią argumentacją usunąć przyczynę zdenerwowania.

–Wiem, dlaczego pani taka teraz często zamyslna – powiedziałem raz w czasie odwiedzin.

–No, ciekawa jestem, czy pan zgadnie?

–Wiem, wiem. Leży pani już półtora roku w sanatorium. W pierwszym okresie martwiła się pani swoją chorobą, czy da się wyleczyć. Później zdenerwowała się pani czekając na poważną operację. Po operacji – czy wszystko się skończy dobrze. Teraz, jak już jest dobrze, przychodzi inne zmartwienie. Jak ułożyć się dalsze życie? Czy nie zwolnia z pracy? Czy poddam normalnej pracy? Jak ułożyć się stosunki z ludźmi? Gdzie będę mieszkać? – i wiele innych problemów związanych z przyszłym życiem pozasąnatoryjnym.

–Tak. Jakby czytał pan w moich myślach...

–Przechodziłem to samo. Mam to już za sobą. Proszę Ewo, niech się Ewa nie martwi. Świat nie torba – i życie jakos się ułoży. Ludzie nie dadzą pani zginąć. Niech pani wierzy w ludzi. Jest dużo złych, ale więcej dobrych, którzy w ciężkich chwilach potrafią przyjść z pomocą. Bada tacy, którzy się odsuną od pani. To z początku szokuje, ale można się przyzwyczaić. Z uśmiechem patrzę na tych, którzy się odsuwają. To mnie już nie przygnębia. Jest na świecie tyle ludzi, że wśród nich – nawet przy takim stanie zdrowia jak nasze – też znajdziemy życzliwych i przyjaciół! Ostrzegam panią przed tymi, którzy będą szykanować. Żeby to nie było dla pani niespodzianką. To jest pierwszy pani pobyt w sanatorium i nie ma pani jeszcze "wolnościowego" doświadczenia. Niech pani popatrzy, ilu nas, gruzlików – i każdy ma jakos ułożone życie. Najważniejsze nie przejmować się i nie brać poważnie

wyskokow glupich lub nieswiadomych ludzi.

Ewa jest nauczycielka. Ma dwadziescia jeden lat. Pochodzi z rodziny sredniorolnych chlopow. Na nauczycielke wyksztalcila sie wlasnym wysilkiem.

–Ojciec jest bardziej wyrozumialy, ale ulega matce – mowila, opowiadajac historie swojego mlodego, ale bogatego w doswiadczenia zycia, a matka nienawidzi nauki i szkoly. W domu bylo nas szescioro. Zawsze chcialam sie uczyć. Matka uwazala, ze wystarczy, jak bede umiala sie podpisac. W naszej wsi byla szkola czterooddzialowa. Musialam pomagac w domu. Pasac gesi odrabialam lekcje. Po ukonczeniu czterech klas, wbrew woli matki, zapisalam sie do szkoly siedmiooddzialowej, o szesc kilometrow odleglej od naszej wsi. Zima i latem, w deszcz, mroz czy niepogode, z ksiazkami w plecaku dralowalam codziennie 12 kilometrow w obydwie strony. W domu matka robila awantury, ze malo pomagam w pracy. Gdy ukonczylam siodmy oddzial z nagroda, jako najlepsza uczennica, powiedzialam w domu, ze bede uczyla sie dalej. "Zwariowala – wolala matka. – Po co jej ta, nauka? To, co umiesz, to tez dla ciebie juz za duzo. Za madra bedziesz!"

Powiedzialam, ze uciekne z domu. Matka schowala mi ubrania i buty. Cale wakacje chodzilam do lasu zbierac grzyby i jagody, ktore sprzedawalam, a pieniadze odkladalam na buty i podroz. Kolezanka, ktora przyjechala ze szkoly na wakacje, dala mi adres swojej szkoly. Wreszcie pojechalam, ale nie przyjeli mnie, bo juz bylo po egzaminach i mieli komplet uczniow. Po powrocie poszlam po porade do kierownika szkoly, ktory byl za tym, zebym uczyla sie dalej, i namawial rodzicow, zeby mi nie bronili jechac do miasta. Kierownik poradzil mi, zebym napisala do Liceum Nauczycielskiego, czy maja wolne miejsca i czy mnie przyjma. Napisalam i z niecierpliwoscia czekalam na odpowiedz. Wreszcie przyszla. Kierownik pozyczyl mi pieniedzy na podroz i pojechalam.

Ewa dopiero po dwoch miesiacach napisala do domu i podala swoj adres. W liscie przepaszala rodzicow za swoja ucieczke i prosila, zeby jej nie przeszkadzali w nauce. Do listu zalaczyla opinie szkoly, ze jest pilna i dobra uczennica.

Liceum ukonczyla z nagroda. Dyrekcja liceum postanowila wyslac ja na dalsza nauke do Zwiazku Radzieckiego. Gdy zawiadomila rodzicow o wyjezdzie, przyjechala matka, zrobila dzika awanture i Ewa musiala zrezygnowac z dalszej nauki. Po rocznej pracy przyjechala do domu na urlop i... zachorowala. Do lekarzy matka odnosila sie z taka niechecia, jak do nauki.

"Dziewczyna chora? Nic jej nie bedzie" – mowila.

Dopiero gdy Ewa byla umierajaca, zawieziono ja wozem do miasta. Doktor stwierdzil stan beznadziejny. Gdy ojciec prosil o recepty na "dobre, zagraniczne leki" – doktor odpowiedzial, ze szkoda kazdej zlotowki, bo jej juz nic nie pomoze.

Przyjechała do sanatorium. Lekarze nie ukrywali przed nią jej ciężkiego stanu zdrowia. Dłużej jak rok trwała kuracja, zanim Ewa doszła do stanu fizycznego, w którym lekarze zdecydowali się na zabieg wycięcia płuca. Teraz już jest po operacji, na najlepszej drodze do wyzdrowienia.

W Warszawie zaczął się sezon wycigów konnych. W naszym pokoju wycigowcem, jest Janek-"szoferak". Z domu przywiozł plik zeszlenczych programów wycigowych, które bez przerwy studiuje. Słeczy nad nimi, mówi coś do siebie, zapisuje na kartce i zanudza wszystkich pytaniami, co ma powiedzieć doktorowi, żeby w sobotę otrzymać przepustkę.

–Mam murowane typy – mówi Janek. – Muszę pojechać. Nie mogę im zostawić tych pieniędzy!

–Uważaj, żebyś nie musiał piechotą wracać do Otwocka – żartowałem. – Widziałem już takich, co chcieli zniszczyć wycigi. Konczyli w kryminale. – Przywiozę pełny kapelusz forsy.

–Zobaczymy te forsy!

Janek ma "rozklekotane" serce. Doktor powiedział mu, jak ma się zachowywać i co robić, żeby doprowadzić serce do lepszego stanu. Miedzy innymi wskazaniem było też takie, że nie wolno się denerwować, bo może się to dla niego źle skończyć.

W sobotę Janek "czarował" doktora, jakie to on ma ważne sprawy w Warszawie. Doktor długo klarował – że jeszcze kilka tygodni nie wolno mu jeździć do Warszawy, bo to będzie z dużą szkodą dla jego zdrowia, ale Janek był nieustępliwy i wreszcie lekarz zgodził się dać przepustkę.

–Gdzie ten kapelusz pieniędzy? – wołamy, gdy Janek w poniedziałek rano wrócił z przepustki. – Po twojej minie doskonale widać, ile wygrałeś. – Przegrałem, cholera. Gdybym postawił tak, jak zaplanowałem, to bym

wygrał... Spotkałem kolegę i ten tak mi głowę zbajerował, że postawiłem tak, jak mi radził, i przegrałem. Ale to nic. W sobotę odbije wszystko i dobra wódka jeszcze będzie.

Przy obchodzie doktor sprawdził Jankowi tętno, pokiwał głową i powiedział:

–Widzi pan, znowu z sercem źle. A już tak ładnie było. Zadowolony byłem z poprawy i wszystko na nic. Niech mnie pan więcej o przepustkę nie prosi, bo nie dam. Jak przyjdzie czas, to przyjdzie na obchód i sam wręczę panu przepustkę na dwa dni.

Przez cały tydzień Janek, "modlił się" nad programami. W piątek chodził podniecony. Postanowił urwać się bez przepustki. Nie jadł obiadu. Wyjechał

wczesnie, zeby zdazyc na pierwsza gonitwe, po ktorej obiecywal sobie zgarniecie duzej gotowki.

Po poludniu przyszla oddzialowa.

–A ten gdzie jest? – zapytala, pokazujac na lozko Janka.

–Poszedl do dentystki – pada spokojna odpowiedz. Uwierzyla. Wieczorem wrocil zgniebiony Janek.

–Gdzie forsa? – pytamy.

–Bedzie forsa. To jest tak, ze kilka razy sie przegrywa, ale jak "zachapie" to za wszystkie czasy.

Janek wyszukal wspolnika od wyscigow. Taki sam wariat na tym punkcie jak Janek. W niedziele urywa sie ten drugi, ktoremu Janek daje forse i karteczke z typami. Znow przegral.

W poniedzialek doktor dziwil sie, ze serce "telepie".

–Co pan w niedziele robi, ze w poniedzialek z sercem jest zawsze gorzej? Obserwuje to od kilku tygodni. Czwartek, piatek, sobota – tetno z kazdym dniem rowniejsze i spokojniejsze, a w poniedzialek wysiada.

–Nic nie robie -odpowiada Janek z mina niewiniatka. – Wszystko robie tak samo, jak w kazdym innym dniu.

Gdy doktor wyszedl, wszyscy wsiedlismy na Janka.

–Wiecej na tor nie pojedziesz. Dorosly chlop, a taki glupi. Ktoregos dnia moze sie to skonczyc katastrofa. Przejmiesz sie przegrana i serce klapnie. Tyle ludzi zyje bez wyscigow, to i ty tez jeden sezon mozesz przezyc. Nie bedziemy ukrywali twoich uciezek. Nie chcemy brac udzialu w twoim samobojstwie. Chcesz, uciekaj, ale nas. nie pros o pomoc. Wlasciwie to powinnismy powiedziec doktorowi o twoim konskim nalogu. Wtedy cie przypilnuja tak, ze wiecej na tor nie pojedziesz.

W tym tygodniu Janek nie byl na torze, dal tylko "wspolnikowi" pieniadze, zeby ten za niego postawil.

W nastepnym tygodniu juz od srody Janek chodzil zdenerwowany. Studiowal programy wyscigowe, mowil do siebie; zapisywal i jak zwykle zastanawial sie glosno, czy prosic o przepustke, czy tez jechac na "dziko".

–Jak poprosze o przepustke – mowil- a doktor odmowi, wtedy nie bede mogl sie

urwac, bo doktor kaze pielegniarce pilnowac mnie. Jak wyjade bez przepustki, to moze "wpasc". Musze byc na torze w sobote i niedziele. Beda takie gonitwy, na ktorych wygram worek pieniedzy. Nikomu nie moze dac pieniedzy, bo dopiero na miejscu bede decydowal, na jakie konie postawic.

Wymienia imiona roznych koni i tłumaczy ich zalety i wiele innych rzeczy, ktore nas wcale nie interesuja. Wyjechal w sobote przed obiadem. Wieczorem nie bylo kontroli obecności. W niedziele tez nikt nie zauwazyl nieobecności Janka. Wieczorem Janka nie ma. W poniedzialek rano Janka nie ma. O godzinie jedenastej w czasie obchodu doktor zapytal o Janka.

Umowilismy sie, ze tym razem nie bedziemy ukrywac i powiemy doktorowi prawde o "konskiej" chorobie Janka. Nie mozna ukrywac, bo nie wiemy, co sie stalo. Moze w sobote umarl, a my w poniedzialek bedziemy mowic doktorowi, ze poszedl do ustępu albo do dentystki. Okazalo sie, ze doktor znal jego chorobe, tylko nic nie mowil, zeby nie bylo konieczności karnego wypisu, ktory zrobilby wiecej szkody niz okresowe ucieczki na wyscigi konne.

W ciagu tygodnia przyjechala zona Janka zalatwic formalności wypisowe i zabrac jego rzeczy osobiste. Powiedziala, ze w sobote przywieziono go z wyscigow do domu karetka pogotowia. Dostal ataku serca. Musi lezec w lozku, a wyjechal bez przepustki, wiec chyba zostanie wypisany karnie... Doktor okazal sie wyrozumialy. Zrobil normalny wypis, zeby pacjent mogl w krotkim czasie starac sie o powrotny wyjazd do sanatorium. Przy wypisie karnym sa trudności z otrzymaniem skierowania.

Bez przerwy mamy urozmaicone zycie. Na miejsce Janka przyszedl Kazio. Kazio to chlopak ze wsi, ma lat dwadziescia szesc, jest slabo rozwiniety umyslowo i zlosliwy. Chociaz glupi, ale ozenic sie potrafil. Opowiada, ze w dwa tygodnie po slubie zona uciekla od niego, bo dowiedziala sie, ze on ma gruzliczke. Chorobe swoja zawsze nazywa zdrobniale gruzliczka.

Mimo ze zwracamy mu uwage, pali papierosy lezac w lozku, a popiol i niedopalki rzuca na podloge.

–Kaziu, dlaczego palisz w pokoju? – pyta pielegniarka. – A nie dosc ze palisz, to jeszcze brudzisz podloge?

Kazio spojrzal na niedopalki i popiol tak, jakby dopiero w tej chwili zobaczyl, ze przy lozku jest brudno, i powiedzial:

–To nie ja nasmiecilem. To oni – mowi, wskazujac na obecnych w pokoju – nasypali tutaj, zeby bylo na mnie.

–Okazuje sie, ze ty, Kaziu, wcale nie jestes taki glupi-powiedzialem. Przyszedlby ktoremu z was taki pomysl do glowy? – zapytalem zwracajac sie do wszystkich. –

Samemu nasmiecic, a zwalic na innych!

Kazio pluje tez na podloge i za to wysluchuje naszych wymyslan. Ale nie przejmuje sie tym. Na zwozona uwage, ze ma pluc do swojej spluwaczki, ktora dostaje kazdy chory; odpowiada:

–E-e-e, a to mozna? Ona taka czysta.

Codziennie wypedzamy go do mycia, a on stara sie nas wykiwac. Pielegniarki wiedza o niecheci Kazia do wody i mydla, wiec gonia go do umywalni. Jednego dnia slysze na korytarzu awanture. To Kazio wymysla pielegniarce.

"Do przedszkola niech idzie pracowac! – krzyczal. – Dzieciakom nosy wycierac, a nie doroslego chlopa pedzic do mycia!"

Przy obchodzie poskarzyl sie doktorowi, ze pielegniarki mu dokuczaja, bo codziennie gonia do mycia.

–Dobrze, Kaziu – odpowiedzial doktor pojednawczo – pielegniarkom zwroce uwage, zeby ciebie nie napedzaly, ale ty musisz dac slowo, ze codziennie bedziesz sam chodzil sie myc.

–Dobrze – bez przekonania odpowiedzial Kazio.

Pewnego dnia gole sie w umywalni. Obok stoi starszy facet i pod kranem szoruje szczoteczka trzymana w reku sztuczna szczeka. Obok niego stoi Kazio i zastanawia sie, czy warto sie umyc. Spojrzalem na Kazia i widze, jak nienaturalnie, szeroko otwiera oczy wpatrzony w sztuczna szczeka. Wreszcie pokazujac palcem pyta:

–Co to?

–Nil widzisz – odpowiadam – zeby ten pan czysci.

To pana tylko na smietnik wyrzucic, jak pana mozna rozbierac na czesci!

–Glupi jestes – mowie – to ty nie wiesz, ze kazdy czlowiek moze w ten sposob wyjac zeby?

Kazio patrzy niedowierzajaco.

–Nie wierzysz?

W tym momencie do umywalni wszedl kolega, o którym wiedzialem, ze ma dwie sztuczne szczeki.

Powtorzyłem historie o wyjmowaniu zębów, prosząc, żeby wyjął swoje. Ten chętnie wyjął górną szczękę. Włożył na miejsce i dla odmiany po chwili pokazał szczękę dolną.

Kazio wsadził w usta duże palce i siłą ciągnie szczękę do przodu.

–Mocniej! Mocniej! – wołają wszyscy, którzy z ciekawością przyglądają się heczy.

–Nieprawda – mówi Kazio – nie wyjmują się.

Ale gdy jeszcze dwóch wyjęło, Kazio jest przekonany, że się jednak: wyjmują.

W czasie leżakowania Kazio leżał na łóżku kocami przykryty po głowę. Nikt na to nie zwrócił uwagi. Dopiero Fredek zauważył. Wstał, cicho podchodzi do łóżka, odkrywa koce – a Kazio leży z rękami w ustach i stara się wyjąć szczękę...

W tym dniu, kiedy w kaplicy sanatoryjnej odbywa się spowiedź, podszedł do mnie Kazio i po chwili namysłu powiedział wprost:

–Niech pan idzie dzisiaj do spowiedzi! – Po co? – zapytałem krótko.

–Grzechów pan nie będzie miał, jak się pan wyświadczy.

–Myślisz, że ja mam grzechy? Jakie? Czy skrzywdziłem kogo, okradłem, zabiłem?

–Każdy człowiek ma grzechy – przekonuje Kazio. – A jak się pan będzie spowiadał, to po śmierci pojedzie pan do nieba.

–Kiedy ja nie mam zamiaru w najbliższym czasie umierać... Widzisz, Kaziu – zacząłem poważnie – ja jestem niewierzący, więc w niebo nie wierzę.

–Wiem. Pan wierzy w Marksa!

–Tego nie można nazwać wiarą. Wiem, że był taki człowiek, że to był mądry człowiek, walczył o lepsze życie dla biednych ludzi. Wskazał, co należy robić, żeby ludziom było lepiej...

–Jak pan tak mówi – przerwał mi Kazio – to po śmierci będzie się pan w piekle smażył!

–Za co, Kaziu? Za co?

–Ze pan nie chodzi do kościoła, nie nosi medalika i nie chce pan iść do spowiedzi.

–To zaraz Pan Bóg tak bardzo mnie ukarze? – zapytałem.

–No – potwierdził Kazio. – U nas we wsi jedna była taka jak pan. W niedzielę wbijała gwoździ w drzwi, to Pan Bog ją skarał tego samego dnia. Spadła z drabiny i nogę złamała.

–To ten twój Pan Bog jest bardzo niedobry, jak za taki drobiazgi tak mocno karze – odpowiedziałem i nie czekając, co on odpowie, zadałem pytanie: – Czy słyszałeś, Kaziu, kiedy, że piorun strzelił w kościół? Dlaczego? Przecież tam mieszka Pan Bog.

–Tak, słyszałem, ale piorun strzelił w kościół, żeby zabić jednego takiego, co stał w kościele i nie miał medalika na szyi.

–Glupi jesteś, Kaziu. Piorun strzelił dlatego, że na wieży nie było piorunochronu.

–Pojdź pan do piekła! – krzyknął Kazio i uciekł, zatykając sobie rekami uszy.

Dosć często spotykany typ kuracjusza to "podskakaniec". Taki podskakuje do każdej młodej, ładnej kobiety. To typ, który uważa siebie za idealnego mężczyznę, obiekt pożądany wszystkich kobiet i niektórych mężczyzn. Za obrażę uważa, jeśli kobieta nie chce skorzystać z propozycji spaceru z nim na spacer do lasu.

Przez dłuższy czas siedziałem z takim "podskakancem" przy stoliku w stolowce. Chyba w życiu od nikogo nie usłyszałem tyle prawdy, ile ja mu nagadalem.

Genek – bo takie miał imię mój "podskakaniec" – wchodzi do stolowki. Nie sam – idzie z młodą kobietą, którą spotkał przed stolowką. Zatrzymał się, porozmawiał jeszcze chwilę i już siedzi przy stoliku obok innej młodej kobiety, która dopiero kilka dni jest w sanatorium. Wiem, że Genek jej jeszcze osobiście nie zna. Ale od czego tupet! Pewien jest, że zostanie przychylnie przyjęty. Czy która może nie ulec jego czarowi?

Po kilku minutach podchodzi do swojego stolika, bierze talerz i idzie szukać wazy z zupą. Z pustym talerzem zatrzymuje się przy dwóch stolikach, z pełnym – przy jednym, wreszcie wraca i jedząc rozgląda się i rzuca czarujące uśmiechy do znajomych kobiet.

–Nie krec łbem jak papuga, tylko jedz, co masz przed nosem. Nie rob z siebie błazna. Niech ci się nie zdaje, że taki jesteś czarodziej. Babcie śmieją się z ciebie i z twoich min.

Genek zjadł zupę i teraz trzeba poczekać na podanie drugiego dania. Przy jego stoliku nudno, nie ma młodych kobiet, więc Genek tasuje się do innego stolika. Gdy przynioszą jedzenie, wraca, by znowu po skończonym posiłku przysiąść tam, gdzie jeszcze jedzą, o ile tam siedzi choć jedna kobieta. I tak wciąż, aż do znudzenia.

–Słuchaj – mówię do Genka – jeśli jesteś taki bohater na babki, wyszukaj sobie

jedna, dojdź z nią do porozumienia, ale nie wyglupiaj się i nie zachowuj się tak, jakbyś był jedynym mężczyzną w sanatorium.

–Nie mogę – odpowiada Genek. – Mnie naprawdę podobają się wszystkie!

Genek nie potrafił być inny.

Inny typ podskakiwacza to taki, który po zawarciu znajomości z kobietą mówi: "Mam niedobra żonę". I opowiada, jaka ta jego żona jest megiera i zgaga. Już zdecydował, że po powrocie przeprowadzi formalny rozwód, bo faktycznie to on już dwa lata z żoną nie żyje. Są takie głupie, co w to wierzą... A "podskakaniec" wychodzi z sanatorium i wraca do kochającej i kochanej żony i dzieci.

Bywa i tak, że kawaler asystuje pani, a początkowy flirt dla sportu i dla zabicia wolnego czasu kończy się... małżeństwem.

Często małżeństwem kończy się flirt pacjenta z pielęgniarką. W regulaminie "stoi" napisane, że pracownikom nie wolno zawierac bliższych, osobistych znajomości z pacjentami. Życie jednak nie zawsze można wcisnąć w regulamin.

Gdy z naszego pokoju przeniesiono gdzieś indziej Kazia, na jego miejsce przyszedł nowy pacjent imieniem Rysio, z zawodu technik budowlany, lat dwadzieścia osiem. Od pierwszego dnia zdobył sympatie kolegów w pokoju. Przystojny, inteligentny, a przy tym skromny. Rysio nie mógł wieczorem spać, ja też. Siadaliśmy w końcu korytarza i paląc papierosy prowadziliśmy długie rozmowy. Rysio wcześniej stracił rodziców, więc od dziecka chował się u ciotek. Zameldowany był u jednej, a mieszkał u kilku. Wszedł po kilka dni i u każdej miał część swoich rzeczy. Nigdy nie zaznał rodzinnego ciepła. Nikt się nim nie opiekował. Wiele razy było tak, że głodny chodził spać, gdy późno wrócił do którejś ciotki na nocleg. Rysio miał powodzenie. Wiele młodych i ładnych kobiet kokietowało go. Ale jego "te rzeczy" nie interesowały. Wreszcie znalazła się jedna uparta pielęgniarka z naszego oddziału. Chodziła koło niego jak niania. Jeśli Rysio wyszedł na korytarz ta zjawiała się natychmiast, bawiła rozmową, prawiała komplementy. Po takiej rozmowie Rysio mówił do mnie:

–Znowu mnie zapraszała. Mówi, że ma w domu dobre wino i ciasteczka... – A ty co na to?

–Sklamalem, że nie mogę się angażować w takie historie, bo mam narzeczoną, którą kocham, i wkrótce mamy się pobrać. Wiesz, co mi odpowiedziała? Że to jej nie przeszkadza, ona nie ma zamiaru rozbijać mojego narzeczeństwa. I wiesz, co mi jeszcze powiedziała? – powiedział z zazenowaniem. – Że jak przyjdzie, to na pewno nie będę żałował: Powiedz, jak się od niej odczepić?

–Dlaczego masz się odczepić?

–A co będzie, jak pojde, a później ona przyczepi się do mnie? – No, to ja odczepisz.

–Ale ona mi się nie podoba. – To już inna sprawa!

Na korytarzu zadzwonił telefon. Podniosła słowka i po chwili:

–Panie Rysiu, telefon do pana.

Gdy wrócił od telefonu, popatrzył na mnie, uśmiechnął się i wstydliwie powiedział: – Ona dzwoniła... ale nie pojde.

–Wyszukaj sobie jaką babkę, która ci się podoba,– radziłem po przyjacielsku.

–Ja nie chcę tak... tylko dla rozrywki. Jeśli, to tylko wtedy, gdy mam względem kobiety poważne zamiary. Jest tu jedna taka babka, która mi się podoba – dodał po chwili – ale to pracownica. Z tą bym się chętnie zapoznał. – Która?

Określił, jak wygląda i gdzie pracuje.

–Wiem, Hania,– zwołałem. – To moja koleżanka, mogę was zapoznać ze sobą.

Po kilku dniach Rysio znowu zapytał o Hanię.

–Dowiem się, kiedy będzie jechała do Warszawy. Tego dnia poproszę o przepustkę, ty też – i pojedziemy razem. Niby przypadkowo. W Warszawie zaproponuję kawiarnię, po pewnym czasie, jak się poznacie lepiej, ja "urwę" się do domu, a ty dalej będziesz musiał radzić sobie sam. Obawiam się tylko, że jak mnie nie będzie, to ty nic nie będziesz mówił, tylko będziesz patrzył na nią jak zaba na piorun.

Tego samego dnia zapytałem Hanię, kiedy wybiera się do Warszawy. – Jutro, bo mam załatwić jedną sprawę.

–Kiedy jedziesz? – Po pracy.

–To jedźmy razem – zaproponowałem. – Jutro mam dostać przepustkę. Zawiozę cię na dworzec "taryfa", będziesz miała cztery kilometry oszczędności w nogach.

–Dobrze – zgodziła się Hania – tylko zawiadom mnie, kiedy będzie zamówiona taksówka, wtedy pierwsza wyjde przed bramę.

Następnego dnia spotkaliśmy się wszyscy przed bramą. Zapoznałem Rysia z Hanią, informując, że on też jedzie do Warszawy. W pociągu doszliśmy do porozumienia i prosto z dworca pojechalismy do kawiarni. Hania wymawiała się brakiem czasu, ale od czego dobry "bajer".

Po godzinie pożegnałem się z nimi, twierdząc, że muszę pomieszkać kilka godzin w

domu, a Rysio podjal sie towarzyszyz Hani w zalatwieniu jej spraw.

Polubili sie wzajemnie i teraz spotykali sie juz i sami. Niedlugo Rysio zaprosil mnie do miasta na kawe. W kawiarni juz czekala Hania. W czasie powaznej rozmowy zadalem znieacka pytanie:

–Kiedy sie zenicie?

Hania rozesmiala sie glosno, a Rysio wstydliwie spuscil oczy i wykrztusil: – Ja to bym chcial nawet zaraz, ale nie wiem, jak ona...

–Co ty, Haniu, na to?

–A ciebie co to obchodzi? – usmiechnela sie Hania. – Czy przy tobie musze o tych sprawach rozmawiac?

–Masz racje. Wobec tego ja uciekam, a ty, Rysiu, powiesz mi wieczorem, na kiedy ustaliliscie termin slubu.

Ustalili. Nie tylko termin slubu, ale takze ile gosci, kto bedzie na weselu i kto bedzie swiadkiem na slubie: Jednym swiadkiem bede ja, drugim – kolezanka Hani.

Wkrotce opuscilem sanatorium, a Rysio zaraz po mnie zakonczyl kuracje.

Rychlo otrzymalem oficjalne zaproszenie na slub. Byl to najdziwniejszy slub, a my najdziwniejsi swiadkowie. Juz zjechali sie zaproszeni goscie, rodziny, koledzy i kolezanki mlodych. Przyjechal zamowiony samochod, ktorym mlodzi ze swiadkami pojechali do Urzedu Stanu Cywilnego.

–Niech pan podjedzie pod kawiarnie – polecil Rysio, gdy juz dojechalismy do miasta.

Gdy spojrzalem na niego zdziwiony, odpowiedzial, ze jest jeszcze troche czasu, a on musi z nami spokojnie porozmawiac.

–Slubu dzisiaj nie bedzie – powiedzial, gdy usiedlismy przy stoliku. – Ciotka tak mnie urzadzila. Nie przyslala mojej metryki urodzenia. Rodzina jest przeciwko mojemu malzenstwu. Nalezy mi sie po rodzicach troche majatku. Ciotki licza na to, ze ja niedlugo umre, a moja czesc one zagarna. A jak sie ozenie, to beda mialy wspolnika. Jutro jeszcze bedzie u nas rodzina, wiec dopiero pojutrze pojade po metryke. Wroce w srode, a we czwartek robimy normalny slub. Tylko rodzina nie ma prawa o tym wiedziec. Goscie sa, zastawione stoly sa, tylko metryki zabraklo.

Po wypiciu kawy wrocilismy do domu. Rodzina, placzac, skladala zyczenia "na nowej drodze zycia". Nastapily toasty. Wszyscy bawili sie, a tylko cztery osoby

wiedziały o tym, że ślubu nie było.

We czwartek odbył się formalny ślub i małe przyjęcie dla czterech osób – dla "młodych" i świadków ślubu.

Po kilku miesiącach w zdrowiu Rysia nastąpiło pogorszenie. Przerwał pracę, przez pewien czas leżał w domu, później w sanatorium. Hania była dla niego wiernym przyjacielem i opiekunką. Rysio pierwszy raz od śmierci rodziców wiedział, że jest przy nim ktoś, kto się o niego troszczy i komu nie jest obojętny stan jego zdrowia.

Po dłuższym pobycie wypisany został z sanatorium, z poprawą zdrowia, lecz do pracy już nie wrócił. Poszedł na rentę inwalidzką.

Minęło kilka miesięcy. Rysio chorował na grype, po której znowu nastąpiło pogorszenie, lecz nie chciał iść na leczenie do sanatorium. Pewnego dnia wybrałem się do nich z wizytą. Rysio wyglądał blado

i uśmiechał się tylko, gdy Hania skarżyła się, że nie chce się leczyć. – . Nagadaj mu – prosiła – może cię posłucha.

Zaczęłam gadkę w poważnym tonie:

–Albo się lecz, albo umieraj prędzej, bo kobiecie w lata wpędzasz. Nie śmiej się, tylko słuchaj, co ci mówię. Jak nie będziesz się leczył, to będziesz klops nie chłop, a kobieta młoda potrzebuje chłopca.

Po tygodniu dzwoni Hania i zawiadamia, że Rysio wczoraj zmarł.

–Jak to się stało? – pytam i poczułem się głupio, bo pomyślałem o naszej rozmowie.

–Krwotok. Jak przyszedłam z pracy, już nie żył, a był sam w mieszkaniu. Nie było nikogo, kto by dał pierwszą pomoc lub wezwał pogotowie. Jutro pogrzeb. Przyjedź.

Długi czas unikałam Hani. Bałam się spotkania z nią, z obawy, że z żalu po stracie męża może przywiązywać wagę do głupich słów, które w żartach wypowiedziałam.

Moja sytuacja, już się wyjaśniła. Wkrótce wypis do domu. Płuco się rozpreżyło i... ukazała się dziura w płucu. Dawna, stara. Operacja i wszystkie z nią związane "przyjemności" nie spełniły pokładanych nadziei. W fachowym lekarskim języku mówi się: "Operacja nieskuteczna".

Od tego czasu "ciotka", gdy się spotkamy, a jeszcze ktoś jest z nami, pokazując na mnie, mówi:

–Oto jeden z moich nielicznych nieudanych przypadkow...

Mysle wtedy, ze to nie jej, a moj nieudany przypadek. Gdybym zgodzil sie na zabieg wtedy, gdy mi pierwszy raz proponowano, kiedy dziura byla swieza i mala – wynik pewno bylby inny.

Na kilka dni przed moim wypisem przybyl do pokoju nowy pacjent w ciezkim stanie.

–Marian – tak mial na imie nowy lokator – to nowa stronica tragedii ludzkiej. Byl spokojny i cichy. z lozka wychodzil tylko wtedy, gdy musial. Wystarczylo, ze chodzil dziesiec minut po pokoju, juz mial podwyzszona temperature. Marian ma chyba wszystkie mozliwe schorzenia pluc; marskosc, zgrubienie oplucnej, nieruchoma przepona, dziury w plucach, przetoka oskrzelowa i przetoka zewnetrzna z zalaczonym na stale drenem.

Szybko znalazlem z Marianem wspolny jezyk. Obaj mielismy za soba lata przezyte w obozach koncentracyjnych. Marian, aresztowany w pierwszych dniach wojny, przesiedzial w Sachsenhausen do 1945 roku. Historia jego zycia jest krotka, lecz tresciwa. Gdy go Niemcy aresztowali, brakowalo mu kilka miesiecy do ukonczenia siedemnastu lat. W obozie przesiedzial prawie szesc lat. Jednym z pierwszych transportow wrocil do kraju i wstapil do podchorazowki; ukonczył ja w stopniu podporucznika i objal sluzbe w jednostce wojskowej. Wkrotce zachorowal na gruźlicę. Wojsko wykazalo, ze Marian wstapil do podchorazowki z początkowymi objawami gruźlicy, dlatego nie otrzymal odszkodowania, tylko niewielka rente. Po dlugim pobycie w sanatorium zostal zdemobilizowany i natychmiast stanal do pracy w charakterze magazyniera. Nie mial przeciez zadnego wyuczzonego zawodu. Pracowal dwa miesiace, gdy nastapilo pogorszenie stanu zdrowia. Po czterech miesiacach chorowania zostal zwolniony z pracy "z powodu choroby trwajacej dluzej niz trzy miesiace". Tak w owym czasie glosil odpowiedni paragraf przepisow panstwowych. Marian wiecej do pracy nie wrocil. Zycie dzielil miedzy dom i sanatorium. Jak pol roku w domu – to osiem miesiecy w sanatorium. Jak cztery miesiace w domu – to znow kilka miesiecy w szpitalu i tak bez przerwy do chwili obecnej. Ozenil sie po ukonczeniu podchorazowki. Marian twierdzi, ze tylko zona jest przyjacielem, ktory go nie opuszcza przez caly czas choroby. Nie ma kolegow, nie ma przyjaciol, nie ma rodziny. Wszyscy odsuneli sie lub zapomnieli o nim.

–Mam dobrze sytuowanych braci – mowil Marian do mnie. – Wiesz, jak mi pomogli? Radzili, zeby na lato wynajal sie do chlopa na wies krowy pasc. – "Bedziesz mial czyste powietrze, nabial – mowili – to przedej odzyskasz zdrowie". Od tej chwili nie znamy sie. Przychodzi do nas prawie codziennie kolega zony. Razem chodzili do szkoly. Gdy leze w szpitalu – razem mnie odwiedzaja. Dobry chlopak... przeciez ja juz tyle lat choruje... dbaja o mnie... zona naprawde jest oddanym mi przyjacielem. Wiesz, jak pomysle, to mam juz tego wszystkiego dosyc. Chyba trzeba bedzie z tym skonczyc... Gdybym wiedzial, ze doczekam czasu, gdy wynajda lek, ktory mi

pomoze... ale ja juz jestem w takim stanie, ze nawet cudowny lek nie bedzie w stanie przywrocic mi zdrowia. Gdyby taki lek wynaleziono, w najlepszym przypadku utrzymalbym sie w obecnym stanie, a w takim stanie to juz nie jest zycie.

Innego dnia Marian poruszył w rozmowie nowy temat:

–Dostaje piecset złotych renty inwalidzkiej. Wiesz dlaczego? Bo nie mam ustawowo przewidzianych lat pracy. A kiedy ja miałem pracować? Zrobilem mature i wybuchła wojna. Po miesiącu już byłem aresztowany i siedziałem całą wojnę w obozach koncentracyjnych. Do kraju wróciłem w lipcu 1945 roku i z miejsca wstąpiłem do podchorążówki. Później wojsko, choroba i demobilizacja, a po dwóch tygodniach już pracowałem. Z choroba zaliczono mi pół roku pracy, bo okresu w wojsku mi nie zaliczono. Tak mówią ustawy i tak musi być. Pracy w obozie koncentracyjnym też nie wlicza się do renty. Wyszło na to, że całe życie byłem pasożytem. Nie miałbym zalu, gdybym w czasie wojny i po wojnie trudnił się handlem, kombinatorstwem, waluciarstwem...

Piecset złotych miesięcznie – mówił z ironią. Na co to i za co to. Chyba życie swoje przeżyłem uczciwie. A więc za co ta kara? "Nie pracowałeś mówią – więc tylko tyle ci się należy". Ja nie chcę wysokiej renty – mówił Marian – niech mi dadzą taką, jaka może otrzymać urzędnik średniej kategorii. Niech dadzą osiemset – dziewięćset złotych miesięcznie, tak jak powinni dać człowiekowi, który przez całe życie uczciwie żył, pracował. Mam przetoki i dreny. Do tego potrzebuje duże ilości materiałów opatrunkowych. I tu znowu wtrąca się ustawa: "Materiałów opatrunkowych nie wydaje się na recepty lekarskie". Muszę kupować sam, z mojej renty. Zirykowało mnie to i napisałem do prasy. Napisałem między innymi: "Piszecie wciąż o dalszych, kolejnych ofiarach bomby atomowej na Hirosimie, ale słowa nigdy nie napiszecie o dalszych, kolejnych ofiarach hitlerowskich obozów koncentracyjnych". To ich poruszyło. Przyjechało do mnie trzech. Cała komisja. Jeden z prasy, drugi z Rady Narodowej, trzeci z Wydziału Zdrowia. Naradzili się i przyznali mi pewną ilość materiałów opatrunkowych miesięcznie – bezpłatnie. Przydział nie pokrywa zapotrzebowania, ale to już jest duża ulga w moim rentowym budżecie.

–Tak, to nie jest wesola sytuacja-powiedziałem, gdy Marian skończył i- swoje zale – ale jeśli się dobrze zastanowić... to kto tu jest właściwie winien? – Kto winien? Na pewno nie ja! – odpowiedział z gniewem.

–Wiem kto?

Kto winien?

Przy tym pytaniu pomyślałem o wielu ludziach, z którymi mnie los zetknął w sanatorium. Pomyślałem o "majorze", Antosiu, "Sierotce Marysi", Ewie, Mietku, Stasiu – "Niemowie" – i znowu nasunęło się pytanie: Kto winien?

8 "PSYCHOTERAPIA"

Szaleje epidemia grypy, która w tym roku jest wyjątkowo złośliwa. Ale jak się jej ustrzec? Codziennie trzeba iść do pracy, stykać się z ludźmi chorymi na grypę. Żaden lekarz nie da zwolnienia z pracy człowiekowi choremu na gruźlicę tylko dlatego, że ten się boi grypy!

Grypa to często rozbudzenie procesu gruźliczego u człowieka zaleczonego. Grypa – to w wielu przypadkach nowe zmiany chorobowe, a nawet przesiadka na "drugi świat" w przyspieszonym tempie. Można wystrzegac się zaziębien, zapalenia płuc, lecz jak ustrzec się grypy?

Istnieje jednak jeszcze ludzki rozsadek! Tym razem zabrakło mi rozsądku.

"Złapałem" temperaturę. Trzy dni leżenia w łóżku i temperatura minęła. A więc jestem zdrowy i – zamiast do lekarza po dalsze zwolnienie, które bym na pewno otrzymał, poszedłem do pracy. Po dwóch dniach znowu temperatura, wysoka, z utratą przytomności. Następne cztery dni już mniejsza, jeszcze tydzień leżenia w łóżku i... czuje się źle. Po dwóch tygodniach przeswietlenie. Diagnoza: Rozwalilo dziurę w płucu i są jakieś nowe zmiany. W poradni wystawiono wniosek i wkrótce jechałem na "stare smiecie" – do Otwocka.

Na terenie sanatorium, zanim doszedłem do pawilonu, przypadkowo spotkałem pracownicy witali mnie jak dobrego znajomego. Spotkałem też kilku znajomych z poprzednich pobytów. Zawodowi pacjenci. Po załatwieniu formalności w kancelarii poszedłem na oddział.

Oddziałowa, stara znajoma, przywitała mnie żartobliwie:

–Kogo nam tu przysłali? To już nie mogli dać pana na inny oddział? – Mogli, ale nie chciałem. Powiedziałem w kancelarii, że mogę iść tylko na pani oddział albo wracam do domu. Czy może być gdzieś lepiej niż u pani? Wiem już co można, a czego nie można. Wiem, że pani dużo krzyczy, ale nie skarży lekarzom, a najważniejsze to, że pani mnie ciut-ciut lubi. Może nie?

–No, już dobrze, niech pan zostanie. Ale do którego pokoju ja pana dam? Gdyby pan przyjechał wcześniej – było miejsce w pokoju dwuosobowym, ale ten – pokazała przechodzącego mężczyznę – prosił ordynatora o przeniesienie z dużego pokoju.

–Bolek, stary, zajales moje miejsce! – powiedziałem, gdy podszedł, żeby się przywitać.

–To wy się znacie? – zapytała oddziałowa.

–Musowo – odpowiedział Bolek. – Jesteśmy z jednej parafii – Czerniaków. Miałem w pobliżu sklep z mięsem.

–To pogadajcie sobie, a ja za chwile przyjde – powiedziała oddziałowa i weszła do dyżurki.

–Co teraz robisz? – zapytałem.

–Teraz to choruje i leczy się, a jak wyjde, wydzierzawie od państwa ze dwiescie metrow szosy w dobrym punkcie i... wiesz, jak jest: "Oddaj, frajer, forse, bo zgubisz; a tam dalej stoi drugi, gorszy, może uderzyć".

–Dlaczego?

–Jak to dlaczego? – zdziwił się Bolek. – Całe życie byłem rzeźnikiem, teraz mi nie pozwolą pracować przy mięsie, a za stary jestem, żeby zmieniać zawód. Nie mam dzieci, żeby dały jeszcze. Więc co mam robić?

–Jestes stary nygus, to dasz sobie radę.

–Musowo, przecież z głodu nie zdechne, wyrabiam rentę inwalidzka. Dalsza rozmowa przerywała oddziałowa.

Wszedłem z walizką do pokoju.

–Cześć, panowie wczasowicze!!! – zawolałem od progu, – Leża w tym pokoju chorzy? Jeśli tak, to ja wysiadam.

–Nie błażnij, przywitaj się – z zadowoleniem zawołał jeden, który schylony szukał czegoś w szafce i teraz podniósł się, żeby zobaczyć, kto to tak się przedstawia.

–Jak się masz, Jurek! – zawołałem. – Znow leżysz?

–Nie znow, tylko jeszcze. Jak widzisz. Już przeszło rok i... coraz gorzej.. Już tylko skóra i kości.

–Nie przejmuj się. Teraz już lekarze nie pozwalają tak szybko umierać. A ty, jeśli się gorzej nie rozchorujesz, to będzie ci ciężko umrzeć. Trzymaj się. Kichaj na gruźlicę, gruntu to serce i charakter. A teraz zapoznaj mnie z kolegami...

–Adam – przedstawił się "lobuz" leżący na trzecim łóżku. – Wladek. – Antos. – Genek. – Janek – przedstawiali się kolejno.

–Wczoraj mówiłem chłopakom o tobie, że przyjeżdża tu jeden taki, przy którym nigdy nie może być smutno i nudno – powiada Jurek.

Tym razem wszedłem w nowe otoczenie z miejsca, bez okresu obserwacji, której dokonują starzy kuracjusze, zanim ustala swój stosunek do nowego.

Ponieważ wszyscy "lokatorzy" przebywali już dłuższy czas w sanatorium i mówili sobie po imieniu, więc bez żadnych wstępów powiedziałem, że włączam się do tego.

–A teraz, chłopaki, druga ważna sprawa. Każda drake, każde wykroczenie czy też nieporozumienie będziemy rozsądzać sami i każdy musi się podporządkować decyzji większości. Zgoda?

–Zgoda! – odpowiedzieli chłopaki z zapalem.

Przerwalismy rozmowę, bo weszła, salowa, żeby zrobić poranne porządki. – Czyje to paczki leżą na oknie? – zawołała podniesionym głosem. – Zabrac to stąd! Wiecie, że na oknie nic nie ma prawa leżeć.

–A gdzie mamy trzymać jedzenie? – pyta Janek. – W szafce się nie mieści, a w pokoju gorąco, wedlina szybko się psuje. Wszędzie trzymają na oknach.

–Nic mnie nie obchodzi, gdzie będziecie trzymać, ale na oknie nie wolno!

Sluchałem krzyku salowej, tłumaczeń kolegów i wzbierała we mnie złość. Wreszcie nie wytrzymałem i mimo że nic mojego na oknie nie leżało, zapytałem spokojnie:

–Czy pani się przypadkiem nie zapomina? Pani jest do robienia porządków, a nie do krzyczenia na chorych. Wszyscy by tylko chcieli krzyczeć i rządzić..

Salowa wyszła, a po chwili wróciła z oddziałową. – Co się tu dzieje? – zapytała oddziałową.

–Nic – odpowiedziałem lakonicznie. – Jak pani widzi, wszyscy grzecznie leżymy i leczymy się świeżym powietrzem.

–Dopiero pan przyjechał i już się zaczyna.

–Co się zaczyna? Nie lubię, jak na mnie krzyczą i zawsze jestem gotowy odplacić taką samą miarką, a mimo to tym razem ja właśnie byłem grzeczny.

–Ale te paczki moglibyście pochować. Przecież to wygląda bardzo nieestetycznie.

–Chłopaki, chowamy paczki – krzyknąłem. – Oddziałowa prosi. Wskoczyłem z łózka, moje łóżko stało tuż przy oknie, i biorąc paczki zapytywałem, do kogo co należy.

–Poledwica. Czyja? – Moja! – wola Jurek. – Zabieraj.

–Czyj ser?

–Moj! – wola Genek.

–Wyrzuc, bo juz zalatuje. – Czyj baleron?

–Dawaj! – wola Wladek. – Ale ja nie mam go gdzie polozyc. – Dawaj nam! Zjemy! – wola Adam.

–To podzielcie sie. Kto chce, niech "rabie".

Baleron, pokrojony na kawalki, natychmiast zostal zjedzony.

–A teraz oznajmiam – powiedzialem, gdy juz nic nie bylo na oknie – ze zarcie, ktore bedzie lezalo na oknie lub na ogolnym stole, jest dla wszystkich. Kto bedzie chcial dac do jedzenia dla ogolu, niech polozy na stole lub na oknie. Jesli ktory przez zapomnienie zostawi cos na stole, niech nie ma pretensji, jesli inni to zjedza.

Nastepnego dnia juz bylo wesolo. Na stole lezala poledwica. Kazdy oderznal dla siebie spory kawalek, gdy Jurek wrzasnal:

–O rany! Moja poledwica. Chlopaki, zostawcie chociaz kawalek dla mnie. Nie zjadajcie wszystkiego. Zapomnialem...

–Wstan i wez sobie – zakpil Wladek. – Jak teraz ci zjemy, to nastepnym razem nie zapomnisz po jedzeniu sprzatnac.

Niejeden raz jedlismy dobre rzeczy, ktore ktos z nas przez zapomnienie zostawil na stole, ale odbywalo sie to zawsze z humorem i na wesolo.

W czwartek wyjechali do domu Antos i Janek.

Zobaczymy, kogo teraz umieszcza w naszym pokoju. Zeby tylko nie starych przykow, co to potrafi zatruc atmosfere swoja choroba i wymaganiami.

Co kilka minut ktos wychodzil na korytarz, zeby zobaczyc, czy przyszli nowi, zeby dobrac odpowiednich dla nas kolegow.

Gdy z rozpoznania wrocil Adam, powiedzial, ze na korytarzu czeka jakis nowy.

Wyszedlem i... spotkalem Bronka, ktorego dobrze znalem, bo juz trzy razy bylismy razem w sanatorium.

–Chodz do nas – namawialem Bronka – taaaka ferajna.

–Oddzialowo kochana – zwrocilem sie z usmiechem do oddzialowej, ktora wyszla z

dyzurki – niech pani go da do nas.

–Zebyscie jeszcze bardziej rozrabiali?

–Nie bedziemy rozrabiali. – Bedzie tylko wesoło na oddziale, bo w niedziele wyskoczmy do Warszawy po "graty". Bronek przywiezie swój akordeon, a ja swoje "drewno", czyli bandzole.

–No dobrze, niech idzie do was – zdecydowała oddziałowa – tylko zeby był spokoj.

–Bedzie spokoj, tylko nasz pokoj ma prosbe do pani. Jest u nas jeszcze jedno wolne lozko, prosimy o rownego chlopaka.

–Nie wiem, kto jeszcze przyjdzie na oddzial – odpowiedziala oddzialowa – ale postaram sie przydzielic wam kogos odpowiedniego.

Dopiero o godzinie trzeciej przyszedl nowy pacjent, ktoremu przydzielono lozko tuz obok mnie. Nie robiac halasu rozpakowal walizke, drobne rzeczy umiescil w szafce, a widzac, ze nie spie, zapytal, do ktorej szafy ma wlozyc swoje ubranie. Odpowiedzialem i dalej obserwuje.

"Rowny czy metniak? – zastanawiam sie w mysli. Porusza sie na pewniaka, a wiec nie pierwszy raz w sanatorium. Zobaczmy..."

Bronek to swój chłop. Kelner. Po operacji otrzymał zezwolenie na dalsze wykonywanie swojego zawodu. Teraz przyjechał profilaktycznie, odpocząć i podciągnąć zdrowie. Gra niezłe na akordeonie.

Wreszcie koniec ciszy. Chlopaki wstaja i witaja sie z nowym, stwarzajac atmosfere serdecznosci.

Co robicie wieczorami? – zapytal nowy.

–Co kto chce – odpowiedzialem. – Jedni graja w karty w swietlicy, inni ogladaj telewizje, kto ma "babke", idzie na "Meran" w krzaki albo spaceruja po parku. Dwa razy w tygodniu kino. Biblioteka, sluchawki radiowe i... nudy.

–A moze wyskoczmy do Otwocka na kawe? – zaproponowal nowy. "Dobry jestes – pomyslam – wychodzac bez przepustki mozna wpasc na kogos z personelu i jutro draka murowana, ale jak ty taki, to ja tez nie gorszy". Wiec glosno odpowiadam:

–Mozemy.

–Na kolacje wrocimy?

–Nie zdazymy. Zostawmy kartki kolacyjne, to chlopaki odbiora i przyniosa do

pokoju – i zwracając się do wszystkich zapytałem:

–Kto przyniesie kolację?

–Jeden numerek ja biore – odezwał się Adam.

–To ja biore drugi – rzekł Genek i odebrał numerek od nowego.

W kawiarni zaproponowałem, żeby mówić sobie po imieniu. Po co gimnastykować się z "panem", jeśli i tak po kilku dniach będziemy się "tykać".

–Mozemy, Jacek mam na imię – odpowiedział krótko. – Wypijmy na to konto po kieliszku wina.

–Po co? – zapytałem. – Ja nie pije, a ty?

–Ja też nie, ale przy takiej okazji kieliszek mogłbym wypić.

–Nie warto. Wystarczy kawa.

–Czy chłopaki z naszego pokoju piją? – zapytał Jacek.

–Nie. Patrz, jak się ciekawie dobraćaliśmy. Kupa równych chłopaków, a żaden nie pije. Adam mówi, że bardzo pił, ale już od pół roku, to znaczy przez cały okres pobytu w sanatorium, nie wypił kropli alkoholu. Bronek, w ten, co przyszedł dzisiaj, chyba pije, ale przy nas też pic nie będzie. Nie pozwolimy. Patrz, Jacek, tam pod ścianą siedzą pielęgniarki. Już mnie poznały. Żeby która jutro nie wypaplała naszej oddziałowej.

–Nie przyznamy się – odpowiedział Jacek – powiemy, że im się przywidziało, a chłopaki stwierdza, że przez cały wieczór nie wychodziliśmy z pokoju.

Następnego dnia znowu wybraliśmy się do kawiarni i tak było aż do niedzieli.

–Robimy jutro skok do Warszawy? – zapytałem Jacka w sobotę. – Mozemy.

–To wrywamy przed śniadaniem, jak tylko ranna zmiana przyjdzie do pracy. Pewność, że nikogo po drodze nie spotkamy.

Jadąc do Warszawy uzgodniliśmy, którym pociągiem wracamy. O godzinie dziewiątej wieczór już byliśmy u siebie w pokoju. Po chwili przyszedł Genek. Okazało się, że też był w Warszawie. Po kilku minutach wchodzi do pokoju Bronek taszcząc akordeon. Genek przywiozł szarotkę, a ja swoje bandzo:

–Bronek! Gramy! – zawolałem i już po chwili pokój rozbrzmiewał wesołymi melodiami i śpiewem.

Do pokoju przyszło kilkanastu osób z innych sal, by posłuchać muzyki. Adam skoczył do kolegi na górę i po kilku minutach wrócił z gitarą. Teraz już gramy we trzech. Inni śpiewają z nami. Wesoło, humor, muzyka i śpiew; przerwałam na polecenie pielęgniarki, która, zawiadomiła oficjalnie, że "już późno i czas spać!"

W rozmowie z Jackiem doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu codzienne chodzenie na kawę do Otwocka. Będziemy kupowali kawę i pili w pokoju. Taniej i bezpieczniej.

W następną niedzielę przywieźliśmy z Warszawy młynki i elektryczne grzałki. Oddziałowa zaproponowała mi przeniesienie się do pokoju dwuosobowego.

–Dziękuję, nie tancze – odpowiedziałem. – Co ja pani zrobiłem złego, że tak mnie pani chce ukarać? Wiem, że Bolek wyjechał karnie za pijanstwo, ale ja tam wcale nie chce iść. "Tryfne" łozko. Już kolejno drugi z tego łozka wyjeżdża karnie, a ja chce i muszę się leczyć. Dziękuję, ale z wyróżnienia nie skorzystam..

Bolek długi czas nie pił wcale. Tego dnia poprosił doktora o przepustkę do fryzjera. Poszedł i wrócił późno, pijany w sztok. Po powrocie narozrabiał. Straszyl swojego ciężko chorego współlokatora. Wroził mu szybka śmierć, "widział" ducha krazącego nad łozkiem, wydawał z siebie grobowy głos. Wystraszył faceta tak, że ten dostał ataku nerwowego, zadzwonił po lekarza i Bolek wpadł. Na drugi dzień wyjechał karnie i właśnie to miejsce po nim proponowała mi oddziałowa.

Odmówiłem. Nie chciałem miejsca z widokiem na jednego i w dodatku ciężko chorego człowieka. W naszym pokoju był humor. Towarzystwo zgrane, bez kłotni i zatargów. I ja miałbym się przenieść do innego pokoju? Nigdy.

Rozpocząłem kurację: streptomycyna, cykloseryna i Th-13-14. Wszystko antybiotyki o silnym działaniu. Jestem bez przerwy "podminowany" i każdej chwili grozi "wybuch", który jednak nie następuje, a to z tej przyczyny, że atmosfera w naszym pokoju nie stwarza warunków do tego, a przeciwnie, działa uspokajająco. W tym klimacie nie mam czasu myśleć o swoim stanie zdrowia. Tu panuje humor i wzajemna serdeczność.

W stołówce siedzimy we czterech przy jednym stoliku: Adam, Jacek, Wanka i ja.

Adamowi w ostatnim czasie poprawił się apetyt. Może dużo jeść, przybiera na wadze, a doktor twierdzi, że w stanie jego zdrowia następuje szybka poprawa. Na obiad zjada trzy talerze zupy, do tego kilka kromek chleba, drugie danie i kompot. Śmiejemy się z niego i namawiamy, żeby jeszcze jadł. W pokoju chłopaki dają mu swoje produkty, a on zjada wszystko i wola, żeby mu dać jeszcze, bo jest głodny. To dobrze, bo do normalnej wagi brak mu jeszcze kilku kilogramów, które przy takim jedzeniu szybko wyrowna.

W pokoju nastąpiły zmiany. Wyjechał Wladek i Wanka. Od jutra już "wszyscy będą chodzili jeszcze do stolowki. Jurek jako ostatni z naszej grupy dostał od doktora zezwolenie na jadać posiłki w stolowce. Cieszy się z tego, bo to mówi o poprawie zdrowia. Dotychczas, przez rok, był "stanem ciężkim" w ścisłym łóżku. Obecnie nastąpił koniec ścisłego łóżka i już będzie mógł chodzić na spacer. W stolowce Jurek zajął miejsce przy naszym stoliku – po Wance.

Dwa łóżka wolne, więc znów zmartwienie, kogo wyznacza do naszego pokoju. Umówiliśmy się, że jeśli trafi nieodpowiedni, to tak urządzimy, że szybko sam poprosi ordynatora o przeniesienie do innego pokoju.

–Wiecie, co zrobimy? Przez dzisiejszy dzień będziemy odstawić "sztywniaków". Dobierzemy sobie tytuły i wszyscy do siebie mówimy oficjalnie "proszę pana". Zgadza się? – zapytałem.

–Zgadza się! – odpowiedzieli, zadowoleni z propozycji.

–Ty, Jurek, jaki wybierzesz tytuł? Jesteś technikiem, więc awansujemy cię na inżyniera.

–Jacek też technik – mówię – ale dwóch inżynierów to za dużo. Ty bądź "panem mecenasem".

–Jak ochrzczymy Genka? Genek jest z zawodu ślusarzem narzędziowym, ale ma postawę burżuazji. Genek będzie "prezesem spółdzielni" -zapropozował Jacek. – Zgoda?

–Zgoda. Najstarszy, siwy, dystyngowany. Na "prezesa" się nadaje.

–Ty co sobie obierasz? – zapytałem Bronka.

Czort wie, już nic nie zostało.

–Brak jeszcze doktora. Więc bądź "panem doktorem". – A ty? – zapytali mnie koledzy. – Bądź "dyrektorem".

–Nie chce. Mam lepszy pomysł. W każdej większej grupie powinien być jeden głupi. Ja będę tym głupim. Wiecie, jak to jest: Czyszczyć innym buty, posłać łóżka, przynieść wodę do zaparzenia kawy, podłali kwiatki, to właśnie będę robił ja. Myślę, że odstawiając głupiego nie będę musiał nawet wiele udawać.

–I będziesz to robił? – wrzasnął Adam z zachwytem.

–Będzie, ale tylko do godziny dziesiątej wieczor. Wtedy koniec maskarady. Ale słuchaj, Adam, ty jeszcze nie masz tytułu.

–Adam najmłodszy, jaki dacie mu mądrego tytułu? – zastanawiali się wszyscy.

–Zrobimy go studentem politechniki – zaproponował Jurek. – Tylko nie odzywaj; bo możesz się skompromitować.

–A czy on wytrzyma tyle czasu bez przeklinania? – z powątpiewaniem powiedział Genek.

–Dobrze, będę "studentem" – zgodził się Adam – i nic nie będę gadał. Raz tylko się odezwę, wtedy, jak kazać mi posłać swoje łóżko – powiedział pokazując na mnie. – O rany! On mi łóżko posciele! Ale draka! – wołał z zachwytem.

Tego dnia doktor wygnał nas wszystkich na werandę, a w pokoju pozostał tylko Genek, któremu w czasie dnia robiono różne badania, więc gdy przyszli nowi, nas nie było w pokoju. Co pewien czas jeden z nas wychodził z werandy, żeby sprawdzić, czy już są nowi.

–Jeden już jest – powiedział Adam wracając na werandę. – "Kitajec", młody, z tym kłopotem mieć nie będziemy.

–Jest i drugi – informuje Jacek, który po godzinie poszedł i zajrzał do pokoju. – Niestary, może ma trzydzieści pięć lat i chyba nie pierwszy raz w sanatorium, bo porusza się z dużą pewnością siebie. Już go tam Genek egzaminuje.

Wkrótce z kocami i poduszkami wróciliśmy z werandy. Każdy utrzymuje powagę, tylko ja wciąż się śmieję, patrząc na ich sztuczne miny. Adam rzucił koce na łóżko i z trudnością powstrzymując śmiech wyszedł z pokoju.

–A ja się mogę śmiać! – powiedziałem nagle głośno.

Dla nie wtajemniczonego mogło to wyglądać głupio, jak mówią: "nie w piętę, nie w oko, tu za nisko, tam za wysoko", do niczego nie pasuje.

–Panie prezesie – zapytał grzecznie Jacek – napijemy się kawki? – To już może dopiero po kolacji, panie mecenasie?

–Ja mam ochotę teraz.

–A pan się napije; panie inżynierze?

–Owszem – odpowiedział Jurek. A zwracając się do mnie powiedział: – Skocz do łazienki, przyniesiesz trzy garnuszki wody i zaparzą nam kawę.

–Panie mecenasie – zapytałem z głupią miną – a dla siebie mogę przynieść wody?

–Dla ciebie szkoda kawy i tak się na niej nie znasz, ale niech już będzie, przynieś i

dla siebie. Tylko pospiesz się.

Złapałem cztery garnuszki i szybko pobiegłem do łazienki, a po chwili już wróciłem z wodą. Gdy kawa była zaparzona, "mecenas, inżynier i prezes" wiedli przy stole, a ja piłem swoją kawę siedząc na swoim łóżku.

–Patrz, pan Adam nie posłał łóżka – zwrócił się do mnie Genek.

–Zaraz poscielę, proszę pana, tylko może wpięć wypije kawę – powiedziałem.

Po wypiciu kawy posłałem Adamowi łóżko i dodatkowo jeszcze poprawiłem łóżko "prezesa", mówiąc, że nierówno rozłożył koce.

–A kwiatki na balkonie podlałeś? – zapytał Jurek. Nie, ale zaraz podleję.

Wypadłem z pokoju i po chwili wróciłem z wiadrzem wody.

Gdy nowy wyszedł z pokoju, wtedy wszyscy uśmiechali się do siebie, bo mogli się serdecznie śmiać z miny nowego, który obserwował nas w milczeniu i na pewno zastanawiał się, w jakie to wpadł "dretwe" towarzystwo.

Genek szybko informował nas, że nowy ma na imię Wacek, jest trzeci raz w sanatorium, mieszka w Skierniewicach, z zawodu krawiec.

–Mówiłem mu poważnie – powiedział Genek – że w naszym pokoju jest dobre towarzystwo, sami kulturalni ludzie. Nikt tu nie zaklnie, nikt nikomu złego słowa nie powie, tylko z jednym mamy trochę kłopotu, bo głupi. Ale nieszkodliwy. Łóżka nam sceilę, jak trzeba, to robi porządek w pokoju, a jak go poproszę, to nawet buty oczyści. Nie wolno go tylko zdenerwować, bo jak wpadnie w złość, to mógłby bić...

–Damy sobie chyba z nim radę – odpowiedział Genkowi nowy.

–Gdy wyszedł po wodę na kawę – mówił dalej Genek -zapytał mnie, który to jest ten głupi. "To pan nie zauważył?" – zapytałem. – "Chyba ten gruby". – "No widzi pan, przecież jemu wystarczy spojrzeć w oczy, już widac w nich wariata".

–A nie mówiłem wam, że ja nawet wiele nie muszę udawać – powiedziałem zadowolony, że ze mnie taki dobry wariat.

Po kolacji Adam z poważną miną podał mi swoje sztuczki prosząc, żebym mu je umył. Wziąłem bez słowa, wyszedłem z pokoju, a po chwili wróciłem i oddałem Adamowi. Ten popatrzył na sztuczki, a potem na mnie, lecz nic nie powiedział, że otrzymał... takie same brudne, jak dał.

"Kitajec" patrzył na nasze blaznowanie obojętnie. Nie orientował się w sytuacji i

uwazał ją za normalną. Tak nam później mówił.,

"Kitajec" to koreański student, studiujący w Warszawie. Na imię miał "Kim", a my nazywaliśmy go zdrobniale: "Kimek".

Po godzinie dziesiątej, gdy już zgaszono światła, Adam zwrócił się do mnie tonem rozkazu, żeby mu przynieść herbaty, która wieczorem, w bance, wystawiono na korytarz, przy kuchence.

–Przynies sobie sam – odpowiedziałem ostro. – Co ty sobie myślisz? zapytałem. – Jak długo można być głupim? Już po dziesiątej.

Adam przesłał mi "wiazankę".

Następnego dnia powiedzieliśmy Wackowi o wczorajszym kawale z tytułami i głupim. Najwięcej uciechy było z tego, że on tak szybko rozpoznał, który jest głupi.

Tego jednak wieczora Adam opowiadał nam-w swoim stylu-o "Bitwie pod Grunwaldem" i "Jurandzie wśród Krzyżaków". Miał dar opowiadania, lecz opowieści jego do niemożliwości przesycane były "laciną".

–Wiecie, chłopaki, co mam ochotę zrobić? – zapytałem, gdy Adam skończył opowiadać. – Gdy Adam zacznie coś opowiadać, włączyc magnetofon, ale tak, żeby on o tym nie wiedział. Przecież to byłby taki "folklor", niewiele ludzi miało możliwość usłyszeć coś podobnego. Wyobrazam sobie, jaka byłaby heca, gdyby taka taśma puszczona przez nasz radiowęzeł lub przez radio.

Adama poznaliśmy dobrze. Wyrosł w środowisku przestępczym. Mimo młodego wieku odsiedział już kilka lat w więzieniu. Ma kompleks niższości. Wydaje mu się, że otoczenie nim gardzi, że się wszyscy od niego odsuwają tylko dlatego, że siedział w więzieniu. Swoją urojona niższość stara się rekompensować sposobem bycia mówiącym: "Lepiej nie wchodźcie mi w drogę". Ostatnim wyrokiem skazany został na 7 lat więzienia. Pracował w kopalni, więc odsiedział tylko połowę kary. Wyrok otrzymał za młodzieńcza głupotę i brawurę.

A oto relacja Adama, z pominięciem "wyrazów obcych": "Wzięli mnie do wojska. Służyłem przy granicy. Po przysiedze przyjechalismy służbowo do Warszawy. Porucznik i dwóch szeregowych. Razem ze mną przyjechał Tadek – mój kumpel z Warszawy. Wiedzieliśmy, o której godzinie będzie wyjazd z powrotem. Mielismy dla siebie dwie godziny. Prosilismy porucznika, żeby nas puścił do domu, to od «starych» podłapiemy trochę forsy. Nie chciał nas puścić dlatego, że byliśmy pod bronią. Mielismy automaty i po dwa zapasowe bebnym z amunicją. Spojrzałem na Tadeka, Tadek na mnie i już się zrozumieliśmy. «Panie poruczniku, napijmy się piwa» - zaproponował Tadek. Gdy porucznik zajął się piwem, my dalismy «dyla» w bok i już nas nie było. Teraz w «taryfie» i szybko do domu. Po pół godzinie spotkalismy się na

rogu ulicy. «Ile masz?» -pytam Tadek. – «Tysiąc dwieście złotych». – «A ja ma dziewięćset złotych». – «To wstąpmy do knajpy, wypijemy po jednym». W knajpie wypiliśmy po trzy. Później zmieniliśmy knajpe. Jak nam się przypomniało, że mamy wracać do jednostki, już minęły cztery godziny. «I tak już mamy wyrok za dezercję, więc nie musimy się spieszyć» – mówi Tadek. W Warszawie pililiśmy dwa dni. Tadek zaproponował, żeby, jechac do województwa opolskiego, do kumpli. Pojechalismy. Tam pililiśmy trzy dni i już mielibyśmy wracać do jednostki, ale nastąpiły komplikacje. W czasie dnia po pijanemu, na rynku, strzelaliśmy z automatów do gołębi. Wieczorem przyszła po nas milicja i chcą nas brać. To Tadek łapie «szajbę» i kaze milicjantom uciekać. Tej nocy spaliliśmy u innego kumpla, a raniutko zasuujemy na stację. Po drodze zastawili nas «ormowcy» i jeden «głina». Oni wystawili na nas «szajby», a my na nich. Równy obok siebie idziemy wszyscy na stację. Pociąg stoi. Wykrecilem się raptownie i krzyczę «Stac!, Tadek, skacz do wagonu!» Tadek skoczył, opuścił szybę i mierzy z «szajby». Teraz ja skoczyłem i już mierzymy razem. Pociąg ruszył. My w jednym wagonie, a oni z przodu i z tyłu. Wystawili lufy przez okna i pilnują, żebyśmy nie uciekli. Pociąg dojeżdża do stacji. Gdy zwolnił, wyskoczyłem i schowałem się pod wagonem pociągu towarowego stojącego na drugim torze. Za mną wyskoczył Tadek i wtedy padły pierwsze strzały. Jak oni strzelają, to ja też pociagnąłem za spust. Poszła seria. Strzelałem w gore, bo przecież nie bede strzelał do ludzi, którzy pełnia swoją służbę, a do Tadek krzyknąłem: – «Odskakuj i zastaw». Tak jak mnie uczono w wojsku. Tadek odskoczył pięćdziesiąt metrów i teraz on strzela, a ja odskakuje za niego. Teraz ja strzelam, a on przesuwa się do tyłu i w ten sposób dotarliśmy do lasu".

Schwymano ich po dwóch miesiącach. Adam opowiadał wszystkie swoje przygody aż do chwili schwytania. Przemierzali piechota pol kraju. Wrocili do Warszawy, a gdy zamierzali wędrować dalej i siedzieli przy szosie pod Warszawa pijąc wódkę, chciał ich wylegitymować patrol MO. Uciekli, lecz zostali rozpoznani. Wojsko i MO zrobili obławę i zostali złapani. Później sąd i, wyrok: 7 lat więzienia.

Staramy się oddziaływać na Adama. Wyciągnąć go z kompleksu. Namawiamy, żeby zerwał z dotychczasowym środowiskiem. Rysujemy przed nim możliwości innego życia. Gdy się wyleczy, powinien iść do uczciwej pracy, wejść w inne środowisko; pozna jakąś uczciwą dziewczynę, może się jeszcze uczyć.

–Dajcie spokój – mówi Adam. – Każdy tylko potrafi mówić: "Zerwij, pracuj, żyj uczciwie", ale jak się spotkamy w innym miejscu, to będziecie wstydzili się znajomości ze mną. Raz już chciałem zerwać, ale "podkopał" taki jak wy kolega... Poznałem dziewczynę. Spotykaliśmy się z nią. Poszedłem do pracy, przestałem pić wódkę. Chłopaki śmiali się, gdy piłem i śmietankę, a ja przecież nie chciałem iść na spotkanie po wódkę. Nie mogłem doczekać się wieczora, kiedy się z nią zobaczę. Pewnego dnia nie wyszła na spotkanie. Gdy spotkałem ją przypadkowo i zapytałem, dlaczego nie wyszła, powiedziała, że nie może się ze mną spotykać, bo kolega powiedział, że siedziałem w więzieniu... Obrocilem się i uciekłem biegiem...

Plakalem... Wrocilem do swojej ferajny. Przyjeli. Wy mowicie: "zerwij". Jak zerwac? Do nowego srodowiska kilometr i bez przerwy odpychaja, do starego jeden krok i przyjma zawsze.

Adam odczuwal bardzo brak kobiecego towarzystwa. To rowniez na tle swojego kompleksu. Uwazal, ze dziewczyna nie z jego srodowiska nie bedzie chciala z nim rozmawiac. Swoja obsesje wyrownywal lekcewazeniem kobiet, ale byla to tylko poza. Jurek dal mu adres swojej znajomej. Adam napisal do niej list. Odczytal go nam, pytajac, czy napisal dobrze i czy taki list moze wyslac. Udzielilismy mu kilku rad, co i jak wypada pisac do nieznajomej. Radzilismy z powaga, i z powaga podchodzilismy do sprawy "reedukacji" Adama, by zrobic z niego solidnego i uczciwego czlowieka. Z niecierpliwoscia oczekiwal odpowiedzi na swoj list. Wreszcie otrzymal odpowiedz. Utrzymana byla w formie grzecznej, ale pelnej rezerwy. Znow musielismy mu tlumaczyc, ze nie powinien spodziewac sie innej na razie. Po trzech listach korespondencja sie urwala. Chlopak znowu byl sam. W ciagu osmiu miesiecy tylko dwa razy odwiedzila go matka. Adam, ktory poprzednio byl alkoholikiem, nie wypil w sanatorium kropli wodki – pomimo ze wiele razy namawiano go do tego. Zacheta do abstynencji bylo to, ze

w naszym pokoju calkowicie wykluczono picie wodki i wina. Dotrzymywalismy scisle umowy: "Kto wypije, odpada z towarzystwa". Haslem naszego pokoju bylo: "Leczmy sie humorem, spiewem – bez alkoholu".

Po cichu komentujemy fakt, ze od dwoch dni Adam chodzi na spacer z Elzbieta. Nie chcielismy zapeszyc. Gdybysmy mowili o tym glosno, zaraz by pomyslal, ze sie z niego smiejemy, i koniec ze spacerami.

Juz trzeciego dnia znajomosc sie skonczyla. Elzbietka, urzedniczka z prowincji, powiedziala Adamowi, ze "nienawidzi warszawiakow". Koniec. Gdyby dostal od niej w twarz, nie bylby taki wsciekly, jak po tym powiedzeniu. Zachowal sie grzecznie, lecz Elzbietki nie chcial znac wiecej.

Zalil sie w czasie wieczornego spaceru i pytal, czy on naprawde nie nadaje sie do zycia wsrod "normalnych" ludzi. Analizowal rozmowy z Elzbieta i staral sie przekonac mnie, ze zachowywal sie wlasciwie, a wina jest po jej stronie.

Po opuszczeniu sanatorium Adam spotkal sie z nami kilkakrotnie, lecz wiedzielismy juz, ze caly nasz wysilek poszedl na marne. Wrocil do "swoich" i juz odsiedzial kilka miesiecy, na ktore skazany zostal wyrokiem sadu.

Godzina siodma rano. Czas wstawac. Jedni juz umyci, ogoleni i ubrani czekaja na sniadanie. Inni jeszcze chca spac.

Raptem jeden wrzeszczy, ile sil w chorych plucach: – Wstawac!

Ktorys z lezacych przykrywa glowe kocem.

–Wstawac! – wolaja wszyscy, ktorzy sa juz na nogach. Sciagaja koce z lezacych.

–Wstawaj, zgnilku – wolam, sciagajac koc z Jurka. – Za chwile sniadanie. Nie dostaniesz jesc tak dlugo, az sie umyjesz, ubierzesz i poscielesz lozko. Wylaz, bo cie zleje woda. Jacek! Dawaj wode!

Jacek juz mi podaje sloik z woda, z ktorego przed chwila wyjal kwiaty. Jurek klnie, lecz zlazi z lozka.

Teraz sciagamy nastepnego i wreszcie wstali wszyscy. Ziewaja, przeciagaja sie, ale zaczynaja sie ubierac.

Gdy juz czas na sniadanie, wchodzimy cala grupa do stolowki idac gesiego, ustawieni wedlug wzrostu. W ten sam sposob wychodzimy. Blaznujemy, ale nikt nie patrzy na nas ze zgorzona mina, mysla: "Stare chlopy, a zachowuja sie jak dzieci!"

Jacek i Genek zalozyli "spoldzielnie koralowa". Jacek zwija z papieru korale, a Genek wykancza i naciaga paciorki na zylke nylonowa. Kazdy otrzymuje sznur pieknych koralu. Ladniejsze od sprzedawanych w sklepach.

Jacek zapala papierosa. Pociagnal i odlozyl, by skonczyc nawijac korale. Po chwili siega reka po papierosa, lecz miejsce jest puste. To ja, pale jego papierosa.

Przy trzecim papierosie Jacek klnie, a Jurek podaje mu szklanke z woda. Oblal mnie. Teraz ja klnie i ostrzegam, ze sie odegram. Jurek za plecami Jacka podaje mi te sama szklanke. Oblalem Jacka, a Jurek sie smieje, ze tak nas na siebie napuscil.

Godzina czwarta – koniec lezakowania. – Co robimy? – pada pytanie.

–Wyberzmy sie na spacer – proponuje Bronek. – Ale bedziemy chodzili wolno, bo mnie bola nogi.

Bronek ma dodatkowa chorobe Burgera. Lekarz kazal mu rzucic palenie papierosow. Bronek codziennie walczy z nalogiem jak lew i... przegrywaj jak mucha.

Wychodzimy wszyscy do parku i wracamy dopiero na kolacje. Po kolacji czas wolny, kazdy moze robic, co mu sie podoba.

Godzina dziesiata.

–Mam pieczarki! – wola Genek. – Salowa mi kupila. Smazymy? – A maslo mamy? – pyta Bronek.

–Starczy do smazenia.

Z kuchni oddziałowej przynosimy do pokoju kuchenke elektryczna, garnek, talerze i bulki.

Bronek, Adam i ja gramy i spiewamy. Genek smazy pieczarki.

Jacek parzy kawe dla wszystkich.

Jurek wrocil z "laboratorium fotograficznego", ktore urzadzil w malenkim pomieszczeniu w suterrenach pawilonu i przyniosl wywolane zdjecia zrobione w czasie popoludniowego spaceru. Teraz Jurek odpoczywa, a Kim i Wacek susza zdjecia na malej, przyniesionej do pokoju suszarce. Kazdy ma "pelne.rece roboty". Zbliza sie godzina dziesiata. Pieczarki gotowe, kawa tez, wiec konczymy granie i siadamy wszyscy do stolu.

Nastepnego dnia wieczorem po dziesiatej mielismy nalot lekarza dyzurnego. Kontrolowal tylko nasz oddzial. W dwa nastepne wieczory tez. Zastanawialismy sie, skad im sie tak raptem zebralo na kontrole.

Doszlismy, ze to salowa z naszego oddzialu, wychodzac z pracy, prosi lekarza dyzurnego, zeby zwracal uwage na nasz oddzial, a szczegolnie na nasz pokoj, w ktorym po zgaszeniu swiatel dzieja sie rozne "cuda"...

Wykorzystujemy kazda mozliwosc ulatwiajaca i uprzyjemniajaca zycie w sanatorium, lecz zachowanie nasze nie stoi w razacej sprzecznosci z regulaminami. Jedynym duzym wykroczeniem sa niedzielne wyjazdy do domu. Jeden lub dwoch wyjezdza juz w sobote wieczorem. W niedziele wyjezdza inni.

Byla raz tylko mala heca z salowa. Wieczorem powiedziala Genkowi: – Widze, ze was jest cos za malo w pokoju, wieczorem sprawdzde.

–Co robic? – zastanawial sie Genek. Pomyslal i wymyslil.

Chlopaki wczesniej zgasili swiatlo, a Genek, tylko w nocnej koszuli, stal na lozku i... czekal na salowa. Gdy po dziesieciu minutach weszla, on przez glowe zaczal sciagac koszule. Salowa wrzasnela i... bliskawicznie sie ulotnila. Juz byl spokoj.

Szykujemy sie do wypisu. Wyjechac mamy w dwa kolejne czwartki. Pierwsi wyjezdza: Adam, Bronek i Genek. W nastepny czwartek: Jacek, Jurek i ja. Pozostaja: "Kitajec" i Wacek, ale oni najkrocej leza.

Odwoze do domu swoje manele. O godzinie siodmej rano jestem juz z powrotem. Wchodze do hallu, trzymajac w reku pusta teczke i...wpadam na swojego ordynatora.

–Klaniam sie panu doktorowi – powiadam grzecznie i ide dalej. – Prosze pana! –

wola za mna doktor.

Zatrzymalem sie, a doktor podszedl do mnie i pyta: – Pan... co... wyjezdza pan?

–Nie – odpowiedzialem swobodnie, krecac mlynka pusta teczka. – A co pan tu robi o tej porze?

–Bylem w pawilonie "A" odebrac swoja teczke, bo pojutrze wyjezdzam.

–Ach, tak... no... dobrze... – odpowiedzial doktor, prawdopodobnie myslac cos innego.

W pokoju opowiedzialem o swoim spotkaniu z doktorem.

–Czy myslisz, ze on nie domysla sie, ze byles w Warszawie? – mowili koledzy. – To madry chlop.

–Wiecie, chlopaki – powiedzialem powaznie – ten nasz doktor to jednak ciekawy facet. Z jednej strony rygorysta, z drugiej znow strony okazuje duza tolerancje. Nie wierze, ze on nie domysla sie, kto robi te wszystkie kawaly. Nigdy tez nie "gasil" nas z powodu instrumentow i spiewu.

–A wiecie dlaczego? – zapytal Genek. – Bo widzial wyniki leczenia i szybka poprawe zdrowia, nawet u ciezko chorych. Jurek lezal rok i nie bylo poprawy, a teraz juz go wypisuja. Adam lezal pol roku i bez przerwy sie denerwowal – tez juz wypisany. Jestem pewien, ze doktor wiedzial, co robi, patrzac przez palce na nasze blaznowanie. Nie przeszkadzal nam w naszych ucieczkach do domu, bo wiedzial, ze zaden "nie nawali" i nie wroci pijany. Na pewno orientuje sie, ze w naszym pokoju nigdy nie bylo alkoholu:

Jedna mysla objalem Galy moj ostatni, dziesiaty i najprzyjemniejszy pobyt w sanatorium. Rozesmialem sie i z przekonaniem powiedzialem:

–Z tego wynika, ze zastosowalismy dodatkowa metode leczenia, ktora mozna by nazwac: psychoterapia...

9 NA MARGINESIE ZYCIA

Minal rok. Od ostatniego pobytu w sanatorium wiele sie zmienilo w zyciu kolegow i moim. Z Jackiem i Genkiem utrzymuje staly kontakt. Spotykam sie tez z Bronkiem i "Kitajcem". Jurek mieszka na prowincji daleko od Warszawy, wiec utrzymujemy z nim kontakt korespondencyjny.

Pewnego dnia dzwoni do mnie Jacek i zawiadamia, ze do Warszawy przyjezdza

Jurek i chce sie z nami widziec.

–Genka juz zawiadomilem – mowi Jacek – i za dwie godziny wszyscy beda u mnie.

–Przyjezdzaicie do mnie – odpowiedzialem. – Nie moze wyjsc, bo ma przyjsc Wladek z zona, a przed godzina dzwonila z Otwocka "mala" Ewa, ze tez do mnie przyjezdza. Wiec czekam na was.

Pierwsza przyjechala Ewka, a kilka minut po niej przyszedl Wladek z Krysia. Po pol godzinie zwalila sie cala paczka: Jacek, Jurek, Genek i Kim, ktorego Genek zawiadomil o spotkaniu.

–Jak sie czujesz? – zapytalem Jurka, a gdy ten spojrzal na Wladka i Krysie, bo Ewe znal juz z sanatorium, powiedzialem: – Mozesz gadac spokojnie: oni tez z naszej "rodziny". Malzenstwo sanatoryjne od szesciu lat.

–To same gruzliki sie zeszli – zazartowal Genek.

–To juz tak jest po kilku latach choroby. Utrzymuje sie kontakty z roznymi ludzmi, ale serdecznie i towarzysko "gruzliki" zyja wsrod "rodziny". Ta zmiana nastepuje powoli. Gdy czlowiek dluzej choruje, stopniowo odsuwaja sie od niego ludzie zdrowi, a przez czeste kontakty z innymi chorymi rodza sie nowe przyjaznie.

–Co z toba, Kim? – zapytalem. – Dawno u mnie nie byles. Zapomniales, gdzie mieszkam?

–Nie zapomnialem, tylko nie mialem czasu. Pobyt w sanatorium rozwalil mi plany zyciowe. Chcieli, zebym jeszcze rok studiowal, ale zalatwilem tak, ze dopuscili mnie do egzaminow. Musialem sie uczyc, zeby nadrobic zaleglosci za czas, kiedy bylem w Otwocku. Juz jestem po egzaminach. Teraz odbywam praktyke, a na jesieni wracam do Korei.

–A jak twoje zdrowie? – zapytalem.

–Lekarze powiedzieli, ze jestem zdrowy, lecz musze na siebie uwazac i czesto sie kontrolowac:.

–Jak wrocisz do Korei, nikomu nie mow, ze chorowales.

–Powiem tylko swojej siostrze – odpowiedzial Kim – ona jest lekarzem. Studiowala w Polsce – dodal. – Bede mogl z nia rozmawiac po polsku o swojej chorobie i nikt sie nigdy nie dowie.

–.Moglbys miec takie same klopoty jak ja – wtracila Ewa.

–Ale, ale, powiedz, Ewa, jak tobie po powrocie do domu ułożyło się życie? Pracowałaś? Nie szykanowali?

Ewa, nic nie mówiac, rozplakala się.

–Coż to, czemu płaczesz? – zapytałem. – Czy było tak, jak przewidywałem w sanatorium? Mówiłem, bądź twarda! A ty co? Poddajesz się?

–Niejeden się podda, jeśli zwali się na niego tyle co na mnie. Wyjeżdżając z sanatorium dostałam zaświadczenie, że jestem po amputacji płuca, że jestem zdrowa i wolno mi wykonywać zawód nauczycielki, tylko żeby zmniejszono mi ilość pracy do pięciu godzin dziennie. Nauczycielka, po której objełam klasę, odpowiedziała rodzicom, że jestem chora na gruźlicę. Zaczęły się szykany: Rodzice pisali do szkoły listy, wreszcie przyszła delegacja z zadaniem, żeby mnie zwolniono z pracy. Szkoła nie miała prawa mnie zwolnić, broniło mnie komisyjne zaświadczenie o stanie zdrowia, ale również nie chcieli narazić się rodzicom zajmującym "ważne" stanowiska. Uradzili więc, żeby mi dać roczny urlop zdrowotny. W ten sposób "wilk syty i owca cała". Nie zwolnili i nie ma mnie w szkole: Ale to nie wszystko. Koleżanka, u której mieszkałam, jak się dowiedziała, że otrzymałam urlop zdrowotny, wywnioskowała, że jestem chora, i kazała mi się wyprowadzić. Zaczęła szykanować. Sprowadziła jakąś komisję, która jakoby stwierdziła, że nie możemy razem mieszkać...

–. Jaka komisja? – zapytał Jacek. – Żadna komisja nie ma prawa dawać takiego orzeczenia.

–Nie wiem. Byłam cały czas półprzytomna ze zdenerwowania i rozpacz. Dobrze, że napisałaś wtedy – powiedziała zwracając się do mnie. – Ten list podtrzymał mnie na duchu, bo już byłam bliska samobójstwa. Otrzymałam go właśnie wtedy, gdy już byłam całkowicie załamana. Opuszcili mieszkanie i pojechali na wieś do rodziców. Tam zaczęło się wszystko od początku. Żaden sąsiad nie zajrzy do naszego mieszkania. Nawet bliska rodzina nie przychodzi... Gdy na ulicy spotkałam ciotkę, uciekła na drugą stronę, żeby ze mną nie rozmawiać. To "przysłuzyla" mi się koleżanka pracująca na poczcie. Gdy w stanie ciężkim leżałam i wydawało mi się, że sprawa jest beznadziejna, do domu wysyłałam listy, w których pisałam o swoim zdrowiu i stanie psychicznym. Koleżanka otwierała listy i o wszystkim opowiadała innym.

–A może rodzice mówili komuś o tym? – zapytałem.

–Rodzice nie mówili. Ona sama w rozmowie ze mną zdradziła się, pytając o takie sprawy, o których nikt nie wiedział, ale ja o nich pisałam w liście.

–Przecież to jest karalne.

–Kto ja tam bedzie karal! – odpowiedziala Ewa z rezygnacja. Bylam sama jak kolek, zadnego towarzystwa, zadnych znajomosci. Zaziebilam sie, mialam temperature. Balam sie, ze jedyne pluco nawalilo. Przyjechalam do "ciotki" na kontrole. Opowiedzialam o swoich klopotach. Pluco zdrowe, ale "ciotka" zdecydowala, ze musze odpoczac nerwowo i podciagnac sie fizycznie. Polozyla mnie do lozka i leze juz dwa miesiace.

–Czy od nowego roku szkolnego wracasz do pracy? – zapytalem.

–Nie. Bo zacznie sie to samo. Zlozylam wniosek o przyznanie mi renty inwalidzkiej. Nieduzo tego bedzie, ale potrafię robic serwety. Zrobie dwie, trzy w miesiacu, to pare zlotych bede miala i jakos musze z tego zyc.

–A gdzie wrocisz?

–Nie wiem. Boje sie wsi, a w miescie nie mam mieszkania.

–To ty jestes w gorszych warunkach niz my – odezwal sie Genek. W duzym miescie jest nas duzo i, jesli sie nawet niektorzy ludzie odsuwaja, to jednak znajduja sie i tacy, ktorzy sie nie boja, a w najgorszym przypadku istnieja jeszcze kumple z "rodziny".

–Ja tez juz od trzech miesiecy na rencie inwalidzkiej – dodal Genek. – Wystarcza ci renta? – zapytalem.

–Nie wystarcza, ale co mam robic? Z pracy mnie zwolnili, drugiej nie moge dostac, wiec wystapilem o rente. Dostalem druga grupe, niewiele tego jest, a przy gruzlicy trzeba odzywiac i siebie, i rodzine, zeby nie zachorowali. – Ja mam trzecia grupe inwalidzka – odezwala sie Krysia – i co z tego?

Wolno mi pracowac, ale zadna instytucja nie chce przyjac gruzlika do pracy, a Wladek – pokazala na meza-pracuje dopiero od kilku dni. Oblecial kope instytucji. "Mechanik potrzebny". Sprawdzaja papiery. "Dlaczego mial pan przerwe w pracy? – pytaja. – Bylem na zwolnieniu. – A na co pan choruje? – Gruzlica. – Niech pan przyjdzie jutro". A "jutro" mowia, ze juz nie potrzeba, bo przyjeli innego, który mieszka w poblizu, wiec to bedzie wygodniej dla niego i instytucji. I juz Wladzio zalatwiony. I tak wszedzie konczy Krysia.

–Moj stan zdrowia jest taki – wlaczyl sie Wladek-ze renty inwalidzkiej mi nie przyznaja, a do roboty przyjac nie chca. Mialem zamiar isc do milicji, prosic, zeby mnie zamkneli, bo pojde krasc, jesli nie dostane pracy. W ostatniej instytucji klamalem i nie przyznalem sie, ze jestem chory. Lekarza zakladowego prosilem, zeby mnie nie ujawnial i powiedzialem, w jakich jestem warunkach. Zona chora, w domu male dziecko, czesto nie mamy co jesc i zyjemy z tego, czym koledzy poczestuja. Lekarz napisal "zdolny do pracy", a mnie kazal sie kontrolowac co szesc tygodni.

–Mowi pani o szykanach – odezwala sie znow Krysia, zwracajac sie do Ewy. – A czy pani wie, jak mnie zwolniono z pracy? Gdy wykryto u mnie gruzlice, lekarz wystawil wniosek sanatoryjny. Pracowalam w takim dziale, ze kierownik moj, porzadny czlowiek, sam nie dalby sobie rady. Powiedzialam mu o chorobie, w tym celu, zeby, gdy pojde do sanatorium, przygotowal kogos na moje zastepstwo. Powiedzialam o tym w polowie miesiaca, a w koncu miesiaca otrzymalam wymowienie z pracy "z powodu kompresji etatow administracyjnych". Po kilku dniach otrzymalam skierowanie do sanatorium, lecz wypowiedzenie pracy bylo juz wazne. Po powrocie z sanatorium dowiedzialam sie, ze wiadomosc o mojej chorobie jakimis cudem dotarla do pracownikow i u dyrektora byla delegacja zadajaca zwolnienia mnie z pracy. Zwolnili.

–Ja juz tych klopotow nie mam – powiedzial Jurek. – Od dwoch lat juz jestem na rencie. domagam matce hodowac kurczaki i jakos sie zyje. Teraz wlaczyl sie do rozmowy Jacek, mowiac:

–Wy mieliscie klopoty w pracy, ale za to spokoj w domu. A ja odkad przeszedlem na rente, to juz pol roku mam klopoty w domu. Rente oddawalem zonie, a ona mi nie dawala jesc. Sama jadla obiad w pracy, dzieci w szkole, a ja suche sniadanie i sucha kolacje, bo nie mialem na obiad. Gdy prosilem, zeby mi dala piec zlotych na papierosy, odpowiedziala zdziwiona: – "Co? Na papierosy? Zarob sobie, to bedziesz palil". A przeciez ona dobrze zarabia. Dobry bylem wtedy, jak przynosilem do domu tysiace, a teraz, jak jestem chory, to "zarob sobie". Gdy powiedzialem, ze od miesiaca nie jadlem gotowanego obiadu, odpowiedziala z przekasem: – "Chcialbys jesc codziennie obiad? Czy zarabiasz na to?"

Wscieklem sie – mowil dalej Jacek – i ostatniej renty nie oddalem. Nie zyjemy z soba. Zajacem jeden pokoj, ona z dziecmi drugi. Place tylko polowe swiadczen i za telefon. Stoluje sie u matki i nie musze juz prosic o piec zlotych na papierosy. Mam wreszcie troche spokoju.

–Ja tez w "drace" rozstalem sie z ostatnia swoja praca, zanim poszedlem na rente – powiedzialem, mimo ze prawie wszyscy znali moja historie. – Po powrocie z sanatorium dyrektor zazadal zaswiadczenia, ze wolno mi pracowac. – Mialem takie zaswiadczenie wydane w sanatorium, lecz to mu nie wystarczalo. Chcial sie mnie pozbyc, by zostawic tego, ktory zastepowal mnie w okresie mojego pobytu w Otwocku. Musialem poddac sie dodatkowym badaniom. Lekarze stwierdzili, ze moge pracowac przy pracy lekkiej przez piec godzin dziennie. Radzili mi przejscie na rente. Uprosilam, zeby dali mi zezwolenie na prace, obiecujac, ze po trzech miesiacach przyjde i pokaze zaswiadczenie wypowiedzenia pracy "na wlasne zadanie". Te pol roku potrzebne mi na zalatwienie renty. Sloga dotrzymalem.

–Glupie to nasze zycie gruzlika – zauwazyl Wladek. – Rozwazcie taka rzecz. Obecnie pracuje. Nie wiezda o tym, ze mam gruzlice. Ale jesli zachoruje, to z

temperatura musze chodzic do pracy. Kto nie ma gruzylicy, moze chorowac. Mnie nie wolno, bo jesli lekarz da kilka dni zwolnienia, to personalny dowie, sie, ze jestem chory, bo na zwolnieniu jest numer statystyczny choroby. A na tym oni sie znaja, no i jak byk stoi na pieczeci: "Poradnia przeciwgruzylicza". Ustawy chronia ludzi chorych na gruzylice, ale ustawy to bron obosieczna, w zalezności, jak kto do niej podchodzi. Przez rok choroby nie wolno zwolnic z pracy i... nie mozna dostac sie do pracy.

–Mamy duze osiagniecia w leczeniu gruzylicy – powiedzialem, gdy Wladek skonczyl swoje rozwazania. – Masowe kontrole, bezplatne, dla wszystkich dostepne leczenie w poradniach i sanatoriach, wczasly dla rekonwalescentow, sanatoria rehabilitacyjne, gdzie mlodzi ozdrowienci moga sie uczyc nowych zawodow. Coz, postep medycyny produkuje takich jak my inwalidow, ludzi wyrzuconych na margines zycia... Moze to paradoks, ale tak jest. Gdyby nie osiagniecia medycyny i mozliwosci leczenia, juz dawno by nas diabli wzieni i nie mielibysmy klopotow z praca, renta, ludzmi, ktorzy nas unikaja... nie byloby kompleksow nizszosci u mlodych inwalidow chorych na gruzylice. Poniewaz jednak istniejemy, powinny byc jakies dodatkowe formy pomocy dla takich ludzi. Moze to powinien byc jakis zwiazek, ktory by dbal o interesy chorych na gruzylice?

–Kazda instytucja powinna obowiazkowo zatrudniac – tak jak inwalidow – pewna ilosc gruzylikow zdolnych do pracy, ktorzy jeszcze nie moga otrzymac renty inwalidzkiej – odpowiedzial Jacek. – Bo dotychczas istnieje tylko solidarnosc i wzajemna pomoc w srod samych chorych.

–To dobre w miescie – wtracila Ewa – a co ja mam na wsi robic, gdzie jestem sama jedna?

–Piekielnie nieprzyjemne uczucie – powiedzialem po namysle – gdy mlody czlowiek, ktory moglby jeszcze cos dac z siebie spoleczenstwu, musi korzystac z jalmuzny tego spoleczenstwa, z renty inwalidzkiej. Czuje sie jak wyrzucony wrak, nikomu niepotrzebny. Widzac i czujac wokol siebie intensywnosc zycia, sam znajduje sie juz tylko na jego marginesie.

Czy tak byc musi?

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-12-01

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/